

Bolesław Mrówczyński

Dutur z Rajskiego Ogródu

„Słońce odeszło na zachód, zapada mrok. Ponad nami skrwawiło blaskiem pięć bliźniaczych wierzchołków Salaku. U naszych stóp toczy fale piękna Tjidani, nucąc jak zwykle swoją burzliwą pieśń. Za nią rozbłyły właśnie elektryczne światła Bogoru. Nasz piękny Ogród jest już ledwie widoczny. Uderzam w gong...

O przyjaciele!

Przed wielu laty w tym oto Ogródku był przemiły dyrektor, który nazywał się Treub. To wszystko, co jest w nim najbardziej cenne i najpiękniejsze, to jego wielka zasługa. Miał dziwny dar. Gdziekolwiek rzucił okiem, tam powstawał od razu porządek. Pod jego troskliwym spojrzeniem Ogród zamienił się w cudowny zakątek, odwiedzany przez gości z całego świata. Przyjeżdżali także wielcy uczeni. Ci pozostawali tu dłużej, prowadząc żmudne badania. Byli to różni ludzie, synowie najrozmaitszych narodów. Wśród nich zaś był jeden niezwykle. Jemu to poświęcam dzisiejszą opowieść.

O przyjaciele!

Wybaczcie starcowi, że da wam dzisiaj opowieść odmienną, jakiej jeszcze nie słyszeliście, ale w niej jest także zaklęta wielkość i bohaterstwo, i śmiech, i łzy. Zobaczycie, co może zdziałać wspaniałe Elmu Wytrwania, gdy trzeba będzie toczyć ze straszliwymi demonami zażarty bój. Ujrzycie też dziwne stwory, które dotychczas nie występowały nigdy w naszych legendach. Wyjdą one z jawajskich lasów i pól, zstąpią z podniebnych szczytów wulkanów, wyszczerzą zęby z łodyg i pni. Działanie ich będzie straszne. Zmarnieje kukurydza, trzcina cukrowa i tytoń, zginą całe plantacje. Na naszą szmaragdową wyspę spadnie okrutny lęk...

O bracia!

Po raz drugi uderzam w gong, bo oto On. Spójrzcie! Człowiek młody jeszcze, ale skupiony i czujny. Europejczyk. Jego ojczyzną jest Polska - nieszczęsny kraj, gnębiony wówczas przez trzech potężnych zaborców. Przyjrzyjcie się jego twarzy. Bije z niej energia i dzielność, ale znać też na niej długotrwały, męczący trud. Życie miał bowiem niełatwe. Gdy się rodził, w jego ojczyźnie ludzie porwali za broń, aby wypędzić najeźdźców. Tuż obok, w sąsiednim borze, walczył jego ojciec na czele garstki powstańców. I wtedy to nad kołyską pojawił się rycerz w srebrzystej zbroi, posłaniec Broma, szlachetny Ardżuna. Osłonił dziecię przed demonami i dał mu przy tym cudowny dar: wrażliwe serce, umiłowanie przyrody i bystre, szerokie spojrzenie na świat.

O przyjaciele!

Oto ja, starzec sędziwy, pochylam głowę: dar jasnego Ardżuny został doskonale zużyty. Ten, o którym będę mówił, gdy miał dwadzieścia jeden lat, ogłosił drukiem pierwszą pracę naukową, gdy zaś doszedł do trzydziestu - miał ich już za sobą prawie czterdzieści. Był botanikiem. Opisywał nie tylko to, co rosło, ale sięgnął odważnie do wnętrza ziemi,

wynajdując tam rośliny, które dawno wymarły. Jego badania szybko przyniosły mu rozgłos i sławę. Wkrótce wysłano go za granicę, aby przy boku wielkich uczonych udoskonalił swoje talenty. W Monachium pracował u słynnego profesora Goebela. U niego zrobił doktorat i właśnie od niego przyjechał do nas, na Jawę...

O bracia!

Ostatnie blaski zachodu zniknęły przed chwilą z pięciu wierzchołków Salaku. Ziemię całkowicie otulił mrok, błyszczą jedynie elektryczne światła w Bogorze. Z puszczy, z ogrodów i pól, z krzewów i pni, z jezior i kraterów wulkanów wychodzą duchy dobre i złe, aby stoczyć z sobą conocny, zacięty bój. Wśród nich ukazują się ci, którzy tu niegdyś żyli. Biegają bronić tej ziemi i waszego spokoju. Widzę ich coraz lepiej. Otaczają mnie wokoło, przypominają odległe, dawno minione wypadki...

A więc, o moi mili, po raz trzeci uderzam w gong. Niech teraz wajang_kulit przemówi!

Gamelan - graj!..."

I

Działo się to w tych dawnych czasach, gdy na naszych wyspach prawie wcale nie było szkół, niezłożenie zaś Europejczykowi ukłonu uważano za wielkie przestępstwo. Ja, Nong nong, syn Paidana, dziś człowiek stojący nad grobem, byłem wówczas bardzo młody. Czuprynę miałem wprowadzić bujną, ale za to wąs zaczynał się dopiero wysypywać nad górną wargą. Lubiłem figle i żarty. O spójrzcie! Widzicie te spoglądające sprytnie oczy, jakby coś tam ukrywały w zanadrzu? Nie, złośliwości w nich nie ma. Byłem dobrze wychowany i znałem się na grzeczności. Naukowcy z Bogoru bardzo mnie lubili, w mig bowiem potrafiłem wykonać każde zlecenie. Nie było takiego zakątka w naszym Ogrodzie czy w okolicy, którego bym nie znał na wskroś. Korzystali więc chętnie z mojej pomocy, ale i ja uczyłem się od nich dużo. Nie chodziłem do szkół, a przecież umiałem dobrze czytać i pisać. Nie najgorzej znałem się również na zwierzętach i na roślinach, toteż zdarzało się nieraz, że nawet wielkim uczonym pomogłem zrobić bardzo poważne odkrycia.

Ojciec mój, Paidan, pracował w Bogorze jako ogrodnik. Patrzcie, jaki miły staruszek! Wtedy gdy ja stawiałem pierwsze kroki, on zdobył już wielką sławę. Znał wszystkie drzewa, krzaki i zioła, jakie rosną na Jawie, potrafił określić dokładnie z kawałka liścia roślinę, do której on poprzednio należał. Profesor Treub bardzo go cenił i dawał mu do wykonania tylko najtrudniejsze roboty. Zdarzało się też, że radził się go niejednokrotnie i chętnie korzystał z tych rad. Nasz dyrektor był bowiem mądrym człowiekiem. Nigdy nie wstydził się przyznać, że czegoś nie wie. Chętnie słuchał każdego, kto mógł powiedzieć coś ciekawego, a że mój ojciec wiedział bardzo dużo, więc z nim też rozmawiał najchętniej.

A oto i on. Profesor Treub, dyrektor Instytutu Botanicznego w Bogorze. Przyjrzyjcie mu się dokładnie. Ma blond włosy, miłe, pociągające spojrzenie i jasną twarz. Niedawno obchodził czterdziestą piątą rocznicę swoich urodzin. Pod pozornym spokojem kryje się w nim żywiołowa energia. Zazwyczaj chodzi wolno, spacerkiem, ale gdy potrzeba, potrafi być bardzo ruchliwy. Niekiedy troska przysłania mu czoło, ma bowiem niemało kłopotów. Ostatnio

chmurzy się coraz częściej. Zjechali liczni goście z Europy, każdy chce wszystko zobaczyć, ale, jak to biali, nie potrafią się poruszać bez przewodnika. Znaczne to osoby, same sławy światowe, nie można przydzielać im byle kogo. Więc Paidan tu, więc Paidan tam, a on jest, niestety, tylko jeden i profesor to doskonale rozumie.

- Tak dalej być nie może - oświadczył któregoś dnia, gdy się spotkali przy stawie. - Musimy coś na to poradzić...

Ojciec skinął głową z uznaniem.

- Oczywiście, tak nie może być - zgodził się. - Najlepiej wydać książkę, w której opiszecie wszystkie rosnące w Bogorze i okolicy rośliny. Gdy jakiś nowy człowiek przybędzie z Europy, weźmie ją do ręki, a wtedy wystarczy mu zwykły przewodnik.

Treub, wyraźnie zmartwiony, smętnie pokiwał głową.

- Czy ty się orientujesz - zapytał markotnie - ile na to potrzeba czasu? I twojego, i mojego życia za mało. Mamy tu przecież kilkadziesiąt tysięcy gatunków. Któż to opisz?

Pochylił się i otrząpał starannie spodnie, gdyż zawsze lubił porządek.

- A gdyby pan, panie profesorze, napisał w tej sprawie do Europy? - zauważył grzecznie mój ojciec. - Tam jest wielu dzielnych ludzi. Może ktoś szybciej wykona tę pracę?

Treub wyprostował się. Po jego twarzy przemknął wyraz niechęci.

- Nie rozumiesz tego - mruknął. - Jeśli ktoś będzie pracował szybciej, zrobi to niedokładnie.

Mój ojciec skłonił się i nie powiedział nic więcej. Wkrótce zapomniał o tej rozmowie, toteż był nieco zdziwiony, gdy w miesiąc później dyrektor sam do niej powrócił.

- Wiesz, Paidanie - Treub był wesół jak rzadko - otrzymałem list z Monachium od profesora Goebła. Twierdzi, że ma dla mnie człowieka, który każdą pracę wykona trzy razy szybciej niż inni.

Ojciec aż splótł palce z radości.

- I opisz nasze rośliny? - wykrzyknął. - Świetnie!

Dyrektor potarł czoło, jakby to pytanie nasunęło mu wątpliwości.

- Sam wszystkich nie opisz - odparł po chwili. - Jeśli nawet ten człowiek naprawdę pracuje tak szybko, to i tak potrzebowałby na to przynajmniej dwudziestu lat. Dam mu tylko paprotniki, bo one teraz są najważniejsze. Też zabiorą mu ze trzy lata.

- A co z resztą?

- Dam innym. Niech pracują działami. Kto wie, może rzeczywiście za trzy lata coś z tego wyniknie...

Pogładził delikatnie pień świętego waringina, koło którego właśnie przystanął. Ten człowiek kochał kwiaty i drzewa, toteż zawsze wykonywaliśmy chętnie jego rozkazy.

- Za kilka dni wyjeżdżam do Europy - rzekł w zamyśleniu. - Muszę zobaczyć tego człowieka i postarać się o pieniądze na prace. W czasie mojej nieobecności czuwaj tu, Paidanie, nad wszystkim.

Po drodze do Holandii wstąpił do profesora Goebła, ale człowieka, na którym mu tak zależało, nie zastał. Wyjechał właśnie na wycieczkę w poszukiwaniu jakiejś rzadkiej rośliny.

- W takim razie nie będę czekał - oświadczył pogodnie, słysząc liczne pochwały. - Gdy będę wracał na Jawę, wstąpię powtórnie. Może to i lepiej - zastanowił się. - Teraz mógłbym szafować tylko obietnicami. Natomiast za miesiąc będę mógł z nim zawrzeć umowę.

Wyjechał uśmiechnięty i zadowolony, ale gdy znowu zjawił się w Monachium, na jego czole rysowały się zmarszczki. Widocznie tam, w Holandii, nie wszystko poszło po jego myśli.

- Nasze Towarzystwo Popierania Badań Przyrodniczych w Koloniach daje subwencję tylko na rok pracy - oświadczył na wstępie. - Czy warto w tych warunkach zaczynać?

Goebel zafrasował się.

- To rzeczywiście mało - przyznał. - Chociaż... - uśmiechnął się naraz - trzeba z nim porozmawiać. On jest zdolny do wykonania nawet tego, co pozornie wydaje się niemożliwe.

Traub popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Nie, w ciągu roku nikt nie opisze paprotników jawajskich - oświadczył po chwili stanowczo.

- Przecież tych roślin nie ma w naszym herbarium. Trzeba je zebrać, wyszukać nie tylko w ogrodzie, ale i w puszczy.

- Wiem, wiem o tym. Ale... trzeba z nim porozmawiać. Zaraz go tutaj przywołam.

Profesor wstał. Przyjrzyjcie mu się teraz uważnie. Jest nieco młodszy od naszego dyrektora. Z jego twarzy bije pogoda i energia, ale jest w niej jeszcze coś więcej: ukrywana starannie surowość. Umie trzymać w ryzach swoich podwładnych i zmuszać ich do posłuchu. Obecnie jednak, gdy wychodzi z pokoju, jest uśmiechnięty, jego długie włosy zburzyły się niesfornie, jakby targnęła nim jakaś zabawna myśl. Uważnie zamknął za sobą drzwi i skierował się do jednej z sąsiednich pracowni.

- Gdzie Marian? - zapytał.

Giesenhagen, jeden z jego asystentów, skłonił się uprzejmie. Przy każdej okazji starał się okazać profesorowi jak największy szacunek.

- Nie ma go, panie profesorze - odparł prostując się sztywno.

- Wyjechał gdzieś w Alpy.

Pogoda widniejąca dotychczas na twarzy Goebela zniknęła bez śladu.

- Kiedy powróci? - zapytał ściągając brwi.

- Nie wiem, panie profesorze. On przecież nikomu się nie tłumaczy.

Z sąsiedniej pracowni wybiegł młody, sympatyczny Francuz Poirault, a widząc zasepioną twarz swego zwierzchnika, rzekł żartobliwie:

- Ściga swoje Bactridium.

Grozi jakimś niezwykłym odkryciem. Pewnie powróci jutro.

Goebel zacisnął usta i skierował się bez słowa do drzwi.

- Musimy poczekać - rzekł do naszego dyrektora, gdy znalazł się znowu w gabinecie. - Jeszcze nie wrócił z wycieczki. Zresztą nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - dodał siląc się na wesołość. - Chcąc nie chcąc będziesz musiał pozostać, a przecież tak rzadki gość to dla mnie skarb.

Traub też się tym nie przejął. Lubił Monachium, gdyż było to piękne miasto, a przy tym miał wiele spraw do omówienia z Goeblem, żyli bowiem w wielkiej przyjaźni.

- Kiedy on powróci? - zapytał tylko.

- Chyba jutro...

Traub spojrział trochę zdziwiony. Wiedział, że profesor jest bardzo wymagający w stosunku do swych współpracowników, a teraz z tonu jego głosu wynikało, że właściwie nie wie, co robi jego

asystent. Zbagatelizował jednak tę sprawę i przeszedł taktownie na inny temat.

Nazajutrz jednak On nie powrócił. Profesor stawał się coraz bardziej osowiały, rozumiał bowiem, że nasz dyrektor jest potrzebny na Jawie. Gdy zaś i następnego dnia nie doczekał się powrotu asystenta, już nawet nie ukrywał złości.

- Stanowczo za dużo sobie pozwala! - wybuchnął, gdy wieczorem omawiali tę sprawę. - Stale mi tak ucieka w nieznane. Mam tego dość. Będę musiał przeprowadzić z nim po powrocie przykrą rozmowę.

Treub przytaknął głową z uznaniem, gdyż on również zaczął się niepokoić. Nurtowały go wątpliwości, czy będzie mógł dobrze współpracować z człowiekiem, którego nawet surowy Goebel nie potrafił utrzymać w karbach. Zresztą musiał się już śpieszyć, aby zdążyć na statek. Dał się jednak jeszcze uprosić i pozostał do następnego dnia.

Koło południa Goebel z wielkiego zdenerwowania zaczął bębnić palcami po biurku. Był bardzo zły. Za godzinę gość musiał odjechać. Starał się zatrzymać go do ostatniej minuty, wynajdując najrozmaitsze tematy. Niekiedy z roztargnieniem spoglądał w okno, jakby tam spodziewał się ujrzeć tego, który narobił mu tyle kłopotów. Nagle drgnął. Gdzieś za drzwiami, w głębi korytarza, rozległ się dźwięczny, beztroski śmiech, a po chwili dał się słyszeć gwar ściszonych rozmów i wesołe przekomarzania.

- Jest! - twarz profesora rozbłysła. - No, dostanie on teraz za swoje!

Zerwał się z miejsca. Radosne podniecenie pierzchło, w oczach pojawiły się nieprzyjemne ogniki. Stał pośrodku pokoju, nieprzystępny i gniewny. Ze zsuniętymi, gęstymi brwiami i z zaciśniętymi surowo ustami wyglądał w tej chwili groźnie.

Na korytarzu rozległy się szybkie kroki. Ktoś lekko zastukał, uchyliły się drzwi. Już go poznajecie, o moi mili?

Tak, to rzeczywiście jest On. Stoi teraz naprzeciw Goebela z wielką puszką botaniczną, przerzuconą przez ramię, zakurzony, trochę jakby zmęczony. Widać od razu, że wraca z dalekiej podróży.

- Przepraszam, że wchodzę tu w takim stroju - przemówił nieco zakłopotany, ujrawszy gościa. Giesenhagen powiadomił mnie jednak, że mam się stawić natychmiast. Profesor objął go przeciągłym, nieprzychylnym spojrzeniem.

- Już trzeci dzień czekamy na pana z dyrektorem Treubem - wycedził powoli. - A pan zniknął bez śladu...

Urwał niespodziewanie, jakby chciał pogłębić grozę słów, które za chwilę padną. Nie zapominajcie, o moi mili - był bardzo zły.

Pan Marian zaś, jak go profesor nazywał, zmieszał się wyraźnie. Gościa nigdy dotąd nie widział, ale znał doskonale jego nazwisko.

- Chciałem potwierdzić ostatecznie swoje domysły... - próbował się usprawiedliwić. - Panie profesorze - dodał zaraz śmielej, zapominając nagle o Treubie. - Bactridia to galasówki, wywołane przez grzyb pasożytny, który mnoży się w plazmie rośliny. Teraz nie ma już wątpliwości - zapalał się coraz bardziej. - Zebrałem bogaty materiał porównawczy. Wszędzie to samo.

Goebel zamrugnął powiekami, jakby się budził ze snu. W jego oczach pojawiły się iskry żywego zainteresowania. - Hm... - mruknął. - Jest pan tego pewien?

- Najzupełniej. O, proszę - pan Marian szybko wyciągnął odłamki kory, pokrytej jak gdyby pleśnią. - Możemy tu wiele zobaczyć nawet za pomocą powiększającego szkła.

Profesor wziął do ręki kilka kawałków, podszedł do okna i zaczął się uważnie przyglądać.

- To jest możliwe - zgodził się z ociąganiem. - A w jaki sposób zarodniki przenoszą się z miejsca na miejsce?

- Za pomocą ślimaków, przede wszystkim zaś wody. W kropli odpadają natychmiast. Goebel wydawał się zaskoczony tą wiadomością. Po chwili machnął jednakże ręką.

- To są tylko słowa - rzekł energicznie. - Wie pan, że nie lubię filozofowania w nauce. Proszę to udowodnić.

Pan Marian rzucił puszkę w kąt i bez śladu zmieszania podbiegł do mikroskopu. Nasz dyrektor, zapomniany teraz przez obu, spoglądał na to, co się działo, z coraz większym zdziwieniem. Spodziewał się gwałtownego wybuchu, a tu obserwował scenę, która zaskoczyła go swą niezwykłością. Asystent zręcznie manipulował przyrządami, profesor zaś, przejęty do głębi, pochylał się co chwila i na podstawie przeprowadzanych na oczekaniu badań sprawdzał słowa, które tamten wypowiadał ze stale wzrastającym przejęciem.

Treuba też to widocznie zaciekawilo, wstał, bowiem i zbliżył się do nich powoli.

- Proszę, spójrz! - Goebel, zaczerwieniony, przysunął do niego mikroskop. - To nadzwyczajne!

Nasz dyrektor popatrzył jakby od niechcenia, ale zaraz pochylił się mocniej. Kropla zetknęła się właśnie z zarodnikiem, ten opadł i razem z nią przesunął się w bok.

- Rzeczywiście, tu nie może być wątpliwości! - wykrzyknął w zachwycie.

Poruszył preparat, druga kropla przelała się leniwie, dotknęła zarodnika i razem z nim ruszyła w dalszą wędrówkę.

- Świetnie! - wykrzyknął. - Powtarza się cała historia. Ale to z pana również grzybiarz - dodał spoglądając z zaciekawieniem na asystenta. - Doskonale! W takim razie nie zabraknie panu pracy na Jawie.

Pan Marian uniósł głowę znad stołu, i w roztargnieniu spojrzął na dyrektora. Był myślą gdzie indziej, lecz pogodna twarz Treuba przywróciła go od razu do rzeczywistości.

- Jeśli panom jeszcze będę potrzebny - zwrócił się uprzejmie do obu - to pozwólcie, że się najpierw umyję. Wracam - dodał spoglądając z zakłopotaniem na zakurzone ubranie i buty - z dalekiej podróży.

Goebel skinął głową z powagą, jak to robią często wielcy uczeni. Zresztą bardzo lubił porządek i czystość.

- Oczywiście, jest nam pan bardzo potrzebny - potwierdził.

- Trzeba się jednak umyć. Proszę zaraz powrócić.

Pan Marian szybko zebrał swoje bagaże i wyszedł z pokoju. Goebel spojrzął z niepokojem na Treuba.

- Zapomniałem - westchnął - że ty się śpieszysz na pociąg...

Nasz dyrektor westchnął również.

- Niestety, już się spóźniłem - zauważył obserwując posepnie zegarek. - Trudno, pojedę nocnym. Co prawda, w ostatniej chwili, ale zdążę na statek. O ile sobie jednak przypominam - dodał naraz, ściągając brwi - miałeś mu dać reprimendę...

Popatrzył na profesora tak, jakby czuł do niego głęboką urazę. Goebel machnął ręką bezradnie.

- Gdy poznasz go bliżej, to wszystko zrozumiesz - rzekł takim tonem, jakby się przed nim tłumaczył.

- Ma on tu przywileje, gdyż jest to człowiek, którego nie potrzeba ani kontrolować, ani poganiać w pracy. Jest to - dodał ścisząc głos - jeden z najzdolniejszych i najbardziej wszechstronnych botaników naszych czasów... Ale ty - twarz mu naraz rozbłysła - też dałeś się porwać jego wymowie.

Obaj uczeni przez chwilę mierzyli się wzrokiem i niespodziewanie parsknęli śmiechem.

- A to cię urządził! - wykrzyknął Treub ocierając oczy mokre od łez. - Gdzie twoja surowość? Gdzie profesorska powaga?

- Aleś wpadł! - Goebel protekcyjnie poklepał go po ramieniu. - Teraz ty będziesz musiał pilnować swojej. Radzę ci postępować z nim tak samo jak ja. A może go nie zabierzesz? Nasz dyrektor zrobił złośliwą minę.

- Akurat! - wykrzyknął. - Miałbym zrezygnować ze współpracownika, którego tak zachwala słynny profesor Goebel z Monachium? I do tego grzybiarza? Nie, bracie! Jeślibyś nawet próbował zatrzymać, porwę go siłą.

Giesenhausen, który przechodził właśnie za drzwiami, aż przystanął z wielkiego zdumienia. Takich bowiem wybuchów śmiechu, jakie rozległy się w gabinecie profesora, nigdy jeszcze w tym gmachu nie słyszał.

II

O przyjaciele! Tak więc stało się, co musiało się stać. Kogo bowiem przy urodzeniu odwiedzi jasny Ardżuna, ten musi pójść drogą, którą wyznaczył mu Szlachetny w swej nadziemskiej dobroci.

Dnia 25 grudnia 1896 roku - doskonale pamiętam tę datę - w dzień największego święta chrześcijan, w pogodny, słoneczny ranek wysiadł na stacji w Bogorze On - doktor Marian Raciborski, którego ojczyzną była daleka Polska. Co, cieszycie się, moi mili, że widzicie go wreszcie na naszej ziemi?... On też jest bardzo zadowolony. Wtedy to spotkałem się z nim po raz pierwszy. Ponieważ mój Francuz, u którego wówczas służyłem, wyjechał na święta do Dżakarty, więc udałem się z ojcem na dworzec. Rzecz dziwna, ale poznałem go natychmiast, a nie był przecież jedynym pasażerem tego pociągu. Wskazałem go zaraz ojcu i podeszliśmy. Zrobił na nas miłe wrażenie. Powitał nas uprzejmie w naszym rodzinnym języku, widocznie zdążył się trochę nauczyć w czasie podróży. Umieściliśmy go w hotelu Chemin de Fer, jak przykazał dyrektor Treub.

Później obserwowałem go tylko z daleka. Początkowo, jak każdy Europejczyk, który do nas przybywa, był oszołomiony bogactwem tutejszej przyrody. Tam bowiem, w jego kraju, jeśli wejdziecie do lasu, napotkacie najwyżej kilka gatunków drzew. U nas natomiast każde prawie drzewo jest inne. Nie ma tam zresztą lian, bambusów, kilkusetmetrowych rotangów i tysięcy innych roślin, które u nas tworzą nieprzebyte zarośla. Nawet najbardziej uczony botanik, który słyszał o tym, staje bezradny wobec tej płataniny dziwnych dla niego stworów, rosnących nie tylko na ziemi, ale bujających w powietrzu, przyczepionych do obcych liści, gałęzi i pni. Nasz dyrektor, który niegdyś sam przez to przeszedł, rozumiał doskonale początkowe kłopoty nowego przybysza. Nie pozwalał mu więc przez pewien czas robić dalszych wycieczek. Chciał, aby przyzwyczał się do tych odmiennych form na terenie Ogrodu i na zboczach Salaku.

Tuan Borski - tak nazwaliśmy go, bo przecież dla nas jego nazwisko było stanowczo za długie - nie należał jednak do ludzi cierpliwych. Przez kilka dni kręcił się po całym terenie, potem zaś przez tydzień przeglądał zbiory, które inni uczeni zgromadzili w herbarium. Nie było tam żadnego porządku. Treub martwił się, bo do tej pracy nie miał dotychczas

odpowiedniego człowieka. Doktor zrobił nam niespodziankę. To, co było potrzebne i wartościowe, wyłączył, resztę po prostu wyrzucił. Co pozostało - poukładał starannie, posegregował, gdzie mógł, tam również opisał. Treub, gdy to zobaczył, w pierwszej chwili stanął zdumiony i zachwycony. Za to, gdy się przyjrzał tuanowi Borskiemu, zmarkotniał. Doktor w ciągu tego tygodnia schudł, szerniał na twarzy, z jego oczu bił chorobliwy blask. Okazało się od razu na wstępie, że ten człowiek nie potrafi się oszczędzać. Gdy porwała go jakaś robota, pracował dzień i noc. Nasz dyrektor zląkł się i pilnował osobiście, aby przez następne trzy dni nie zajmował się niczym.

Wkrótce tuana Borskiego pochłoneła nowa praca. Zaczął szukać swoich paprotników w Ogrodzie, a wiecie, że ich tam nie brakuje. Było przy tym nieraz dużo uciechy, gdy tych roślin trzeba było szukać wysoko na drzewach. Kiedy wreszcie uporał się z tym, postanowił zorganizować dalszą wycieczkę. I wtedy to stało się pierwsze nieszczęście...

Doktor miał wówczas służącego Mijuna. Wy, starsi, z pewnością go pamiętacie. Był to dobry człowiek, pracowity i chętny, ale niesłychanie czuły na dobre obyczaje, które wpajali nam wtedy nasi starsi bracia, Holendrzy. Nie zauważyć z daleka Europejczyka to - jego zdaniem - stanowiłoby wielkie przestępstwo. Rozumieć obcy język było dla niego równoznaczne ze śmiercią.

Wszystko, co nakazywali Holendrzy, uważał za świętość. Otóż ten Mijun, wraz z trzema tragarzami i moim ojcem Paidanem, towarzyszył doktorowi w wycieczce. Ojciec wrócił z niej rozbawiony. Również tuan był w doskonałym humorze i przez następne dni rozweselał nawet najbardziej poważnych. Toteż zdziwiłem się, gdy któregoś wieczoru, przechodząc koło jego pokoju, usłyszałem głośne wymyślenia i klątwy.

Tak, przyjaciele, on kłął!... Oczywiście nie po naszymu, gdyż jesteśmy narodem, który takich słów nie używa. Były to ostre, krótkie i gniewne okrzyki, wypowiedziane w obcym, nie znanym mi zupełnie języku. Tylko z ich tonu i brzmienia domyśliłem się, że to muszą być straszne przekleństwa. Nie dziwcie mu się i nie miejcie do niego pretensji. Przecież przybył z Europy. Tam nie uważa się tego za grzech.

Przystanąłem wówczas bezwiednie przy drzwiach.

- Ty idioto! - dobiegły do mnie teraz malajskie słowa doktora. - To ja ciebie chcę traktować jak człowieka, a nie jak bydlę, a ty mi się w ten sposób wywdzięczasz? Nie potrafisz zrozumieć nawet tak prostej rzeczy?

Zadrzałem na całym ciele, były to bowiem bardzo przykre słowa, których nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy usłyszeć. Tam, w pokoju, ktoś chodził wielkimi krokami i właśnie musiał w zdenerwowaniu o coś zawadzić, usłyszałem bowiem stuk upadającego na ziemię przedmiotu.

Znowu rozległy się klątwy w tym obcym języku, który musiał być ojczystym językiem doktora.

- Zamieniłeś się w niewolnika - dodał zaraz po malajsku, unosząc się coraz bardziej. - Zatraciłeś godność i chcesz, aby inni postępowali tak samo. Po coś to wszystko rozgadał?

- O tuanie! - dobiegł mnie cichy, pokorny głos przygnębionego Mijuna. - Tak musiało być. Nie wolno zmieniać dobrych obyczajów, których każą przestrzegać nasi starsi bracia, Holendrzy...

Odskokczyłem od drzwi. Tuan Borski wpadł widocznie we wściekłość, gdyż zaczął wymyślać tak głośno, że aż zatkałem uszy. Wybiegłem z hotelu, wstrząśnięty do głębi, radując się w duchu, że pracuję dla grzecznego Francuza, który nigdy nie podniósł na mnie głosu. Co prawda, z tej przypadkowo podsłuchanej rozmowy niewiele mogłem zrozumieć, serdecznie mi jednak było żal poczciwego Mijuna. Do czego to podobne, żeby tak krzyczeć na biednego człowieka? Byłem święcie przekonany, że doktor wyrządza mu krzywdę.

Wieczorem opowiedziałem o wszystkim ojcu. Ku memu najwyższemu zdumieniu on nie tylko nie zganił tuana, ale przyjął moje ubolewania z wyraźną niechęcią.

- Mijuna opętał Demon Głupoty - przerwał krótko moje wywody. - Nie wtrącaj się do tej sprawy.

Przycichłem od razu, ojca bowiem bardzo szanowałem nie tylko dlatego, że był moim ojcem, ale że był mądrym człowiekiem. Ile razy jednak odtąd zobaczyłem Mijuna, przypominała mi się cała sprawa, uprzedzenie zaś do tuana wzrastało.

Co on zrobił z tego pocziwca? Mijun wyglądał coraz gorzej, na jego twarzy rysowało się przygnębienie, unikał ludzi. Mówiono coraz głośniejsze, że jego stosunki z doktorem układają się bardzo źle, że codziennie rozlegają się wymyślania. Byli tacy, którzy, tak samo jak ja, ganili tuana, twierdząc, że zachowuje się niewłaściwie. Inni jednak postępowali podobnie jak ojciec: zbywali krótko moje pytania, zachowując tajemnicze milczenie.

Tak minął styczeń i luty, nadszedł marzec, wzmożyły się deszcze. Tuan Borski pracował niezmiernie. Urządzał liczne wycieczki do pięknych lasów na zboczach Salaku i wulkanu Gede, na piaskowcowe wzgórza regencji Preanger, w okolicy Gunung Pantiar, a nawet na odległe tereny Sukabumi i Nialindung. Z każdej takiej wyprawy tragarze przynosili obfity łup. Składali w herbarium setki roślin, potem zaś doktor zamykał się w nim i często pracował nawet w nocy. Kiedyś wszedłem tam w czasie jego nieobecności. Wszędzie panował wzorowy porządek. Na stołach, w szafach, na półkach porozkładane były liście, nasiona, korzenie, a niekiedy nawet całe rośliny. Na ten widok aż się schwyciłem za głowę; nie domyślałem się dotąd, że na naszej wyspie paprotniki są reprezentowane w tak wielu gatunkach.

Mijun też brał udział w tych wszystkich wyprawach, chociaż tuan Borski patrzył na niego coraz bardziej niechętnie. Któregoś dnia ujrzałem ich obu. Mijun szedł pokorny, zgarbiony. Doktor nie zwracał na niego uwagi, ani się nie odzywał. Był chmurny, zdawało się, że wstrząsa nim gniew. Znowu pożałowałem Mijuna i, wybaczenie mi, przyjaciele, po raz pierwszy i ostatni zważyłem w mądrość mojego ojca Paidana. Byłem wówczas przekonany, że tuan Borski jest złym człowiekiem, nie rozumiejącym ani nas, ani Mijuna!...

W połowie marca rozeszła się w Ogrodzie niezwykła wieść: wszyscy naukowcy wyjeżdżają za dwa dni na wyspę Krakatau! Była to i dla wielu z nas przyjemna wiadomość. Ci, którzy mieli udać się z nimi, cieszyli się że ujrzą morze i szczątki wyspy, którą potężne duchy wysadziły przed kilkunastu laty w powietrze.

Wieczorem rozmawiałem o tej sprawie z ojcem. Dowiedziałem się, że mój Francuz zabiera mnie z sobą.

- A co z Mijunem? - zapytałem ciekawie. - On pozostanie w Bogorze?

Ojciec, mój dobry, kochany ojciec, spojrzał na mnie z wyrzutem.

- Nie - odparł powoli - on również pojedzie.

- Ale przecież tuan Borski bardzo się gniewa na niego - wybąkałem speszony. - Sądziłem...

- To źle sądziłeś - przerwał mi ojciec szorstko, co u niego było zupełnie wyjątkowym zjawiskiem. - Tuan Borski jest sprawiedliwy. Nie gniewa się na Mijuna, lecz na Demona Głupoty, któremu uległ ten człowiek.

Powtarzał to po raz drugi, więc chociaż nic z tych słów nie zrozumiałem, pochylilem głowę z szacunkiem. Gdzieś w głębi serca czaiła się jednak wątpliwość. Nie dziwcie się, moi mili. Byłem wtedy bardzo młodym człowiekiem. Czuję, że nie mam racji, ale nie mogłem pojąć mądrości, która kryła się w szorstkich słowach mojego ojca Paidana...

III

Tego nie pamiętacie ani wy, ani ja nie pamiętam, działo się to bowiem wówczas, gdy byłem małym dzieckiem, a z was nikogo jeszcze nie było na świecie. Wtedy to któregoś dnia dał się słyszeć na całej Jawie straszliwy huk, a zaraz potem słoneczny dzień zamienił się w noc. Czarnokrwawe, żałobne tumany szczelnie zakryły niebo, na ziemię posypały się kamienie i gorący duszący pył. Morze wzniosło się w górę, zalewając brzegi i roznosząc w strzępy pola ryżowe, kampongi, ludzi, zwierzęta i puszcę.

Opowiadał mi ojciec, że na zachodzie spadł na ziemię deszcz wulkaniczny, który cały kraj zamienił w pustynię, gdzie indziej zaś wysoko w górach znajdowano później wyrzucone przez morze okręty.

Jedna z wysp, znajdująca się właśnie tam, gdzie niedawno schowało się słońce, rozpadła się w gruzy. Ludzi ogarnął strach. Ci, którzy ocalili, składali bóstwom ofiary albo modlili się w meczetach, w chrześcijańskich kościołach i chińskich pagodach. Zlitował się więc w końcu nad swym ludem Najmocniejszy i grzmoty ustały. Przez trzy miesiące jednak wzbijał się jeszcze w niebo potężny słup dymu, mroząc w dzień i w nocy serca swym ponurym, ciemnokrwistym połyskiem.

Do tej właśnie nieszczęsnej wyspy, której znaczna część zatonięła w morzu na zawsze, a to, co z niej pozostało, zaginęło pod zwałami popiołów, teraz mieliśmy popłynąć. Nie dziwcie się więc, moi mili, że zbliżaliśmy się do niej z bijącym sercem, chociaż targała nami również ciekawość.

Natomiast profesor Treub i inni naukowcy z Bogoru byli rozbawieni jak nigdy. Gdy wsiedliśmy na pokład, pogoda była piękna, morze spokojne. Po lewej stronie rysował się zielony brzeg Jawy, wzbijający się błyskawicznie w górę wierzchołkami naszych wspaniałych wulkanów. Po prawej ukazywały się często płaskie, koralowe wysepki. Gdzie to było możliwe, dobijaliśmy do lądu. Obserwowałem wtedy doktora. Ginał od razu w gęstwinie i szperał tam godzinami. Wówczas to zauważyłem coś, co dotychczas uchodziło mojej uwagi. Zawsze biegło za nim wielu innych, niekiedy nawet bardzo poważnych badaczy, a mój Francuz nie odstępował go wkrótce ani na krok. Ni stąd, ni zowąd poprosił go o wyszukanie jakiejś rzadkiej rośliny, którą starał się zdobyć od dawna. Doktor zatrzymał się na chwilę, rozejrzał uważnie po otoczeniu, a potem skierował się prosto do środka wysepki. Tam przystanął znowu, jakby się wahał. Otaczający go Europejczycy zaczęli z niego żartować. Wszyscy byli zdania, że ta roślina nie może rosnąć na wyspie.

- Nie - zaprzeczał tuan stanowczo. - Ona tu musi rosnąć! Zaraz, zaraz... O, już wiem!

Szybko zanurzył się w gąszcz, tnąc zarośla gołokiem. Gdy wyszedł stamtąd, niósł w ręku to, na co wszyscy czekali.

Treub, który też się znajdował w pobliżu, śmiał się pogodnie.

- A mówiłem wam, panowie, że ten człowiek znajdzie każdą roślinę, i to nawet tam, gdzie ona nie rośnie - wykrzyknął. - Po prostu ma nosa. Rzadki to dar.

„Rzadki to dar...” Te słowa wzbudziły we mnie jakiś nieokreślony niepokój. Nie mogłem o nich zapomnieć nawet wówczas, gdy wpłynęliśmy w Cieśninę Sundajską, oddzielającą Jawę od brzegów Sumatry. Niechęć do doktora nie zgasła wprawdzie, lecz w moim sercu zrodziło się nagle, niejasne jeszcze, ale pełne mimowolnego szacunku przecucie. Nasz dyrektor śmiał się,

wspominając o darze. Ja pozostałem poważny. Wiedziałem przecież, jak zresztą wiemy o tym wszyscy, że dar nie jest dziełem przypadku...

Następnego dnia ukazał się przed nami smukły, niewiele różniący się początkowo od nieboskłonu, samotny szczyt. W miarę jak się przybliżaliśmy, wierzchołek rósł, zmieniały się barwy. Błękit zastąpiła szarość, a ta z kolei ustąpiła miejsca soczystej zieleni.

Tym razem zdumiliśmy się nie tylko my, ale i naukowcy. Treub znowu się śmiał.

- Tak, moi panowie - oświadczył - natura nie znosi próżni. Nie tak dawno ta część wyspy, która zdołała się utrzymać na powierzchni, stanowiła tylko martwe usypisko popiołów. TERAZ już na niej krzewi się bujne życie z nasion, naniesionych tu wiatrem i falą.

Odetchnąłem z ulgą, tam bowiem, gdzie są rośliny, każdy czuje się raźniej. Rzeczywiście, nad brzegiem wyrósł już mały las. Głębiej, na stokach, rozkrzewiły się najrozmaitsze trawy, a wśród nich rozległe pola paproci. Doktor cieszył się jak dziecko, mógł bowiem dołączyć nowe okazy do swych zbiorów, i to z wyspy, na której niedawno życie całkowicie wymarło. Zaraz też wybrał się na dłuższą wycieczkę, a że mój Francuz nie odstępował go teraz ani na chwilę, więc i ja udałem się z nimi. Wdarliśmy się wysoko na szczyt, a potem zaczęliśmy go powoli okrążyć. Nie była to łatwa wspinaczka, chociaż z morza zbrocza rysowały się gładko. Ulewne deszcze zrobiły swoje, gdzieś powstały wyrwy i zapadliny. Niespodziewanie zamknęła nam drogę niewielka, ale zupełnie stroma iglica. Na jej wierzchołku rośla śliczna paproć, wdzięcznie rozrzuciwszy swe liście na boki.

Tuan Borski przystanął.

- Zdaje się, że to coś nowego - mruknął spoglądając w górę. - Trzeba by się tam dostać...

Jednakże ani on, ani mój Francuz, chociaż obaj byli zręczni i silni, nie potrafili tego dokonać. Mijunowi również się nie udało, mimo że we wspinaczce mało ludzi mogło mu wówczas w Bogorze dorównać. Doktor, zmęczony i zniechęcony tymi próbami, już zamierzał odejść, lecz wówczas ja postanowiłem spróbować szczęścia. Doktor ucieszył się, zrezygnował bowiem bardzo niechętnie.

- Jeśli tam wejdiesz - oświadczył wesoło - dostaniesz guldena.

Bez słowa przysunąłem się do iglicy, obszedłem ją wkoło, i, ujrawszy ścianę bardziej chropawą, powoli zacząłem wspinać się w górę. Iglica nie była nawet wysoka, lecz nie dawała prawie żadnych punktów oparcia. Mimo to trzymałem się jej sprytnie jak gekko i wreszcie dotarłem na szczyt. Nie będę wam tu opowiadał o okrzykach radości i pochwałach, jakie do mnie dobiegły z dołu. Przyznam się tylko, że byłem wówczas bardzo szczęśliwy. Przyjemnie jest dokonać czegoś, na co inni nie mogą się zdobyć.

Gdy znowu znalazłem się obok doktora, ten chciał mi wręczyć obiecaną nagrodę. Poprzednio nie zwróciłem uwagi na jego słowa. Teraz zrobiło mi się dziwnie nieswojo.

- Dziękuję panu - odmówiłem grzecznie, ale stanowczo. - Nie wszedłem tam dla pieniędzy. Chciałem panu tylko dopomóc.

Zdawało mi się, że ogorzała twarz doktora poczerwieniała nieco, mój Francuz zaś powiedział coś wesołego w swoim rodzimym języku i zatarł ręce. Tuan Borski popatrzył na mnie jakoś przeciągle, badawczo. Nie odezwał się więcej i w zupełnym milczeniu wróciliśmy na statek.

Gdy wreszcie znaleźliśmy się w domu, ojciec rozpoczął ze mną wieczorem bardzo poważną rozmowę.

- Twój Francuz odjeżdża za kilka dni... - rzekł w zamyśleniu.

Skinąłem głową. Rzeczywiście, Francuz przyjechał do Bogoru jedynie po swoje zbiory i rzeczy, a 30 marca miał się udać do Djakarty, stamtąd zaś odpłynąć do Europy.

- Mijun pracuje u tuana Borskiego tylko do końca tego miesiąca - ojciec ocknął się z zadumy i wpatrzył się we mnie uważnie. - Teraz ty u niego obejmiesz służbę.

Zdrętwiałem, naraz bowiem wszystkie krzyki i wymyślenia, których niegdyś byłem świadkiem, zmroziły mnie strasznym wspomnieniem. Zdawało mi się, że jeszcze teraz je słyszę i widzę gniewny wzrok doktora, spoczywający na nieszczęsnym Mijunie. Czyżby mnie miało oczekiwać to samo?...

Zwiesiłem głowę w rozpacz, lecz, oczywiście, nie przeciwstawiłem się, bo wola ojca jest święta. On zaś już nie wracał do tej rozmowy. Dopiero gdy pożegnałem się z Francuzem, zaprowadził mnie do tuana Borskiego.

- O panie - przemówił kłaniając się z całym szacunkiem, a i ja uczyniłem to samo - przyprowadziłem ci mego syna! To dobry chłopak. I sprytny.

Doktor objął mnie znowu tym badawczym spojrzeniem, jak to niegdyś uczynił na wyspie, ja zaś próbowałem się do niego uśmiechnąć. Nic z tego nie wyszło. Zauważyłem porozrzucane wszędzie książki i znowu biedny Mijun stanął przede mną jak żywy.

- Sądysz, że będzie można na nim polegać? - doszły do mnie jak przez sen słowa tuana. - Nie da się opanować Demonowi Głupoty?

Otworzyłem szeroko oczy. Wiecie przecież, że biali ludzie nie wierzą w demony, a ten przemawiał teraz z taką powagą, że nawet nie przyszło mi na myśl, aby go posądzić o żart.

- Może pan być całkowicie spokojny - upewnił go natychmiast mój ojciec. - To pojętny chłopak. Potrafi milczeć i uczy się szybko.

Wtedy zaś, o bracia, stało się to, o czym nie myślałem nigdy i co przeczyło wszelkim przyjętym u nas zwyczajom. Ojciec pokłonił się nisko, a wiecie, co zrobił doktor? Oto wyciągnął do niego rękę i serdecznie ucisnął mu dłoń. Wy, młodzi, którzy mnie teraz słuchacie, nie rozumiecie znaczenia tego gestu przyjaźni. Były to jednak inne czasy niż dziś. Europejczyk, który by ośmielił się podać rękę Jawajczykowi, byłby wyklęty przez innych. Co zaś najważniejsze, wielu z nas sądziło, że takie postępowanie jest słuszne. Niegdyś przecież, gdy rządili nami nasi książęta, też uważano taką poufałość za wielką zniewagę. Toteż wstrząsały mną najprzedziwniejsze uczucia. Gdy zaś doktor z kolei i mnie podał rękę, aż poczerwieniałem z wrażenia. Przyjąłem ją jak umiałem najgrzeczniej i w wielkim pomieszeniu skłoniłem się prawie do ziemi.

Kiedy znaleźliśmy się poza hotelem, ojciec nie udał się od razu do domu. Poprowadził mnie przez Ogród i przystanął dopiero w alei, w tym właśnie miejscu, gdzie dwa święte waringiny tworzą nad nią przepiękną kopułę.

- Nong_nong - odezwał się tak uroczyście, jak gdyby drzewo, pod którym odpoczywał niegdyś Budda, pragnął przywołać na świadka - pamiętaj, że tuan Borski to zupełnie inny człowiek niż ci, których dotychczas widziałeś. Patrz uważnie, ucz się i milcz. Cokolwiek będzie robił - nie dziw się i nie wspominaj o tym nikomu.

Jego zawsze dobre oczy spoglądały teraz surowo.

- Ty będziesz dobierał mu ludzi na wszystkie wyprawy - ciągnął dalej po chwili. - Muszą być oni tak samo milczący jak ty.

Słuchałem w głębokim skupieniu. Coś mi się zaczęło rozjaśniać w głowie.

- Więcej nic ci nie powiem - ojciec pochylił głowę, jakby w obawie, że ktoś go może podsłuchać. - Powtarzam raz jeszcze: miej oczy szeroko otwarte, ucz się i milcz.

Chciałem o coś zapytać, ale naraz zabrakło mi słów. Byłem wstrząśnięty tą tajemnicą, która miała odtąd kierować moimi krokami. Ojciec zaś obserwował mnie nadal czujnie, starając się widocznie upewnić, czy moje zdolności odpowiadają jego nadziejom. Chociaż zawsze odnosiłem się do niego z wielkim szacunkiem, to jednak ukłon, który teraz przed nim

złożyłem, był bardziej korny niż zwykle. Nie rozumiałem jeszcze dokładnie, o co tu idzie, lecz czułem, że jego słowa wypływają z głębokiej mądrości.

IV

Wiatr powiał, zachrzęściły rosnące nad nami palmy, gdzieś obok zadygotały w wielkim rozgwarze wiechy smukłych bambusów. Ogromnym chórem rozśpiewały się naokoło zawsze radosne piewiki. One również snują swe opowieści. W taką noc ciepłą, przepojoną zapachem storczyków, wszędzie rodzi się baśń, napływają z przeszłości tkliwe, serdeczne wspomnienia. Coraz szczelniej otaczają mnie postaci tych, którzy dawno umarli. Stoją tu przy mnie i ślą mi pogodne, zachęcające uśmiechy. Patrzę na nie. Widzę bliskie twarze, słyszę szepty, doskonale rozumiem delikatne ruchy ich warg. Czuję się tak samo jak niegdyś wśród wiernych, oddanych przyjaciół. Życie bowiem, o moi mili, jest ciągle niezmiennie. Odmienia się tylko barwa i kształt.

O przyjaciele! Oto przede mną pojawia się tuan Borski. Naokoło zarysowują się coraz wyraźniej ściany jego pokoju w hotelu. Widzę także dużą szafę, kilka krzeseł, łóżko i stół. Doktor stoi pośrodku i spogląda na drzwi. Jest 1 kwietnia, godzina szósta rano. Wchodzę właśnie, aby rozpocząć służbę. Spogląda na mnie przyjaźnie, lecz nie ma na jego twarzy uśmiechu. Daje mi kilka wskazówek i zaraz potem wychodzi.

Tak więc, moi mili, pracę swą rozpocząłem samotnie. Trochę czułem się jeszcze nieswojo, każdy bowiem kąt przypominał mi biednego Mijuna. Wziąłem się jednak w garść i zabrałem ostro do robienia porządków. Z rzeczami nie było kłopotu, natomiast gdy przyszło do notatek i książek, w pierwszej chwili stanąłem bezradny.

Wiedziałem z doświadczenia, że każdy z naukowców ma swoje ulubione miejsca i nie cierpi, gdy coś tam ustawi się trochę inaczej. Z drugiej jednak strony, nie mogłem przecież pogodzić się z bałaganem, jaki tutaj panował. Wszystko było porzrzućane. Książki znajdowały się w szafie, ale leżało ich też sporo na krzesłach, na oknach, a nawet i na podłodze. Widać było, że Mijun nie wtrącał się do tej sprawy.

Przez pewien czas spoglądałem zakłopotany, nie wiedząc, czy lepiej tego nie ruszać, czy też właśnie zrobić z tym wszystkim porządek. Zastanowiłem się, jak by w tej sytuacji postąpił mój ojciec, i od razu znalazłem odpowiedź. Oczywiście on by się nie ugiął przed nierozsądnymi zachciankami nawet najpoważniejszych uczonych. Należało to wszystko urządzić od nowa.

Zabrałem się więc raźnie do tej wielkiej roboty. Wykonanie dwóch półek z prętów bambusowych było dla mnie drobnostką. Ustawiłem je w kątach pokoju, a potem posegregowałem wszystko. Znałem się na tym dobrze, u takich bowiem ludzi pracowałem od dziecka. Książki ułożyłem oddzielnie, czasopisma oddzielnie, na wierzchu zaś poukładałem notatki. Na stole pozostał jedynie otwarty zeszyt, w którym doktor zapisywał widocznie swoje ostatnie wrażenia.

Popatrzyłem teraz w zamyśleniu na kilka książek, które odłożyłem na bok, ponieważ nie pasowały do żadnego kompletu. Były drukowane w jakimś obcym, nie znanym mi zupełnie

języku. Że to nie dzieła naukowe, domyśliłem się od razu, ponieważ były pisane przeważnie wierszem, a poza tym nie zawierały ani słów łacińskich, ani obrazków. Jeśli doktor przywiózł je z sobą, to znaczy, że je bardzo lubił, o czym zresztą świadczyły ślady częstego czytania.

Wywnioskowałem z tego, że należy je bardzo szanować i ułożyć tak, aby były zawsze pod ręką. Udałem się więc znów do Ogrodu, przyciąłem kilkanaście pręcików, powiązałem ładnie i powstała z tego lekka, wisząca półeczka. Umocowałem ją nad łóżkiem, rozumowałem bowiem słusznie, że jeśli tuan tak bardzo je ceni, to z pewnością najchętniej zagłąda do nich, gdy leży już w łóżku.

Tak byłem zajęty tymi pracami, że nie spostrzegłem, kiedy nadeszło południe. Niespodziewanie usłyszałem za drzwiami kroki. Rozejrzałem się szybko po izbie: wszystko w porządku. Półki prezentowały się świetnie, książki radowały oczy swoim świeżym wyglądem.

Doktor wszedł powoli i uważnie zamknął za sobą drzwi. Twarz miał skupioną, na czole rysowały się zmarszczki. Dopiero gdy rzucił okiem na pokój, jego zamyślenie zniknęło, zadrgały mu nerwowo policzki. Skłoniłem się w zakłopotaniu, nie wiedząc, czy spotka mnie pochwała, czy gniew. Gdy się wyprostowałem, też nic nie mogłem zmiarkować, bo na mnie nie patrzył. W każdym razie nie kłął, i to już było pociechą. Podeszedł w milczeniu do półek, wyciągnął po kolei kilka książek i zaraz je włożył dokładnie w to samo miejsce.

- Hm... - mruknął nie odwracając się do mnie - a gdzie notatki?

Podbiegłem szybko i wskazałem je grzecznie. Poszperał znowu, przerzucił niektóre kartki i położył je ostrożnie w tym samym porządku, w jakim leżały poprzednio. To mi dodało ducha. Szanował jednak cudzą pracę. Nie wyglądało na to, że będzie tu wprowadzał bałagan.

- Hm... - mruknął powtórnie, rozglądając się uważnie dokoła.

Natychmiast poczułem się raźniej. W tym nieco chropawym pomruku wcale nie było gniewu. Zaraz jednak targnął mną głuchy niepokój. Tuan bowiem pochylił się nagle i gorączkowo zaczął przeglądać grzbiety książek na obu półkach, jakby w obawie, że czegoś tam brak. Nie zorientowałem się w pierwszej chwili, o co mu idzie?

- A gdzie reszta? - wykrzyknął.

Odetchnąłem z ulgą i wskazałem półeczkę nad łóżkiem. Gdy na nią spojrział, twarz mu rozbliżyła ciepłem. Zbliżył się do niej, wziął jedną z książek do ręki, rozłożył w połowie i poruszył wargami, jak to często robi człowiek, gdy czyta. Stałem z boku i obserwowałem go pilnie. Coś gorącego, tkliwego odbiło się na tym poważnym, skupionym do tej pory obliczu. Domyśliłem się słusznie: tamte książki szanował, te kochał serdecznie.

- Hm... - odezwał się po raz trzeci, kładąc książkę z powrotem na półkę. - A to dopiero!...

Ostatnie słowa wymówił w obcym języku, widocznie po polsku. Nie zrozumiałem wtedy ich treści, ale w tych krótkich, przeciągle wypowiedzianych dźwiękach było tyle wdzięczności i głębokiego zadowolenia, że wystarczyły mi one za najgorętszą pochwałę. Gdy się wreszcie odwrócił, twarz jego wyglądała jak przedtem. Objął mnie zamyślnym spojrzeniem.

- Jutro zajrzyj do mnie do herbarium - przemówił po chwili bez najmniejszego cienia uśmiechu. - Może tam też uda ci się zaprowadzić taki porządek...

Rzeczywiście mi się udało. Na roślinach już wtedy znałem się niezłe, a i z mikroskopem potrafiłem się doskonale obchodzić. Zrobić porządek, a utrzymać go - to jednak dwie rzeczy różne. Zbiory paprotników były olbrzymie, notatek wiele. Doktor przechodził często z jednego końca sali na drugi. Tu pozostawił ołówek, tam znów scyzoryk, gdzie indziej notes czy kartkę z zapiskami, które przed chwilą porobił. Ginęło to wszystko w stosach zieleni, odszukanie zaś zabierało nam dużo cennego czasu. Martwiłem się coraz bardziej. Tuan często się denerwował, robota się rwała. Mimo to po dwóch tygodniach wybrnęliśmy jakoś z tych wszystkich kłopotów, okazy zebrane w czasie ostatnich wycieczek udało się opracować.

- Przygotuj ludzi - rzekł do mnie doktor któregoś wieczoru. - Jutro wyjeżdżamy do Telaga Bodas.

Byłem przekonany, że mój ojciec również wyruszy, gdyż dotychczas zawsze towarzyszył tuanowi w takich wyprawach. Jakież było moje zdziwienie, gdy dowiedziałem się, że to właśnie ja mam go obecnie zastąpić.

- Należy wypróbować twe siły - oświadczył, gdy go o to spytałem.

- Pamiętaj tylko: dobierz starannie ludzi.

Wziąłem tę sprawę bardzo do serca, toteż nie szczędziłem trudu, aby wywiązać się jak najlepiej. Chłopcy, których zabrałem z sobą, niewiele się różnili ode mnie. Byli silni, weseli i tak samo sprytni jak ja.

Do Garut jechaliśmy koleją. Wiecie, że to przepiękna droga. Pociąg wspina się zakosami, z trudem wymija potężne masywy górskie, przeskakuje przełęcz, toczy się z ciężkim dudnieniem przez mosty i liczne, całkowicie ciemne tunele. Naokoło wspinają się zbocza pokryte puszcza, pod wami migoczą wstęgi huczących głucho strumieni. To znów dla odmiany ukazują się w głębokich dolinach pola ryżowe, tonące w ogrodach kampongi, ludzie pracujący w polu i nasze łagodne bawoły, prowadzone rękami dzieci. W dali giną w błękitnie strzeliste szczyty wulkanów.

Wszystko to barwne, pogodne, uroczne. Europejczycy nazywali tę ziemię Szwajcarią Jawajską, i słusznie.

W Bandungu przesiedliśmy się do innego pociągu i jeszcze tego samego dnia znaleźliśmy się w Garut. Przenocowaliśmy w tym ślicznym miasteczku górskim, nazajutrz zaś, jeszcze przed świtaniem, byliśmy gotowi do dalszej podróży.

Sądziłem, że tuan Borski wynajmie dla siebie sado albo konia, lecz gdy go o to spytałem, zbył mnie krótkim, trochę niecierpliwym stwierdzeniem:

- Mam tak samo dobre nogi jak wy.

Trochę mnie to zaskoczyło, żaden bowiem Europejczyk nie chodzi pieszo, jeśli tylko ma czym pojechać, ponieważ jednak przyzwyczałem się już do myśli, że on się bardzo różni od innych, więc nic nie odrzekłem. Ustawiłem ludzi w szyku i ruszyliśmy. Jak to zwykle bywa w takich przypadkach - na przedzie szedł jeden z moich przyjaciół z puszką botaniczną i gołokiem, aby torować drogę w puszczy, gdyby zaszła potrzeba. Za nim znajdował się tuan, w białym ubraniu i słomkowym kapeluszu, z laseczką w rękę. W tamtych czasach Europejczyk nic więcej nie mógł dźwigać, uwłaczałoby to jego godności. Ja stanąłem za nim, niosąc olbrzymi parasol, oznakę godności i władzy, która miała go zresztą chronić także przed słońcem. Dalej dopiero, w pewnej odległości, posuwali się czterej tragarze. Na naszych zwykłych bambusowych nosidłach dźwigali zapasy żywności.

Wy, starsi, którzy mnie teraz słuchacie, widzieliście nieraz taki obrazek, ale nie dziwcie się, że opisuję go tak szczegółowo. Przekonacie się wkrótce, że ma to swoje znaczenie. Przez miasto kroczyliśmy z wielką paradą.

Ludzie zatrzymywali się na nasz widok i kłaniali z szacunkiem, niektórzy nawet klękali przed białym. Było to wtedy zjawisko normalne.

Dopóki szliśmy ulicami, doktor maszerował wolno, z powagą, jak tego wymagały przepisy. Ledwie jednak znaleźliśmy się poza ostatnim domostwem, natychmiast przyśpieszył kroku i wysunął się na czoło pochodu. Próbowałem za nim nadążyć. Nie było to łatwe. Parasol, jak wiecie, jest ciężki i niewygodny do niesienia, toteż nogi zaczęły mi się plątać, kilka razy zawadziłem o kamień i wreszcie cicho syknąłem z bólu. Doktor obejrzał się poza siebie.

- Jeszcze dźwigasz? - zapytał rozweselony. - Ciśnij to w krzaki!

O przyjaciele!. Ja, Nong_nong, dziś starzec sędziwy, przyznam się wam ze wstydem, że zdrętwiałem usłyszawszy te słowa. Na owe czasy było to po prostu bluźnierstwo. Europejczyk bez parasola! Gdzie jego powaga? Gdzie dobre obyczaje, których uczyli nas w ciągu wieków najpierw książęta, a potem nasi starsi bracia, Holendrzy?

O panie - szepnąłem wstrząśnięty, mimo woli powtarzając słowa biednego Mijuna - tak przecież nie można...

Po twarzy doktora przemknęło coś na kształt gniewu.

- Rzuć w krzaki! - powtórzył szorstko. - Zabierzemy go z sobą, gdy będziemy wracali.

Przestałem się wahać, wola bowiem Europejczyka była dla nas najwyższym prawem. Nie wyzyłem się jednak zakłopotania. Z bijącym sercem wsunąłem się głęboko w zarośla i ukryłem starannie pajong pod gałęziami. Nie dlatego, że mógłby zginąć, bo przecież nikt nie śmiałyby przywłaszczyć sobie takiego przedmiotu. Bałem się natomiast, że ktoś mógłby oddać go władzom, a to sprowadziłoby na głowę tuana masę kłopotów.

Kiedy znalazłem się znowu na drodze, zerknąłem spod oka na ludzi. Przyjęli to nadspodziewanie pogodnie. Uśmiechnąłem się do nich z przymusem, a potem dogoniłem pośpiesznie doktora.

Gdybyście wiedzieli, jak on maszerował! My umiemy chodzić po górach i dotąd nie widziałem Europejczyka, który by nam potrafił dotrzymać kroku. Odbiera mu siły straszny dla niego upał i przesycone wilgocią powietrze. Po doktorze zaś wcale nie znać było zmęczenia. Szedł na czele wesoły i uśmiechnięty, jego dotychczasowa powaga zniknęła bez śladu. Nie był teraz zupełnie podobny do tego skupionego zazwyczaj uczonego z Bogoru. Coraz częściej żartował. Nim się spostrzegliśmy, stanowiliśmy jedną rozbawioną gromadę. Zapomnieliśmy, że pochodzi on z Europy, a my się urodziliśmy na Jawie.

Minęliśmy jakąś wioskę i zaczęliśmy wspinać się po ścieżynie prowadzącej na szczyt. Wkrótce las, który otaczał nas do tej pory, zrzędł i niespodziewanie roztoczył się przed naszymi oczyma widok, który musiał z pewnością zachwycić serce doktora. Wszędzie rosły widłaki i różne gatunki paproci.

Tuan szedł teraz na przełaj. Szukał czujnie zdobyczy. Ja również robiłem to samo. Wiedziałem przecież doskonale, co się znajduje w herbarium, wszystko więc, czego tam nie było, należało podnosić. Doktor niekiedy przystawał, nieustannie coś notował na niewielkich karteczkach, po chwili zaś znowu wędrował dalej. W powietrzu czuło się zapach siarki. Paprocie też w końcu zniknęły i znaleźliśmy się na małej płaszczyźnie. W głębi ukazało się Telaga Bodas, cel naszej

podróży. Woda w tym jeziorze była biała jak mleko. Syczała ciągle, na jej powierzchni ukazywały się tysiące baniek, pękających pod wpływem gazów wydobywających się z wnętrza.

Obejrzeliliśmy jeszcze skały o żółtozłotym nalocie siarczanym i znajdujące się obok gorące źródła, a potem zaczęliśmy schodzić po zboczu. Niżej, w lesie, gdzie czekali na nas tragarze, posililiśmy się, później zaś znowu zabraliśmy się do roboty. Na tej wysokości upał mniej dokuczał, toteż dłuższy wypoczynek był niepotrzebny.

Pracowaliśmy tam przez cztery dni, badając starannie wszystkie zakątki puszczy, rosnącej na stokach góry. Notatki doktora powiększały się szybko, rosły zbiory paproci. Ja, niestety, nie miałem specjalnie szczęścia; do tej pory nie znalazłem nic ciekawego. Za to nazajutrz, gdy już mieliśmy schodzić w doliny, natrafiłem na śliczną paproć, ukrytą w silnie zacienionej gęstwinie.

- O la, la! - wykrzyknąłem w zachwycie. Tuan Borski, który znajdował się niedaleko, widocznie usłyszał i zrozumiał, że odkryłem coś niezwykłego.

- Co się stało, Nong_nong? - zapytał.

- Panie, paproć. Takiej jeszcze nie mamy w herbarium...

Doktor zbliżył się i obejrzał. Z radością spostrzegłem, że był tak samo zachwycony jak ja.

- A to dopiero! - zawołał w swoim rodzinnym języku. - Tego rzeczywiście nie mamy - dodał już po malajsku. - Twój ojciec Paidan miał rację. Będzie z ciebie botanik.

Pokraśniałem z zadowolenia, bo to była nie lada pochwała, wypowiedziana prosto i szczerze.

Skłoniłem mu się w podzięcie i ruszyliśmy dalej tuż obok siebie. Okazało się, że ta paproć była tu pospolita, lecz trzymała się tylko bardzo ciemnych stanowisk. Wędrując tak, spoglądaliśmy nie tylko na ziemię, ale również na pnie. Wiele przecież naszych jawajskich paproci rośnie niekiedy bardzo wysoko.

- A tam, co to takiego? - doktor zatrzymał się i wskazał w górę.

Uniosłem głowę. Miał dobry wzrok. Zobaczyłem w koronach drzew jakieś niezwykle liście, wyraźnie kłócące się z otoczeniem.

- Chyba również paproć... - odpowiedziałem trochę niepewnie.

- Tak sądzisz? Mnie też się tak wydaje. Mógłbyś tam wejść?

Drzewo było wysokie, lecz stosunkowo cienkie, toteż nie sprawiło mi to szczególnej trudności. Rzeczywiście znalazłem nie znany mi dotychczas gatunek. Przy zrywaniu umazałem sobie rękę jakąś nieprzyjemną mazią, którą były oblepione gałęzie. Doktor zauważył to natychmiast, gdy znalazłem się znowu na ziemi.

- A to co za licho? - mruknął podnosząc moją rękę do oczu. - Czyżby...

Wydawał się podniecony. Wyjął z kieszeni szkło powiększające i zbadał uważnie ciemnobrązowe plamy. W niektórych miejscach przypominały one swoim wyglądem jakby kępki mchu, tylko że ich wymiary były nieuchwytnie dla oka.

- Musisz tam wejść jeszcze raz - rzekł w zamyśleniu. - Nie, to na nic... zafrasował się nagle.

- Ja sam muszę to obejrzeć na miejscu.

Zanim zorientowałem się, co ma na myśli, zrzucił marynarkę, stanął przy pniu i zaczął się wspinać w górę. Zdumiałem się. Nie widziałem nigdy ani nie słyszałem, aby jakiś Europejczyk wchodził u nas, na Jawie, na drzewa. Oczywiście nie udało mu się. Był w butach, ześliznął się więc wkrótce i stanął bezradnie na ziemi.

- Ja tam wejść, panie - odezwałem się grzecznie, sądząc, że chce mnie oszczędzić. - Dla mnie to drobnostka. Jestem przecież boso.

Doktor stuknął się w czoło. Nie przypuszczałem, że moje skromne słowa wywrą na nim tak wielkie wrażenie.

- Zrozumiałe, masz rację! - potwierdził wesoło.

Natychmiast zdjął obuwie, ja zaś widząc, że bierze tę sprawę na serio, odciąłem kawał miękkiej liany i przywiązałem go do pnia, jak to robią nasi telegrafici. To rzeczywiście pomogło. Doktor szybko nabrał wprawy i wspinał się coraz zręczniejszymi. Obawiając się, żeby jednak nie stało mu się coś złego, poszedłem też w jego ślady.

- A, i ty jesteś!... - ucieszył się, ujrawszy mnie obok siebie między listowiem. - Świetnie! Gdzie to znalazłeś?

Wskazałem mu miejsce. Aż świsnął z zadowolenia.

- A to dopiero! - wykrzyknął. - Naprawdę grzyb.

Zdziwiłem się, gdyż wcale się na tym jeszcze nie znałem, grzyby zaś, które oglądałem dotychczas, były duże i wyglądały zupełnie inaczej. Zrobiłem nieśmiałą uwagę.

- Bo to nie jest zwyczajny grzyb - doktor był w doskonałym humorze. - Ten zabija, chociaż na pozór wygląda bardzo niewinnie.

Widząc zaś w dalszym ciągu niezrozumienie, rysujące się wyraźnie na mojej twarzy, dodał poważnie:

- To straszny stwór. To - jak by ci tu powiedzieć?... to taki prawdziwy jawajski Demon Zniszczenia! Pożera on drzewo powoli, ale tak długo, dopóki go nie doprowadzi do śmierci.

Teraz sprawa była dla mnie jasna, ale to mi wcale nie dodało otuchy. Wyobraźcie sobie, że tuż koło was znajduje się Demon Zniszczenia. Przecież to straszne! Rozejrzałem się z lękiem. W koronie było dość ciemno, migały wszędzie jakieś tajemnicze cienie i blaski. Byłem szczęśliwy, gdy wreszcie dotknąłem ziemi.

Poważaliśmy się jeszcze trochę po lesie, a potem udaliśmy się w drogę powrotną. Musiałem wtedy wyglądać dziwnie, tragarze bowiem, gdy połączyliśmy się z nimi, obserwowali mnie jakoś spod oka. Byłem milczący i zamyślony. Oni, naturalnie, nie mogli się domyślić przyczyny. Nie przyszłoby im nawet do głowy, że w mojej puszcze znajduje się straszny Demon Zniszczenia...

Za to tuan Borski był niezwykle wesoły. Nucił nawet jakąś skoczną, niezrozumiałą dla nas piosenkę. Niespodziewanie przystanął.

- Nong_nong! - wykrzyknął. - Pajong!

Ocknąłem się od razu z zadumy. Spojrzałem w bok. Miejsce było mi znane. Tak, to przecież w tych zaroślach ukryłem parasol. Jak on to doskonale pamiętał. Skoczyłem w gąszcz i wyniosłem sprofanowany przedmiot na drogę.

- No, chłopcy, ustawić się w rząd! - tuan poganiał nas dobrodusznie. - Wchodzimy do Garut tak, jak tego wymagają pradawne jawajskie zwyczaje.

Mrugnął figlarnie na jednego z moich przyjaciół, który brał udział w poprzednich wyprawach. Ten roześmiał się cicho.

- Co się za tym kryje? - zapytałem go szeptem.

- Nie wiesz? - zdziwił się. - Przecież Mijun właśnie z tego powodu stracił posiadłość...

Doktor odszedł na chwilę, aby zerwać jakieś liście, które zwróciły jego uwagę.

- Gdy wybraliśmy się na pierwszą wycieczkę - wyjaśniał mi gorączkowo przyjaciel - tuan również kazał wyrzucić pajong. Mijun oburzony tym niesłychanym postępkami opowiadał o tym głośno, aż wreszcie sprawa doszła do Treuba. Ten wezwał do siebie doktora. Rozmowa musiała być przykra, wiesz przecież, że Holendrzy bardzo nie lubią, gdy odmienia się ustalony przez nich porządek...

Mój przyjaciel urwał nagle, doktor bowiem powracał. Oddał zebrane gałązki, a potem ukrył się pod pajongiem.

- Jak tam, chłopcy, jesteście gotowi? - zapytał z humorem, jakby domyślił się treści naszej krótkiej rozmowy. - Nie zabieracie przypadkiem z lasu ohydneho Demona Głupoty? Wywinął z rozmachem laską, zrobił jakąś pocieszającą minę i naraz parsknął śmiechem. My, Jawajczycy, którzy nie lubimy objawiać głośno swych uczuć, zrobiliśmy wtedy to samo. Bracia, przyznaję to z wielkim wstydem. Ale nie miejcie nam tego za złe. Trzeba było widzieć tego człowieka. Jak on potrafił się śmiać!... Pajong zakotył się w moich dłoniach i zaczął wyczyniać jakieś niezwykle harce.

- O Nong_nong! - zawołał doktor spoglądając na mnie z udanym przejęciem. - Gdzie twoja powaga?

- O panie - odparłem beztrąsko - czyż nie widzisz? Odganiem od nas Demona Głupoty!

Bardzo spodobała się wszystkim moja odpowiedź - toteż znowu rozległ się żywiołowy, młodzieńczy śmiech. Długo nie mogliśmy się uspokoić i dopiero gdy wkroczyliśmy do Garut, zapanował wreszcie porządek. Tuan machał z powagą laską, my szliśmy gęsiego, pajong unosił się uroczyście.

Od tej pory Demon Głupoty do żadnego z nas nie miał już nigdy dostępu.

V

Tak więc zrozumiałem nareszcie, dlaczego tuan Borski nie lubił Mijuna i dlaczego mój ojciec, Paidan, darzył go tak wielkim szacunkiem. Demon Głupoty, o przyjaciele, jest straszliwym wrogiem człowieka, gorszym nawet od złości. Ten, kogo on opanuje, zamienia się w niewolnika i traci poczucie własnej godności. Zrozumiałem wtedy jeszcze jedną prawdę, która dotąd była przede mną ukryta: w tuanie Borskim czał się bunt. On, człowiek tu obcy, Europejczyk, pozornie stosował się do narzuconych nam od dawna zwyczajów. Gdy jednak miał okazję zetknąć się z nami bezpośrednio, natychmiast zrywał narzucone mu pęta. Miał we krwi głębokie poczucie równości. Mój ojciec, Paidan, zorientował się w tym od razu, gdyż był bardzo mądrym człowiekiem. Ja potrzebowałem na to dużo czasu.

Życie potoczyło się dalej. Pracowaliśmy w herbarium, to znów, dla odmiany, organizowaliśmy nowe wyprawy. Za każdym razem, gdy tylko znaleźliśmy się poza miastem, wesoły rozkaz wprowadzał od razu zupełnie inny porządek.

- Nong_nong - brzmiało hasło - rzuć to!

Ukrywałem więc „to” pospiesznie w krzakach i ruszaliśmy dalej bez zbytecznego bagażu. Później tuan nawet nie potrzebował wypowiadać tych słów. Wprawiłem się w tę rolę. Pajong zniknął jak sen, twarze weselały, marsz nabierał szybkości, a i laseczka wyczyniała zabawne figle, gdyż należała również do naszej kompanii.

Któregoś dnia zakończyliśmy wcześniej prace w herbarium i udaliśmy się do Ogrodu. W drodze powrotnej wstąpiliśmy do pracowni profesora Penziga. Przybył on tu na kilka miesięcy przed moim doktorem w celu opracowania innego działu do tego wydawnictwa, o którym nasz dyrektor marzył od dawna.

- Jak tam pańskie Myxomycetes? - zapytał doktor żartobliwie.

- Daleko do końca?

Penzig był człowiekiem niewiele starszym od niego, o dobrodusznej, pociągłej twarzy. Zawsze uchodził za bardzo solidnego człowieka.

- Ciężka to praca - westchnął zmartwiony. - Znosi się na to, że nawet za półtora roku jej nie zakończę...

- W takim razie pana przegonię. W czerwcu chcę się przerzucić do innej roboty.

Penzig roześmiał się, traktując to jako żart.

- Nie obawiam się konkurencji - odparł. - Jeśli zacząłem wcześniej niż pan, to i wcześniej skończę. Napotyka pan przecież te same przeszkody.

Potem wstąpiliśmy do profesora Schiffnera. Rozmowa potoczyła się mniej więcej tak samo.

- No, Nong_nong - przemówił doktor, gdy znaleźliśmy się znowu w herbarium – ostrzeżliśmy uczciwie naszych współzawodników. To są poważni uczeni, lecz pracują powoli. Mnie się natomiast śpieszy. Musimy skończyć robotę w czerwcu, potem bowiem trzeba się zabrać do Demonów Zniszczenia. Musisz mi w tej pracy pomóc.

Zapaliłem się do tego projektu. W czasie ostatnich wycieczek zaznajomiłem się niezłe z paskudnymi stworami, które kryją się na liściach i pniach, toteż robiły one na mnie coraz mniejsze wrażenie. Pytacie, czy przestałem się bać?

Nie, bracia, ja bałem się ciągle. Oswoiłem się tylko z nimi, tak jak człowiek oswaja się z wojną. Wiedziałem, że są podstępne i groźne. Czy mogłem się jednak odsunąć od tej roboty? Przecież obok mnie stał człowiek obcy tej ziemi, który miał wkrótce wydać im walkę i nie wahał się ani chwili. Czy wolno mi było odmówić mu w takiej sytuacji pomocy? Nie, przyjaciele, nie mogłem go pozostawić samotnie i wiem, że nikt by z was tego nie zrobił.

Toteż, moi mili, słowa doktora przyjąłem bardzo poważnie. Jeśli mamy się bić z demonami, to będziemy się bili wspólnie.

- Panie - rzekłem mu w odpowiedzi - możesz na mnie liczyć. Zrobię wszystko, co będzie potrzebne.

Tuan przyjrzał się mi badawczo.

- To nie takie proste - powiedział w zadumie. - Trzeba będzie często pracować nie tylko przez cały dzień, ale i w nocy...

- Będę pracował w nocy - oświadczyłem stanowczo.

Zastanawiał się nad czymś przez pewien czas, a potem machnął ręką, jakby chciał odegnąć od siebie złe myśli.

- Dobrze - rzekł dziwnie szorstko - niech tak będzie. Jeśli zmęczysz się, zawsze możesz odpocząć. Nie będę miał do ciebie z tego powodu pretensji.

Od tego dnia rzeczywiście zaczęła się gorączkowa praca, o jakiej tu, w Bogorze, nikt do tej pory nie miał pojęcia. Powiem wam więcej: i później nie było nikogo, kto by mu dorównał wytrwałością, szybkością i ogromem wysiłku. Europejczycy pracowali tu jedynie do południa, gdyż męczyły ich późniejsze upały. Ten człowiek zjadał tylko obiad, a potem nic nie potrafiło go oderwać od zajęć, aż nie wykonał zadania. Mnie pozostawił dużą swobodę.

Rano sprzątałem pokój w hotelu, następnie zaś udawałem się do herbarium. Zdążyłem się już dużo od niego nauczyć. Znałem na pamięć nawet nazwy łacińskie czterystu paprotników, które zostały zebrane w czasie wycieczek. Wiedziałem doskonale, gdzie który leży i gdzie się znajdują zapasowe rośliny. Oddzielnie były ułożone grzyby, których też sporo zgromadziliśmy. Niektóre wyschły i zmieniły barwy, inne żyły ciągle, a były i takie, które doktor specjalnie hodował. Rozumiecie, co to znaczy? Hodował Demony Zniszczenia! Tak, w tym nie ma żadnej przesady. I co najdziwniejsze - do mnie należała opieka nad tymi ohydnyimi stworami. W dokładnie określonych godzinach musiałem podlewać je najrozmaitszymi płynami. Trzeba było je żywić. Nie zawsze udawało się wszystko pomyślnie, niektóre bowiem po pewnym czasie marniały. Były jednak i takie, którym udało się nam dogodzić. Te się rozwijały wspaniale.

Któregoś dnia, gdy byłem zajęty właśnie przy tej robocie, słyszę wzburzony głos:

- Nong_nong, scyzoryk!

Skoczyłem jak oparzony, gdyż do tej pory doktor zachowywał się zawsze pogodnie. Spojrzałem na niego. W zdenerwowaniu przerzucał papiery i rośliny, którymi był otoczony. Złamał mu się widocznie ołówek. Ponieważ scyzoryk ginął często w naszej pracowni, więc uspokoilem się zaraz i starym zwyczajem zacząłem obchodzić stoły.

- Gdzież on się podział? - doktor zaklął w swoim rodzinnym języku. - Nong_nong, weźże się do roboty!

„Źle z nim - pomyślałem w duchu - chwyta go Demon Złości. Staje się dla mnie niesprawiedliwy...”.

Z większą energią zacząłem przerzucać rośliny.

- Szukam, panie - próbowałem go zmiękczyć, gdy znowu rozległy się klątwy. Nie miałem jeszcze do niego żadnych pretensji, rozumiałem bowiem, że człowiek, który ciężko pracuje, może się nieraz zapomnieć. Obszedłem wszystkie zakamarki, zajrzałem nawet do szaf. Scyzoryka nigdzie nie było. Przepadł jak kamień w wodzie.

- Nong_nong, dajże go wreszcie! - tuan nie panował nad sobą i w gniewie cisnął o stół stopy notatek.

To mnie ubodło do żywego. O co on ma do mnie pretensję? A poza tym dlaczego rozrzuca notatki? Chce stworzyć nowy bałagan? Przestaje szanować mą pracę?

Ręce zdrząły mi ze wzburzenia. Zajrzałem jeszcze w kącie, gdzie znajdowało się kilka niepotrzebnych paproci. Tam go też, oczywiście, nie było. Za to leżał gołok, tak zwykły nasz gołok do wycinania w gąszczu ścieżyny. Na jego widok zrobiło mi się naraz gorąco. Tak, to jest sposób... Wziąłem go do ręki i twardym krokiem zbliżyłem się do tuana. - Jest, panie - rzekłem podając mu go z ukłonem.

Doktor, szukający ciągle na biurku, odetchnął z ulgą i odwrócił się błyskawicznie. Po jego twarzy przemknął w pierwszej chwili odbłysek radości, ale na widok gołoka zniknął.

- Co ty, kpisz ze mnie? - wybuchnął.

- Panie, to jest nowy scyzoryk - odparłem grzecznie, ale stanowczo, miałem bowiem dość tego ciąglego szukania. - Tamtego dziś nie znajdziemy.

Tuan zmarszczył brwi, lecz trochę się uspokoił.

- Człowieku, przecież to jest dobre do ścinania głów - rzekł biorąc gołok do ręki. - A ty chcesz nim zatemperować ołówek? Nie miał racji. Gołokiem można bez żadnych trudności ścinać grube gałęzie, a nawet i głowy, jeśli zajdzie potrzeba, ale i do ołówka też się doskonale przydaje. Ucieszyłem się jednak wyraźną zmianą jego nastroju. Można było z nim teraz rozmawiać.

- Panie, to lepsze niż scyzoryk - powiedziałem dość obojętnie. - Zaraz panu pokażę, jak to się robi.

Zatemperowałem zręcznie i szybko, bo wiecie przecież, moi mili, że gołok doskonale nadaje się do takich czynności. Koniuszek ołówka był ostry jak igła.

- Hm... - mruknął tuan oglądając go z wielkim zainteresowaniem.

Wziął inny ołówek do ręki i spróbował zrobić to samo. Poszło mu niezdarnie, ale ostatecznie ołówek nadawał się do pisania.

- Hm... - mruknął powtórnie, tym razem znacznie weselej. - Rzeczywiście to sposób godny uwagi.

Oddał mi gołok, ja zaś położyłem go obok na stole, aby był zawsze pod ręką.

- Przyda się - oświadczyłem z powagą. - Taki scyzoryk nie zginie.

Doktor uniósł powoli głowę.

- Tak, taki scyzoryk nie zginie... - powtórzył jak echo.

Popatrzył na mnie tak jakoś badawczo, jak to on tylko potrafił, a potem schwycił znowu gołok do ręki.

- Wiesz, Nong_nong - zawołał wesoło - ty jesteś znacznie mądrzejszy niż ja! Należy sobie upraszczać życie!

Wiedziałem, że żartuje, ale przyznam się szczerze, że te słowa sprawiły mi wówczas dużo radości. Obserwowałem go teraz z wielką uwagą. Złamał wyostrzony ołówek i zaczął go temperować od nowa.

- Muszę się nauczyć tej sztuki - wyjaśnił.

Potrafił być uparty w robocie. Temperował, łamał i zaczynał znów od początku. Niewiele zrobiliśmy tego dnia przy naszych paprotnikach, ale za to pod wieczór tuan temperował niewiele gorzej ode mnie.

- No, nareszcie - odetchnął z ulgą, pokazując mi maleńki kawałek ołówka, który pozostał z naszych zapasów. - To wygląda do rzeczy.

Skinąłem głową z uznaniem. Byłem bardzo zadowolony. Zmarnowaliśmy sporo czasu, ale się opłaciło. Nie będzie teraz długiego, codziennego szukania.

VI

Od tego dnia postanowiłem działać bardziej sprężyście. My, Jawajczycy, niechętnie zdradzamy nasze tajemnice Europejczykom ani nie lubimy ujawniać wobec nich swoich uczuć, odcieśli się bowiem oni od nas murem wyższości. W miarę jednak jak poznawałem doktora, dochodziłem coraz bardziej do przekonania, że jest on zupełnie wyjątkowym człowiekiem. Ten, kto zna się na demonach i nie waha się podjąć z nimi walki, musi zyskać naszą sympatię. Co prawda, zrodziły się też we mnie poważne obawy. Atakował on siły, których nie znał dokładnie i nie wiedział, jakie to może pociągnąć za sobą skutki. Nie orientował się, że demony są solidarne, że będą się broniły zaciekle i że użyją wszystkich sposobów, aby zniszczyć jego nadzieje i prace. Miał już przykład z Demonem Głupoty, a Demon Złości nawet obecnie nie ustawał w swej podstępnej robocie. Wykorzystywał do swych celów każdy drobiazg, choćby nawet taki scyzoryk. Ledwie uporałem się z tą sprawą, już następnego dnia chwycił się innego sposobu.

Zaczęły znikać notatki, przepadały gdzieś preparaty mikroskopowe, ginęły plansze, chociaż ich pilnowałem jak oka w głowie. Tuan denerwował się coraz częściej.

- Nong_nong, gdzie jest to? - padały nieustannie pytania. - Nong_nong, gdzie jest tamto? Nong_nong...

Dwoiłem się i troiłem, lecz niewiele to pomagało. Byłem zmęczony, jednakże trzymałem się w karchach, aby Demon Złości nie chwycił mnie przypadkiem w swoje objęcia. Rozumiałem, że nie mogło być inaczej przy tak wyczerpującej robocie.

Doktor nie tylko kończył opisy paprotników, ale także doglądał grzybów, przyrządzał dla nich różne mikstury, badał pod mikroskopem ich rozwój i notował wyniki doświadczeń. Właśnie te zapiski zaczęły ostatnio sprawiać nam najwięcej kłopotów.

- Nong_nong - usłyszałem znowu któregoś dnia - gdzie te kartki z liczbami?

Doktor oderwał się przed chwilą od swych paproci i siedział teraz przy mikroskopie. Pamiętałem, że przed godziną robił to samo i rzeczywiście coś tam notował na kawałku papieru. Zaczęło się mozolne szukanie.

- Trzeba by wreszcie zaprowadzić w tym jakiś porządek! - przemówił Demon Złości ustami doktora.

Bez słowa podszedłem do stołu, przy którym siedział niedawno. Podniosłem jakiś zeszyt, kartka znajdowała się pod nim. Gdy ją podałem, doktor objął rękami skronie.

- Coś złego dzieje się ze mną - rzekł w zamyśleniu. - Nie zdarzało mi się to dawniej... Oczywiście nie orientował się, że to demony wykorzystują sprytnie jego wyczerpanie i umiejętnie utrudniają mu pracę.

Dla mnie to było jasne, ale nie próbowałem mu tego tłumaczyć. Za krótko mieszkał wśród nas. Na pewno by nie zrozumiał.

- Tuan za dużo pracuje - rzekłem ogólnie. - Trzeba by trochę odpocząć.

Moje słowa zrobiły na nim dobre wrażenie. Spojrzał na mnie z wdzięcznością.

- Niestety, nie mogę - odparł z żalem. - Mam mało czasu.

Wprawdzie nie rozumiałem jeszcze wówczas, dlaczego tak się śpieszy, lecz czułem, że musi mieć bardzo poważne powody. Cóż, trzeba mu było pomóc... Jeśli tak dalej pójdzie, zabiją go nasze demony. Wyglądał źle. Dopiero teraz spostrzegłem, że policzki zapadły się, ponad nimi rysowały się ostro kości. Zmarkotniałem, bo przecież szkoda by było takiego człowieka, z którym wiązałem już wielkie nadzieje. Zastanawiałem się przez dłuższy czas nad tą sprawą i wreszcie znalazłem sposób. Golok doskonale zastąpił scyzoryk, nie ginał teraz, Demona Złości wystrychnąłem sprytnie na dudka. Należało dalej stosować tę samą metodę.

Ponieważ u mnie droga od pomysłu do wykonania jest zawsze krótka, więc i w tym przypadku z miejsca przystąpiłem do czynu. Najpierw udałem się do magazyniera, który był przyjacielem mego ojca, Paidana.

- Daj mi taką grubą księgę - przemówiłem grzecznie - jakiej używa się w biurze do listów. Magazynier wypytał się dokładnie, do czego jest ona potrzebna, lecz gdy mu wyjaśniłem, pokręcił markotnie głową.

- Przykro mi - odpowiedział. - Tych chwilowo zabrakło. Trzeba będzie sprowadzić z Djakarty.

Zakłopotalem się również, bo cały projekt mógł się rozpaść na wstępie. Gdy jednak uprzytomniłem sobie, że to z pewnością także robota demonów, zrodziła się we mnie zaciętość. O czekaniu nie mogło być mowy. Rozejrzałem się uważnie po magazynie.

- A to co takiego? - spytałem, wskazując na olbrzymią księgę leżącą na półce.

- Ech, to nie dla ciebie! Księga buchalteryjna.

Poruszyłem się gorączkowo. Kto wie, czy się ona nie przyda? My też mieliśmy sporo do czynienia z cyframi.

- Pokaż! - poprosiłem szybko.

Magazynier trochę marudził, ale w końcu zdjął z półki. Były tam najrozmaitsze rubryki, to jednak nie przeszkadzało w pisaniu. Za to miała ogromne zalety: twardą płócienną oprawę, wielkie rozmiary i wagę.

- Dobrze - zdecydowałem natychmiast - zabieram ją z sobą.

Magazynier roześmiał się.

- Tuan wyrzuci cię razem z nią - oświadczył wesoło. - Przecież on nie liczy pieniędzy.

To była prawda, lecz ta uwaga nie uczyniła na mnie wrażenia. Doskonale wiedziałem, do czego dążę. Z lekkim sercem ruszyłem w drogę powrotną, chociaż ręce mi wkrótce omdlały, bo księga rzeczywiście była olbrzymia i ciężka. Doniosłem ją jednak szczęśliwie. Tuana nie było, poszedł widocznie na obiad. Uprzątnąłem jeden ze stolików, rozłożyłem na nim swój cenny nabytek i podszedłem do mikroskopu. Obok niego leżało kilka kartek z wynikami ostatnich doświadczeń. Zebrałem je razem, uporządkowałem według dat, zatemperowałem gołokiem ołówkę, bo scyzoryka ciągle nie było, a potem zacząłem przepisywać wszystko do księgi.

O moi mili! Gdybyście widzieli, jak ja się wtedy męczyłem, płakalibyście na samo wspomnienie. Tuan Borski notował w obcym, nie znanym mi zupełnie języku. Trzeba jednak przyznać, że pisał bardzo wyraźnie. Początkowo robota szła opornie, niektórych znaków w ogóle nie potrafiłem odczytać, lecz wtedy starałem się odrysować je tak dokładnie, aby nie było żadnej różnicy. My, Jawajczycy, znamy się na solidnej robocie. Powoli więc zaczęło wychodzić coraz porządniej.

Ta praca zajęła mi pełne trzy dni. Doktor także pisał, co pewien czas odrywał się od mikroskopu czy od hodowli i tak był tym wszystkim zajęty, że na mnie zupełnie nie zwracał uwagi. Co było potrzebne - podawałem mu na czas. Notatki też nie ginęły, gdyż trzymałem je teraz przy sobie. Ukończyłem więc pracę spokojnie i na końcu przejrzałem kartki. Wszystko było przepisane dokładnie, ściśle według dat, nie mogło być żadnych błędów. Dźwignąłem księgę i ułożyłem na stoliku między hodowlami a mikroskopem. Zakryłem ją nieznacznie planszami.

Tuan oderwał się na chwilę od paprotników, a potem znów zaczął robić obserwacje nad grzybami, bo nadeszła wyznaczona godzina. Niespodziewanie, nie odrywając oczu od szkła, sięgnął ręką w to miejsce, gdzie powinny się znajdować notatki. Oczywiście tam ich nie znalazł. Położyłem je przezornie z daleka.

- Co się, u licha, tu dzieje? - wybuchnął, zrywając się w pasji. - Znowu zginęły?
Roześmiałem się w duchu. Demon Złości wpadł tym razem w pułapkę.

- Nie - odparłem niewinnie, usuwając pośpiesznie plansze. - Znalazłem na nie sposób. Teraz nam już nie zginą.

Doktor spojrział na mnie przeciągle, a potem pochylił się niepewnie nad księgą. Serce biło mi trochę nierówno.

Zaniepokoiłem się naraz, że może coś tam nie jest w porządku. Demon Złości jest przecież bardzo podstępny i nigdy nie wiadomo, z której strony uderzy.

Tuan zaś jakby zmarł w bezruchu. Odetchnąłem, gdy wreszcie poruszył ręką i zaczął przerzucać karty. Kiedy jednak doszedł do końca, oparł się ciężko o stół i tak już pozostał. Złakłem się, że mu się stało coś złego.

- W moim pokoju w hotelu - odezwał się naraz, ale głos jego był taki jakiś obcy, że przeszły mnie ciarki - na półeczce nad łóżkiem znajduje się książka w czarnej oprawie... Ma ona tytuł: „Pan Tadeusz”. Przynieś ją tutaj.

Wszystko to wyglądało trochę niesamowicie, gdyż nie drgnął nawet ani nie poruszył głową. Czuję, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Wybiegłem bez słowa. Książkę oczywiście znalazłem bez trudu. Znałem ją dobrze, a chociaż nie cały tytuł mogłem odczytać, to jednak domyśliłem się reszty.

- Jest, panie - rzekłem, znalazłszy się znowu w herbarium.

Doktor uniósł powoli głowę. Strapiłem się niezmiernie. Twarz jego była bardzo zmęczona, oczy jakby wygasłe.

- Ty umiesz czytać? - zapytał bezdźwięcznie.

- Umieję, panie...

- Ale czy umiesz czytać po holendersku? - powtórzył z wyraźnym naciskiem. - Czy rozumiesz po holendersku?

O bracia, to było dla mnie straszne pytanie! Nie mogłem przecież skłamać, bo z Demonem Wykrętów igrzać jest niebezpiecznie. Czy wolno mi jednak było powiedzieć prawdę? Przecież to był język zaklęty. Nie można go było ani znać, ani używać...

Tuan zauważył widocznie moje zmieszanie, bo oczy rozbliły mu ciepłem.

- Powiedz szczerze - przemówił serdecznie. - Demon Głupoty nie ma do mnie dostępu. Zrobiło mi się dziwnie przyjemnie, zrozumiałem bowiem w tym momencie, że temu człowiekowi mogę we wszystkim zaufać. Przyznałem się więc, że nie tylko czytam, rozumiem i piszę po holendersku, ale że mogę również porozumieć się po niemiecku i po francusku. Przecież z tyloma różnymi ludźmi miałem do czynienia od dziecka!

- Tak przypuszczałem - rzekł w zamyśleniu, gdy to wszystko usłyszał. - Nie ułożyłbyś książek na półkach w takim porządku, gdybyś tego nie umiał. Ale to dobrze...

Pokiwiał głową z uznaniem, potem zaś pochylił się znowu nad księgą.

- Zrobiłeś mi bardzo miłą niespodziankę - dodał po chwili, nie patrząc na mnie. - Ile ty się musiałeś natrudzić!

Westchnąłem, ponieważ rzeczywiście nie była to łatwa robota.

- Ale to nie tylko to... - ciągnął dalej tak, jakby sam z sobą rozmawiał. - Ty, Jawajczyk, tymi pięknie odrysowanymi znakami przypominałeś mi moją ojczyznę. Biedna ona i nieszczęśliwa. Kiedy ja ją zobaczę?...

Skłoniłem się nisko, z głębokim szacunkiem, bo to były słowa tęsknoty. Czułem, że coś go boli i szarpie. Pochyliłem się nad nim, bo wydał mi się wówczas bardzo ludzki i bliski. Milczałem jednak, gdyż takich chwil nie wolno nikomu zamącać.

- Ale ten notesik - odezwał się wreszcie, już znacznie weselej - to świetny pomysł. Taki z pewnością nie zginie...

Poczułem się dumny. Po raz drugi wygrałem z Demonem Złości wielką batalię.

VII

Minął maj, biegły szybko dni czerwca. Spaliśmy krótko, odpoczywaliśmy jedynie przy posiłkach. Potem doktor nie wychodził nawet na obiad. Przynosiłem mu go do herbarium, ale i tu zdarzało się, że zjadał tylko połowę.

Była to praca gorączkowa, męcząca, lecz dopiero 10 czerwca dowiedziałem się, że jest ona niczym w porównaniu z tym, co obecnie nastąpi.

- Nong_nong - odezwał się do mnie doktor wieczorem, gdy zapalałem lampy - przynieś bardzo dużo kawy, piwa, cygar i żywności na kilka dni.

Zrobiłem, co mi polecił, chociaż dziwiłem się trochę w duchu, do czego mu to wszystko potrzebne.

- A teraz zabierzemy się do kontroli - przemówił, kiedy mnie zobaczył znowu w herbarium. Książka gotowa. Należy tylko sprawdzić, czy nie palnąłem gdzieś głupstwa.

Zatarł ręce, na jego twarzy widać było rozradowanie. Ucieszyłem się z tego. Demon Złości nie miał do niego dostępu, to było pewne.

Tuan obejrzał wszystko, co znajdowało się na stołach, razem ze mną przeniósł do szaf stopy książek, z których do tej pory korzystał, i zabraliśmy się do roboty. On sprawdzał rękopis, który urósł do rozmiarów poważnej książki. Ja przynosiłem po kolei rośliny.

- Pterodophyta... - zaczął czytać głośno. - Tak, to w porządku - dodał na zakończenie po dokładnym przejrzaniu rozdziału. - Przejdziemy zatem do Marattiaceae. Przynieś Angiopteris eveceta...

Łacińskie nazwy roślin, tak samo jak memu ojcu, nie nastęczały mi żadnych trudności. Położyłem przed nim potrzebną tablicę.

- Zmierz szerokość i długość liści - rzekł, nie odrywając oczu od wstępu do nowego rozdziału.

Wykonałem zrećnie to polecenie i stanąłem obok w milczeniu.

- Gotowe? - zapytał po chwili.

- Tak. Szerokość 18 centymetrów, długość 24.

Rzucił okiem na roślinę, zajrzał do swych notatek, coś tam porównał, sprawdził z kolei dwie inne odmiany i przeszedł do następnego gatunku.

- W porządku - skinął głową zadowolony. - A teraz Marattia sambucina. Zmierz liście.

I tak szło po kolei. Padała nazwa za nazwą. Ja przynosiłem tablice i wymierzałem, on kontrolował słowo po słowie. Często trzeba było sięgać po książki do szaf, aby sprawdzić w nich opisy, które zamieścili tam inni. Zdarzało się, że wnosił niekiedy poprawki.

Godziny mijały, zajrzał do okna księżyc, gdzieś w dali, nad Tjiliwongiem, rozległ się dźwięk gamelanu. Potem i to umilkło, a jedynie piewicy i żaby zawodziły głośno swe opowieści.

Musiałoby być już chyba dobrze po północy, gdy drzwi się uchylły i ukazał się w nich mój ojciec. Zbliżył się cicho, obserwując bacznie naszą robotę. Doktor zauważył go dopiero po chwili.

- Późno się zrobiło - rzekł jakby nieco zmieszany i przyjrzał mi się uważnie. - Tak, ty jesteś zmęczony. Idź spać.

Rzeczywiście trochę mi się kręciło w głowie od tego ciągłego biegania. Nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy, abym pracował w nocy. Czy mogłem jednak, o bracia, pozostawić tego człowieka samotnie, i to w godzinie, gdy duchy krążą wokół? Czy mogłem dopuścić, aby teraz, gdy wszystko zaczęło się układać tak dobrze, opętał go Demon Złości, który pewnie czyhał tylko na moje odejście?...

Nie, moi mili, tego zrobić nie mogłem. Nikt by z was tego nie zrobił.

- Nie, panie - odparłem, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie, chociaż język poruszał się z trudem - nie jestem zmęczony. Będziemy dalej razem pracować.

Tuan popatrzył na mnie trochę niepewnie, potem zaś jego pytający wzrok spoczął na moim ojcu, Paidanie. Ten uśmiechnął się lekko.

- Powinniście coś zjeść - powiedział tak, jakby reszta nie miała żadnego znaczenia.

- To prawda - doktor ucieszył się. - Dawaj kawę i wszystko, co tam z sobą przyniosłeś! - zwrócił się do mnie wesoło.

Po nim wcale nie znać było zmęczenia. Ja zaś, gdy popiłem i podjadłem, też poczułem się lepiej. Ojciec powstał jeszcze przez pewien czas, a potem odszedł tak samo cicho, jak wszedł. Pozostaliśmy znów sami. Zdaje się, że byliśmy jedynymi ludźmi, którzy tej nocy pracowali na Jawie. Trud jednak nie poszedł na marne. Gdy świt rozjaśnił okna, sto roślin mieliśmy za sobą.

Posililiśmy się znowu i robota szła dalej normalnie. Nie udałem się nawet na obiad, gdyż i on tego nie zrobił. Pod oknami kręcili się ludzie, nikt nam jednak nie przeszkadzał, wiedzieli bowiem wszyscy, nawet dyrektor Treub, że doktor tego nie lubi. On zaś zupełnie zapamiętał się w pracy. Palił cygaro jedno za drugim, popijał piwem lub kawą i pędził dalej.

Przynosiłem tablice i książki, mierzyłem, ale czułem, że nogi uginają się pode mną coraz bardziej, że powieki kleją się nieprzyjemnie.

Kiedy wreszcie nadeszła druga noc, nie czułem się dobrze. Pod oczami tuana ukazały się sińce. Pracował wolniej, zdarzało się, że dwa razy powracał do jednej sprawy, ale mimo to nie ustawał w wysiłku.

Mój ojciec, tak samo jak i poprzednio, pojawił się o północy. Tym razem doktor wcale go nie zauważył.

- Zjedzcie coś - rzekł cicho, obserwując nas obu uważnie.

Tuan zerwał się z krzesła, oczy mu błysły gniewnie. Gdy jednak zobaczył uśmiechniętą pogodnie twarz mojego staruszka, rozpogodził się momentalnie.

- Tak, to prawda - przyznał natychmiast - trzeba coś zjeść.

- Roboty jest jeszcze dużo.

Niestety, mieliśmy za sobą zaledwie dwieście pięćdziesiąt sztuk, do końca było bardzo daleko... Zrobiło mi się jakoś słabo i nieprzyjemnie. Przysiadłem na krześle, obracając bezradnie talerz z ryżem, który podał mi ojciec. Doktor to zauważył. W jego oczach odbiła się troska.

- Ty, Nong_nong - przemówił stanowczo - musisz iść spać. To nie na twoje siły.

Milczałem. Rzeczywiście bolało mnie wszystko, w oczach czułem palenie. Przemogłem się jednak i zjadłem. Gdy zaś potem napiłem się kawy, poczułem się nieco raźniej.

Niespodziewanie, do dzisiejszego dnia nie wiem, jak to się mogło stać, zatrzęsł mną bezrozumny, straszliwy gniew.

- Nie, panie - krzyknąłem w złości - ja tutaj zostanę! Jeśli pan może pracować, ja też stąd nie odejdę!

Przyjaciele mili, wybaczcie stojącemu nad grobem starcowi ten wybuch, który nie dodaje mu blasku. Mój biedny ojciec, który był świadkiem tej sceny, przygarbił się w tym momencie. Był bardzo zgorzsony.

Zorientowałem się za późno, że wyrządziłem mu przykrość.

- Ja muszę tutaj pozostać... - odezwałem się po chwili milczenia. - Ja muszę!...

Głos mój załamał się, ojciec bowiem wskazał głową na księżyc, który krył się właśnie ponad oknami. Ten gest zrozumiałem bez słów. Nadchodziła godzina duchów! Demon Złości, z którym dotąd tak skutecznie walczyłem, teraz rzucił się na mnie. Skorzystał z mojej słabości, zagroził spokojowi i pracy!

Zacisnąłem wargi do krwi. Przez pewien czas zmagalem się z sobą ciężko, aż pot mi wystąpił na czoło. Potem jednak było już dobrze. Stałem się znowu spokojny. Spojrzałem na doktora. Twarz mu poweselała, w oczach ukazały się przyjemne ogniki. Uśmiechnąłem się do niego swobodnie. Czar przysł.

Tuan wstał i poklepał mnie po ramieniu, jakby domyślił się, że wygrałem walkę. Ojciec skinął nam przyjaźnie głową i odszedł.

VIII

Następnego dnia, koło południa, zjawił się w herbarium profesor Penzig.

- Słyszałem, że pan przepracował dwie noce bez przerwy! - zawołał dobroduszenie od progu.

- Przyszedłem zobaczyć, czy to rzeczywiście prawda.

- Prawda - potwierdził doktor zwięźle, nie odrywając się od pisania.

Penzig podszedł bliżej. Pochylił się nad stołem, spoglądając na rękopis i plansze.

- Sporo pan tego nagromadził - zauważył z uznaniem. - Ale do końca chyba daleko?

Tuan nie podniósł głowy. Pisał z coraz większym rozmachem. Cygaro, które trzymał w ustach, zakołysało się energicznie.

- Nie! - zaprzeczył szorstko.

Pióro zaskrzypiało, jak gdyby potoczyło się po kamieniach. Cygaro znowu przeskoczyło na drugą stronę.

- Nie pójdzie pan na obiad?... - Penzig usiłował za wszelką cenę nawiązać rozmowę. - Warto by trochę odpocząć.

Doktor rozłożył jakąś książkę, coś tam sprawdził i zamknął ją z trzaskiem.

- Nie! - warknął. - Nong_nong - zawołał ostro - Onychium auratum!

Pospiesznie podałem potrzebną tablicę. Twarz mi zapłonęła. Czułem, że popełnię za chwilę jakiś szaleńczy czyn, jeżeli ten człowiek natychmiast nie wyjdzie. Demon Złości był tuż, straszliwy wybuch czał się w głębokich zmarszczkach tuana.

Na szczęście profesor też się widocznie w tym zorientował, zaraz bowiem zakręcił się na pięcie i wyszedł. Pracowaliśmy z godzinę w spokoju. Niespodziewanie ukazał się w drzwiach posłaniec od profesora Treuba.

- Pan profesor zapytuje - przemówił grzecznie - czy panu czegoś nie potrzeba?

Doktor leniwie odwrócił głowę. Na widok zyczliwie uśmiechniętej postaci zmarszczone brwi nieco się rozluźniły.

- Jak tam, Nong_nong - zapytał. - Potrzeba nam czegoś?

- Nie mamy piwa i kawy...

- Dobrze. Przynies dużo piwa i kawy.

- Cygara się kończą - dodałem skromnie.

- Dobrze. Przyniesiesz dziesięć pudełek.

Muszę wam powiedzieć w tym miejscu, że doktor rzadko rozstawał się z cygarem, a w czasie tej pracy palił jedno za drugim.

- To wszystko? - zapytał.

- Przydałoby się trochę ryżu - nabrałem nagle pewności - i kilka kurczaków.

- Dobrze. Niech będzie kilka kurczaków.

Posłaniec skłonił się i wyszedł załatwić nasze zlecenia, my zaś wróciliśmy do swego zajęcia. Wkrótce wniesiono napoje i potrawy, ale na to już nie zwróciliśmy uwagi. Nasi ludzie umieją zachowywać się delikatnie. Za to gdy przed wieczorem ukazał się profesor Schiffner w asyście jeszcze kilku uczonych, doktor po pierwszej odpowiedzi przestał się w ogóle odzywać. Wynieśli się zaraz jak zmyci. Poszedłem za nimi do drzwi i przekręciłem klucz. Tuan usłyszał zgrzyt.

- Inteligentny z ciebie chłop - pochwalił zadowolony. - Teraz nie wpuszczaj nikogo.

Od tej pory rzeczywiście byliśmy bezpieczni. Wprawdzie stale słychać było stukanie, ktoś tam od czasu do czasu zaglądał w okno, ale udawałem, że tego ani nie widzę, ani nie słyszę. Dopiero po zmroku rozległy się uderzenia tak donośne, że mogłyby poruszyć zmarłego. Nie wzruszyło to jednak tuana, mnie natomiast porwała pasja. Byłem gotów chwycić za gołok i bić.

Na szczęście stuk zaraz ustał, toteż odetchnąłem z ulgą i sięgnąłem po nową tablicę. Ledwie ją wziąłem do ręki, doznałem takiego wstrząsu, że wypuściłem ją z rąk. Uderzenia rozległy się znowu, tym razem w okno. Były nerwowe, gniewne, zacięte. Spojrzałem. Twarz, którą zobaczyłem, była mi dobrze znana. Skłoniłem się z głębokim szacunkiem.

- O panie - rzekłem do tuana Borskiego - to pan profesor Treub!

- Nie wpuszczaj nikogo! - padła stanowcza odpowiedź.

To mi od razu dodało ducha, najspokojniej więc zacząłem wymierzać liście. Stuk, który ustał na chwilę, powtórzył się, ale tym razem był jeszcze bardziej gwałtowny.

- O panie - szepnąłem przejęty - on nie odejdzie! Może coś mu powiedzieć?

- Zgoda - mruknął obojętnie doktor. - Powiedz, że mnie tu nie ma. Wyszedłem.

Popatrzyłem na niego trochę niepewnie, gdyż w tej wielkiej, jasno oświetlonej sali byliśmy doskonale widoczni, ale istotnie nie było lepszego wyjścia. Orientowałem się doskonale, że jeśli tylko otworzę drzwi, wtargnie tu Demon Złości. Podeszedłem do okna. Za profesorem stało kilka innych postaci.

- Pana doktora tu nie ma - oświadczyłem grzecznie. - Wyszedł.

O przyjaciele! Każdy z nas wie, że istnieją demony, ponieważ na każdym kroku obserwujemy ich bezlitosną działalność. Mało jest jednak takich ludzi, którzy mieli okazję oglądać je na własne oczy. Ja wtedy, bracia, ujrzałem jednego z nich! Wychylił się gdzieś spoza drzew i zakotłosał nad głową Treuba. Złąkłem się w pierwszej chwili, gdy wyszczerzył na mnie swoje okrutne kły. Opanowałem się jednak i hardo spojrzałem mu w twarz.

- Nong_nong, otwieraj! - głos profesora zabrzmiał groźnie, a demon, krążący nieustannie nad jego głową, zachichotał złowieszczo. - Powybijam szyby, jeśli tego nie zrobisz!

- Panie - zmitygowałem go grzecznie - szkoda tych szyb. Nie warto ich wybijać. Kosztują drogo, a przecież doktora tu nie ma...

Demon podskoczył z ucieshy, twarz dyrektora pokrył grymas wściekłości. Za nim rozległy się jakieś głosy i śmiech. To był dobry znak, bo Demon Złości śmiechu nie lubi. Istotnie oczy Treuba zaczęły przyciemniać, demon błyskawicznie.

Wyprostowałem się zadowolony. Teraz już było pewne, że wygrałem walkę. Twarz profesora stała się znowu taka sama jak zwykle.

- Ale ty jesteś tam w środku? - zapytał po chwili przyjaźnie.

Od razu stałem się czujny. Nie podobał mi się ten słodki ton. Demon raz jeszcze wychylił się z mroku.

- Jestem, panie... - odpowiedziałem ostrożnie.

- W takim razie otwórz - głos dyrektora stał się jeszcze bardziej przymilny. - My nie szukamy doktora. Mamy interes do ciebie.

Ach, to z niego taki spryciarz! O mało nie parsknąłem śmiechem. Nie mnie brać na takie kawały!

- Niestety, nie mogę, panie - odpowiedziałem niewinnie. - Doktor zabrał klucz z sobą.

To było zresztą zgodne z prawdą, klucz bowiem leżał na stole tuż obok ręki tuana. Za oknem zrobiło się znowu wesoło, demon rozplynął się ostatecznie. Dyrektor też się rozpogodził i pokiwał dobrotliwie głową. Po chwili odwrócił się i coś tam mówił do tych, którzy go otaczali. Dopiero teraz rozpoznałem w mroku kilku znanych mi dobrze naukowców, za którymi stali również nasi ludzie, stłoczeni z boku.

- Nong_nong - rozległ się naraz za mną zniecierpliwiony głos doktora - skończcie wreszcie te pogawędki! Jest mi potrzebna Sagenia vasta.

Skłoniłem się uprzejmie tym wszystkim, którzy stali za oknem, i skoczyłem do swojej pracy. Jeszcze przez pewien czas dochodził z zewnątrz stłumiony gwar, potem zaś wszystko ucichło.

Powoli mijały długie, męczące godziny. Rozmowa z dyrektorem nieco mnie ożywiła, ale wkrótce dało o sobie znać narastające coraz bardziej znużenie. Nóg prawie nie czułem, bolał kręgosłup, ręce poruszały się z trudem. W głowie panował szum. O to wszystko nie dbałem. Czuwałem tylko, aby oczy pracowały bezbłędnie. Rozumiałem, że ani mnie, ani doktorowi nie wolno zrobić obecnie żadnej pomyłki. Wszystko, co we mnie jeszcze żyło, skupiło się teraz w palcach i wzroku. Tuan Borski, zdaje się, odczuwał to samo. Co pewien czas podsuwałem mu coś do zjedzenia, cygara zaś oraz piwo i kawa znajdowały się zawsze pod ręką. Praca jednak nie szła teraz tak gładko, jak na początku. Wodził piórem coraz wolniej, ale że robił to ciągle, więc paprotników jednak ubywało. To zresztą najbardziej zachęcało mnie do wytrwania. Wiedziałem, że wcześniej czy później koniec na pewno nadejdzie.

Jak zwykle koło północy drzwi się poruszyły, lecz tym razem się nie otwały. Ścisnęło mi się serce, wiedziałem bowiem, że to mój dobry ojciec chce nam złożyć swoją zwykłą wizytę. Poruszyłem się niespokojnie. Dało się słyszeć delikatne pukanie. Chciałem zrobić krok naprzód, ale powstrzymałem się siłą. Wiedziałem, że tym razem doktor by się nie gniewał, gdybym otworzył drzwi, mimo to nie mogłem się zdecydować. Przyjaciele mili, ja bałem się wtedy! Byłem pewien, że jeśli tylko zobaczę staruszkę, ulegnę. Opuszczą mnie resztki sił. I pozostawię tuana samego...

Wierście mi, było to bardzo ciężkie zmaganie, ale na szczęście udało mi się wyjść z niego zwycięsko. Na szybkiej okiennej mignął przez chwilę cień. Było mi bardzo przykro, oczy mi się zamglily. Odwróciłem się szybko. Usłyszałem ostrożne, jakby lękliwe stąpanie. Pochyliłem się ciężko nad stołem, gdzie leżała roślina, której doktor właśnie zażądał. Wziąłem ją do ręki i podszedłem do niego. Zachwiałem się w tym momencie.

- Niełatwa to praca - tuan spojrzał na mnie badawczo. - Musisz iść spać.

Oczy miał zaczerwienione, pod nimi rysowały się sińce. Zaprzeczyłem głową w milczeniu. Nie miałem siły, aby otworzyć usta. Doktor to jednak zrozumiał.

- Wobec tego napij się kawy - powiedział życzliwie.

Napiłem się.

- A teraz zapal cygaro - tuan uśmiechnął się tak jakoś figlarnie, że oprzytomniałem od razu.
- To dobrze robi.

Posłuchałem go. Poszło to dość niezgrabnie, gdyż nie paliłem dotychczas, ale jakoś się w końcu udało. Zaciągnąłem się mocniej. W piersi poczułem ostry, piekący ból. Zakasłałem głośno.

- Pociągnij jeszcze - usłyszałem obok pogodny głos.

Pociągnąłem. Ból w piersi zwiększył się, kasłanie wzrosło, zacząłem się krztusić. Za to zauważyłem ze zdziwieniem, że znowu mam ręce i nogi, a szum w głowie zniknął zupełnie. Ucieszyłem się z tego. Tuan znał się dobrze na tym lekarstwie i rzeczywiście ono pomogło.

Chciałem zaciągnąć się po raz trzeci, lecz tym razem doktor mi nie pozwolił.

- Tymczasem wystarczy - rzekł.

- Teraz bierzmy się do roboty.

Gdy świt zaczął przenikać przez szyby, na stole pozostało niewiele roślin, które wymagały sprawdzenia. Wkrótce zgasił lampy i spojrzałem w okno. Stało tam kilku naszych ludzi. Byli nieruchomi, milczący, zamyśleni, wpatrzeni czujnie. Ktoś nowy wyłaniał się co chwila z bocznej alei i przyłączał się do przyczajonej pod drzwiami gromady. Odwróciłem się obojętnie od tego widoku. Ci ludzie nic mnie teraz nie obchodzili. Na stole leżały moje paprotniki, z nimi trzeba było robić jak najszybciej porządek.

Przeskoczyliśmy gładko przez Marcilea minuta i Equisitum Debile. Doktor zajął się wstępem do Lycopodiaceae, ja zaś skorzystałem z przerwy, przysiadłem na krześle i, tym razem bez zaproszenia, zapaliłem odłożone poprzednio cygaro, gdyż znowu opanowała mnie słabość. Wykaslałem się porządnie, dym wydawał się obecnie ostrzejszy. Ktoś tam zastukał do drzwi, lecz że byłem już do tego przyzwyczajony, nie uczyniło to na mnie wrażenia. Obojętnie włożyłem cygaro do ust. Nie zdążyłem się jednak zaciągnąć, gdy rozdźwięczała się szyba. Spojrzałem. Stał tam hortulanus Wigman, to znaczy naczelny ogrodnik. Zamrugłem powiekami z wielkiego zdziwienia. Za nim kupił się teraz olbrzymi tłum - i mężczyźni, i kobiety, i dzieci. Zeszli się chyba wszyscy ludzie z naszego Ogrodu. Powlokłem się powoli do okna. Musiało ich coś spłoszyć, gdyż w miarę jak się przybliżałem, odsuwali się szybko, na ich twarzach zaczynał się rysować paniczny lęk. Nie zastanawiałem się nad przyczyną. Mój mózg pracował bardzo powoli.

- Nong_nong - usłyszałem teraz głos tuana Wigmana, dochodzący do mnie jakby spod ziemi - otwórz!

- Doktora tu nie ma - mruknąłem niechętnie i przesunąłem cygaro wargami w bok, jak to nieraz robił mój tuan. - Wyszedł.

- Nong_nong - głos naczelnego stał się zgrzytliwy - otwórz! Powtarzam ci po raz drugi. Masz przecież klucz.

Poruszyłem zręcznie językiem, cygaro, jak żywe, przeskoczyło w drugi kącik ust. Ogromnie się ucieszyłem, że opanowałem tę sztukę. Wigman coś tam krzyczał, nasi ludzie poruszali się podejrzanie, stojący obok naukowcy też spoglądali jakoś dziwnie, ale właśnie to wszystko wyzwoliło we mnie istniejącą od dawna czupurność. Raz jeszcze z wielką godnością wywinąłem cygarem, a potem odszedłem od okna. Zapomniałem o wszelkiej, obowiązującej wobec białych grzeczności. Znudził mnie ten szalejący ogrodnik, więc po prostu pokazałem mu plecy.

- No, Nong_nong - doktor widocznie już przejrzał wstęp - dawaj Lycopodium miniatum.

Uwinałem się ręczo, wszystkie moje siły skupiły się znowu w palcach i wzroku. W okna nie patrzyłem, nie miałem czasu. Gwar tam rósł wprawdzie, ale równocześnie ubywało nam plansz. Zdawało się, że doktorowi przybyło sił, a to i na mnie wywarło dodatni wpływ. Praca szła sprawnie i szybko.

Podawałem właśnie *Selaginellę atroviridis*, gdy naraz zadrżały mi ręce. Gdzieś w dali rozległ się żalony dźwięk drewnianego *tong_tongu* i obwieszczał, że kogoś tam opanował amok - straszny Demon Szaleństwa! Wiecie z doświadczenia, jakie ten dźwięk sprawia przykre wrażenie. U nas, w Bogorze, dawno nie zdarzył się taki wypadek. Musiałem się jednak opanować, tuan bowiem potrzebował już *Selaginelli canaliculata*, a zaraz potem *caulescens*. *Tong_tong* odezwał się znowu. Zrobiło mi się bardzo przykro. Pewnie tam nasi ludzie chwytają teraz za widły, aby unieszkodliwić tego biednego człowieka. Przeciwno temu demonowi nie ma przecież innej obrony...

Westchnąłem ciężko i zabrałem się do wymierzania liści *Selaginelli laevigata*, następnie zaś przyniosłem *Belangerię* i *Zollingeriana*. *Tong_tong* zawodził ciągle - coraz potężniej i coraz bardziej żalony.

- *Selaginella fimbriata!* - wykrzyknął doktor niespodziewanie.

W jego głosie czuło się tyle radości, że zapomniałem o tragicznych dźwiękach *tong_tongu*. Podałem szybko i wymierzyłem. Tuan przejrzał rękopis, coś tam podkreślił i podniósł się z krzesła. Spojrzałem zdziwiony najpierw na niego, a potem na stół. Był pusty. Nie opracowane plansze zniknęły.

- Gotowe! - tuan zatarł ręce z radości.

- *Nong_nong*, wytępiłiśmy nasze paprotniki!

Cała moja dotychczasowa słabość opadła, jakby ją ktoś ręką odjął. Uśmiechnąłem się do niego serdecznie. Byłem tak samo dumny z tej pracy jak on.

Znowu rozległ się stuk. Tym razem był to dźwięk delikatny, trwożliwy, zupełnie odmienny od tych, które słyszałem poprzednio. Toteż uniosłem głowę, bo szanuję ludzi taktownych. Ujrzałem zatroskaną, życzliwą twarz.

- Panie - szepnąłem - dyrektor *Traub*...

- Powiedz, że zaraz wrócę - odpowiedział z humorem, przeglądając pilnie rękopis. - Muszę jeszcze uzupełnić przedmowę i wpisać datę.

Rażnie podeszedłem do okna i skłoniłem się bardzo uprzejmie.

- Tuan *Borski* zaraz powróci - powtórzyłem zlecenie. - Gdy tylko postawi datę. Obserwowałem z zadowoleniem, jak z czoła naszego dyrektora znika powoli troska.

- Jeśli tak - odparł z lekkim uśmiechem - to idę do drzwi. - Sądzę, że postawienie daty nie zajmie mu dużo czasu.

Też byłem o tym przeświadczony, przesunąłem się więc również w bok i położyłem rękę na kluczu. Spoglądałem teraz czujnie na doktora, czekając, kiedy wyda ostatnie zlecenie. Coś tam pisał jeszcze na stojąco, swobodnie, z rozmachem. Pióro nagle zgrzytnęło.

- Ha, złamała się stalówka - zauważył pogodnie. - Nie szkodzi. Nie jest już więcej potrzebna. Otwieraj!

Ręce mi zadrżały, bowiem żalony bęben znowu zaczął jęczeć straszliwie. Kto wie, może tam już schwytano tego nieszczęśliwca i teraz zadawano mu śmierć?... Pochyliłem się ciężko, palce zacisnąłem na zimnym żelazie. Przekręciłem je wreszcie. Profesor wpadł pierwszy, za nim *Penzig*, a potem jeszcze kilku naukowców i *Wigman*.

- Co pan wyprawia, panie *Marianie*? - wykrzyknął dyrektor w progu. - Przecież to istne szaleństwo!

Doktor wyprostował się. Znać było na nim wielkie zmęczenie, lecz na twarzy błąkał się swawolny uśmieszek.

- W tym szaleństwie jest jednak metoda - odparł powoli. - Paprotniki skończone.

- To niemożliwe! - zawołał Penzig skonsternowany. - W ciągu pół roku?...

Śmiałem się w duchu z tej naiwności, bo przecież wiedziałem doskonale, że to jest jednak możliwe. Gdzież tam takiemu Penzingowi czy Schiffnerowi równać się z moim doktorem! Czy któryś z nich potrafi pracować bez przerwy przez trzy noce i dni?...

- Chodź, Nong_nong - ciepły głos mojego ojca, Paidana, przerwał miłe rozmarzenie, w jakie w tej chwili popadłem. - Tu jesteś już niepotrzebny. Trzeba położyć się spać.

Skinąłem głową na zgodę i dałem się prowadzić jak dziecko. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, tłum cofnął się rozstępując się szybko na boki. Zdawało mi się, że targnął nim jakiś okropny lęk. Tong_tong znowu przemówił żalobnie.

- Komu to tak grają? - zapytałem leniwie, bo teraz nawet ten bęben przestał sprawiać na mnie wrażenie.

- Nie wiesz? - zdziwił się ojciec. - Wam. Wszyscy są przekonani, że opanował was Demon Szaleństwa.

Chciało mi się śmiać, ale się powstrzymałem. Nie mogłem robić ojcu wstydu, i do tego publicznie. Za to, gdy znaleźliśmy się w domu, ulżyłem sobie porządnie. Matka była przerażona, natomiast mój staruszek przyjął to bardzo spokojnie.

- Kładź się spać - przynaglił tylko wyrozumiale. - Jesteś bardzo zmęczony.

Temu nie mogłem zaprzeczyć. Pokiwałem głową, bo tylko ona była jeszcze do czegoś zdolna.

- Ale dobrze wykonałem zadanie... - mruknąłem sennie.

- Dobrze. Nie wiesz pewnie - ojciec spojrzał na mnie w zamyśleniu - że w czasie tej pracy zdobyłeś potężne elmu...

Stanąłem na równe nogi.

- Elmu? - wykrzyknąłem w zachwycie.

Na twarzy ojca rozlała się głęboka powaga.

- Tak, elmu - potwierdził. - Wspaniałe elmu, Elmu Wytrwania.

Serce zabiło mi silnie. To elmu musiało być rzadkie w naszym kraju, bo dotychczas słyszałem o nim niewiele. Tym większej więc doznałem radości. Byłem bardzo szczęśliwy, kiedy wreszcie przymknąłem oczy.

Potem zdawało mi się, że jestem znowu w herbarium. Tuan Borski pisze, ja przynoszę tablice. I wtedy to po raz pierwszy, o przyjaciele, ujrzałem bohaterskiego Ardżunę! Stał obok nas w promiennym blasku i uśmiechał się serdecznie i do niego, i do mnie...

IX

Minęły dzień i noc, nadszedł nowy dzień, a ja ciągle spałem. Dopiero koło południa obudziła mnie głośnie rozmowa. Otworzyłem oczy i zerwałem się szybko. Naprzeciw stał tuan Borski. Gawędził z mym ojcem, Paidanem.

- No, jakże się czujesz? - zapytał wesoło.

Wyglądał doskonale. Wcale nie było na nim znać trudów, które niedawno przeszliśmy.

- Świetnie - odparłem pogodnie, gdyż rzeczywiście po długim śnie czułem się jak odrodzony. - Przepraszam pana, że nie przyszedłem dziś rano - dodałem naraz strapiiony, gdyż spostrzegłem właśnie, że już nadchodzi południe.

Ojciec dobrotliwie pokiwał głową, tuan zaś machnął ręką.

- Nie szkodzi - odparł. - Ja też wstałem niedawno. Teraz trzeba trochę nadgonić, gdyż jutro odjeżdżam do Tegal.

Zacząłem się ubierać z pośpiechem. Zrozumiałe, czasu nie było wiele na przygotowanie się do tak dalekiej podróży. Tuan przyglądał mi się uważnie.

- To nie będzie wycieczka - zauważył po chwili. - Tam pozostanę na stałe.

Ręce mi nagle opadły. Przecież mieliśmy teraz rozpocząć na dobre walkę z Demonami Zniszczenia! Nic mi do tej pory nie wspominał o projektach wyjazdu z Bogoru.

- Co się stało? - spytałem niepewnie. - Co tam będziemy robili?

- Zakradły się jakieś szkodniki do plantacji trzciny cukrowej. Trzeba je wykryć.

No, to już było lepiej! Od razu poczułem się raźniej.

- Demony Zniszczenia? - zapytałem domyślnie.

Tuan skinął poważnie głową.

- Pewnie tak - potwierdził. - Zobaczymy zresztą na miejscu. Chciałbyś ze mną pojechać?

Spojrzałem na niego zdumiony. Jak to: sądził, że ja tu pozostanę bez niego? Cóż on tam zrobi beze mnie? Kto się tak zna na robocie jak ja? Kto odegna od niego Demona Złości?

- To przecież daleko... - zaczął tłumaczyć z wahaniem, jakby mu przyszły do głowy te same pytania. - Przekonałeś się chyba poza tym, że ze mną nie jest łatwo wytrzymać...

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi i narzuciłem na siebie kaftan. Zrobiło mi się bardzo przyjemnie, bo zrozumiałem, że moje wysiłki nie poszły na marne. Jakże ten człowiek zmienił się w ciągu ostatnich miesięcy! Przy Mijunie wybuchał i kłął, teraz zaś jest tak pogodny jak Salak w słońcu. No, nic dziwnego. Mijun był narzędziem w rękach Demona Głupoty. Nie potrafił się zresztą przeciwstawić złym mocom, jak ja. Do tego potrzeba odwagi.

- Jadę - poinformowałem go krótko, zaciskając szeroki pas.

- Namysł się jeszcze - próbował mnie powstrzymać życzliwie. - Nie zobaczysz Bogoru przynajmniej przez rok.

Machnąłem ręką. Przecież to nie miało znaczenia. I w Bogorze, i w Tegal jest Jawa. Dawniej, być może, wahałbym się przed taką podróżą. Obecnie byłem dojrzałym człowiekiem. Umiałem dużo, a co najważniejsze - posiadałem Elmu Wytrwania!

Podróż odbyła się gładko. W Dżakarcie, u kupców chińskich, zakupiliśmy meble potrzebne do nowego mieszkania, załadowaliśmy na statek, a wieczorem wypłynęliśmy na morze. Następnego dnia w nocy stanęliśmy w Tegal. Zatrzymaliśmy się w miejscowym hotelu.

Po Bogorze i Dżakarcie miasto nie wywarło na mnie dobrego wrażenia. Znalazłem się tu po raz pierwszy, więc rozglądałem się z ciekawością. Było ono wprawdzie stolicą regencji, lecz poza dużą dzielnicą chińską nie zawierało nic ciekawego. W wielkim rządowym składzie kawy mieściła się świątynia chrześcijańska, niedaleko znajdował się klub europejski; nasz hotelarz prowadził równocześnie aptekę. Za to meczet prezentował się dość okazale.

Czekając na dworcu na przyście pociągu, który miał nas zawieźć do Kagoku - naszej przyszłej siedziby - doktor wdał się w pogawędkę z jakimś Holendrem w oficerskim mundurze.

- Klimat tu chyba niezbyt zdrowy - zauważył rozglądając się naokoło. - Brzeg morski blisko, tam zaś błotniste mangrowia. Chorób pewnie do licha.

Oficer poweselał.

- Przeciwnie - odparł z humorem - okolica bardzo zdrowa. - Epidemicznie grasuje tylko malria, cholera i trąd. Niekiedy zdarza się ospa...

Nie dodało mi to ducha. Gdzie działają takie okrutne demony, życie nie może się układać pomyślnie.

- Mamy tu zresztą jednego lekarza - ciągnął dalej oficer. - Lepiej jednak do niego nie chodzić. Podobno straszny wróg całej ludzkości. Kto trafi w jego ręce, już żywy nie wyjdzie.

Mojemu tuanowi bardzo się to spodobało, bo twierdził zawsze, że jeśli ktoś ma umrzeć, żaden lekarz mu nie pomoże. Roześmiali się obaj, ja natomiast machnąłem nieznacznie ręką. Ostatecznie zdarzali się i źli lekarze, szczególnie ci, którzy świeżo przybyli. Mieli wprawdzie świetne leki, ale musiało upłynąć dużo czasu, zanim się nauczyli stosować je prawidłowo. Jawa to przecież nie to samo co Europa. W każdym razie byłem zadowolony, że tutaj nie zostaniemy. Tam gdzie jechaliśmy, klimat był znacznie lepszy.

Doktor powiadomił telegraficznie o naszym przyjeździe, toteż na stacji w Kagoku czekało sado. Do naszego domu było zresztą zupełnie blisko. Wyglądał on okazale. Miał trzy skrzydła z wielkimi werandami, sześć pokoi, łazienkę, wozownię i składy. Przeraziłem się jednak, gdy zacząłem to wszystko oglądać od środka. Ogródek był zapuszczony, drzwi pootwierane na oścież, klamki powyrywane, brakowało nawet gdzieniegdzie szyb. Byłem zły. Złodziejska okolica, aż wstyd! Na szczęście uchowały się na froncie dwa piękne pinangi i te dodawały domowi uroku. Nazwałem go więc od razu „Domem Pod Pinangami” - „Ruma Pinang”, bo przecież nie wypada, aby nie posiadał nazwy.

Doktor przyjął to przychylnie i nawet się nieco rozchmurzył, gdyż widok tego domostwa na nim również sprawił początkowo przykre wrażenie.

- A kto tam mieszka po sąsiedzku? - zapytał jakiegoś człowieka, który przyglądał się na z ulicy.

- Tuan regent z Tegal - odparł tamten z głębokim szacunkiem. - Ma tu letnie mieszkanie. Doktor raz jeszcze rozejrzał się po ogrodzie. Na jego czole znowu ukazały się zmarszczki.

- Kto to powycinał drzewa w moim ogrodzie? - zapytał po chwili.

- Tuan regent z Tegal - tubylec skłonił się mu znowu uprzejmie.

- W tym domu nikt przecież nie mieszkał przez cały rok...

Jemu wydawało się to naturalne, natomiast doktorowi nieprzyjemnie rozbłyły oczy. Był bardzo zły. Nie dziwiłem się temu. Któż to bowiem słyszał, aby pozbawiać dom tak wspaniałej ozdoby i grasować przy tym na obcym terenie?

Ja wtedy zmartwiłem się jeszcze czym innym. Oto Demon Złości zawitał do nas ponownie. Twarz tuana mówiła o tym wyraźnie. To był zły znak...

Tak więc, moi mili, rozpoczęło się nasze życie w Zachodniojawajskiej Stacji Doświadczalnej w Kagoku, gdzie mój doktor objął stanowisko po profesorze Wentcie. Dyrektor Treub znał się dobrze na ludziach, toteż zorientował się szybko, że ma do czynienia z niezwykłym człowiekiem. Postanowił więc nie dopuścić do jego wyjazdu z Jawy. Okazało się, że jeszcze paprotniki nie były opracowane do końca, a on już wynalazł doktorowi tę posadę, która czekała na niego od kilku miesięcy.

Za to tuan, chociaż jechał tu chętnie, rozczarował się w pierwszej chwili. Okolica była piękna, las obok, na jego skraju harcowały od świtu do zmroku śliczne dzikie koguty. To rzeczywiście nie budziło zastrzeżeń. Gorzej było z domem, lecz o tym już wam mówiłem. Do tego jednak nie przywiązywał specjalnej wagi. Za to znajdujące się w pobliżu laboratorium, w którym miał prowadzić badania nad trzciną cukrową, sprawiło na nim wstrząsające wrażenie. Kiedy stamtąd powrócił, wyglądał jak struty.

- Wiesz, Nong_nong - zaczął się żalić przede mną, chodząc wielkimi krokami po obszernej werandzie - tego się nie spodziewałem. Tam są jedynie chemicy. Cóż oni wiedzą o rozwoju rośliny czy chorobach, które ją gnębią?...

Przytaknąłem ze zrozumieniem, jakże bowiem można prowadzić prace doświadczalne bez botanika? Chemik przecież to mniej więcej to samo co zwykły aptekarz. Proszek przygotowuje, lekarstwo również, ale czy może on wiedzieć, kiedy, w jakiej dawce i jak należy ich użyć? Oczywiście nie może, bo to nie jego praca. Do tego potrzebny jest lekarz.

- Co zaś najgorsze - mówił dalej tuan z namysłem - nie ma tu żadnych urządzeń do prowadzenia poważnych badań. Chemicy sprowadzili tylko, co im było potrzebne. Ja zaś mam jedynie własny mikroskop. To stanowczo za mało.

- Ale chyba mamy sobie radę? - wtrąciłem, chcąc mu dodać otuchy. - Bywaliśmy przecież w gorszych opałach.

Doktor przystanął raptownie.

Zastanowiły go moje słowa.

- Hm - mruknął swoim zwyczajem. - To prawda, bywaliśmy... Odwrócił się powoli i znów zaczął przemierzać werandę. Doszedł do jej końca i wrócił.

- Hm... - mruknął powtórnie, przystając przy mnie. - Z pewnością mamy sobie radę! - w jego głosie rozdzźwięczała zwykła energia. - Ha, w takim razie nie traćmy czasu. Do roboty!

Ucieszyłem się z tej zmiany nastroju, nie lubiłem bowiem, gdy był zachmurzony. Rozglądał się gorączkowo na wszystkie strony.

- Natychmiast trzeba wysłać listy do Europy - oświadczył raźnie. - Muszę otrzymać instrumenty i szkło. Daj mi papier i pióro.

Z tym nie było kłopotu, gdyż miałem to wszystko w bagażu podręcznym. Gorzej natomiast przedstawiała się sprawa z krzesłami i stołem. Meble mieliśmy otrzymać dopiero nazajutrz.

- Ech, tym się nie przejmuj! - doktor machnął ręką, gdy mu o tym wspomniałem. - Zaraz się urządzimy.

Zanim zorientowałem się w jego projektach, już stał przy drzwiach i wywazał je z ręcznie z zawiasów.

- Pomóż mi - zwrócił się do mnie wesoło. - Ułożymy je na poręczach.

Strasznie mi to przypadło do gustu, sam bowiem należałem do ludzi zaradnych i nigdy nie narzekałem na los. Toteż gdy tylko uporaliśmy się ze stołem, wpadłem do wozowni, gdzie znajdowało się kilka rozbitych skrzyń. Sporządzenie z nich krzesła nie nastęrczało żadnych trudności.

- Świetnie! - ucieszył się tuan, gdy je zobaczył. - Wobec tego możemy zaczynać. Najpierw do profesora Goebła. On tam z pewnością dopilnuje przez Giesenhagena albo Wagnera, żeby wszystko przyszło na czas.

Widząc, że jest w doskonałym humorze, podsunąłem mu pudło cygar i zająłem się innymi sprawami. Ten dom trzeba było jakoś urządzić. Nie było to łatwe. W wielu miejscach zadomowiły się kalongi, a salamander, jaszczurek i skorpionów też było bez liku. Ściany podziurawione; mrówki urządziły sobie gniazdo w wozowni i stąd wychodziły na żer, wędrując po wszystkich pokojach.

Tego dnia zrobiłem niewiele. Oczyszczyłem jedynie kuchnię, ale żaden pokój nie nadawał się jeszcze do spania. Namawiałem tuana, aby na noc udał się do któregoś z chemików, lecz przeciwstawił się temu stanowczo. Przespaliśmy się wobec tego na werandzie, jedynie pod osłoną moskitier.

Wczesnym rankiem doktor poszedł do laboratorium, ja zaś zabrałem się do dalszego sprzątanía. Niespodziewanie ukazał się we drzwiach jakiś krajowiec i pozdrowił mnie grzecznie. Spojrzałem na niego w pierwszej chwili dość podejrzliwie. Rozumiecie, moi mili, nie mogłem mieć zaufania do miejscowych ludzi, którzy ograbili ten dom.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytałem jednak uprzejmie, staram się bowiem nie uprzedzać do ludzi, których nie znam dokładnie.

- Masz dużo pracy - odparł. - Chciałbym ci pomóc.

To było ładnie z jego strony.

Przyjąłem to zupełnie normalnie.

- Pomagaj - zgodziłem się bez wahania.

We dwóch rzeczywiście poszło nam różnie. Koło południa jeden pokój był oczyszczony całkowicie, łazienka również.

- Chodź ze mną na dworzec - zaproponowałem, gdy słońce stanęło w zenicie. - Zaraz pociąg przywiezie nam meble.

Mój pomocnik wpatrzył się we mnie uważnie.

- A ile mi za to zapłaci twój tuan? - zapytał z namysłem.

Podniosłem głowę zdumiony. Dotychczas w swym życiu nie słyszałem jeszcze takiego pytania. Ten, kto się sam zgłasza do pomocy, nie żądał za to nigdy nagrody.

- Nic - mruknąłem niechętnie.

- No, to idź sam...

Nie odezwałem się słowem, gdyż byłem zawsze dobrze wychowanym człowiekiem, ale rozumiecie sami, że takie powiedzenie nie mogło mi przypaść do serca.

Pożegnałem go chłodno i sam ruszyłem na stację. Pociąg już stał, bagaż znajdował się na peronie. Załatwiłem szybko formalności, lekki stolik i dwa krzesła wzięłem na plecy, resztę zaś postanowiłem przynieść przy pomocy tragarzy.

- Pozwolisz sobie pomóc? - Ktoś zadał mi znienacka grzeczne pytanie.

Odwróciłem się zdziwiony. Obok stał ten sam młodzieniec, który mnie niedawno tak sromotnie porzucił. Mimo wszystko musiał być porządnym człowiekiem. Ruszyło go widocznie sumienie.

- Pomóż - zgodziłem się życzliwie na propozycję.

Udian, bo tak mu było na imię, miał przy sobie nosidła. Musiał wstąpić po nie do domu i przyszedł tu ze z góry określonym zamiarem.

Wzięliśmy więc sporo przedmiotów, kiedy zaś ponownie wracaliśmy na stację, przyłączyło się do nas kilku jego przyjaciół. Ci nam również pomogli. Gdy przynieśliśmy wszystko, podziękowałem im i odeszli. Pozostał jedynie Udian.

- Chcesz pomagać dalej? - spytałem.

- Chcę...

- W takim razie bierzemy się do następnego pokoju.

Przed wieczorem, gdy nadszedł tuan, wszystko było gotowe na jego przyjęcie. Nawet książki znajdowały się w szafach, a nad jego łóżkiem wisiała półeczka, taka sama jak w hotelu w Bogorze.

- Jak tyś to zrobił? - zapytał zdziwiony. - Przecież nie zostawiłem ci pieniędzy na opłacenie tragarzy.

Uśmiechnąłem się. Europejczycy często nie potrafią zrozumieć, że można komuś pomagać dla przyjemności. Gdy mu opowiedziałem wszystko, pokręcił głową.

- Tego się nie spodziewałem - oświadczył szczerze. - Zupełnie tak samo jak na wsi w moim kraju ojczystym. Taka samopomoc sąsiedzka...

Spojrzałem na niego bardziej życzliwie niż zwykle. A więc to tak?... W Polsce ludzie postępują podobnie?...

- Trzeba będzie jakoś się im za to odwdzińczyć - było widać, że tuanowi cała ta sprawa bardzo przypadła do serca. - Może im sprowadzimy gamelan?

Bardzo się zapaliłem do tego pomysłu. To nam zjedna powszechną sympatię. Poparłem projekt gorliwie.

- Jest tu Udian - dodałem na zakończenie, zmieniając temat. - On mi pomógł najwięcej. Warto by go zatrzymać. Roboty będzie niemało.

Spodobał mi się ten człowiek. Palnął wprawdzie głupstwo z tą zapłatą, ale był jeszcze młody, nie należało więc mu tego pamiętać. Zresztą zaraz naprawił swój błąd. Przy tym nie lenił się i każdą pracę wykonywał bardzo sumiennie. Tuan zgodził się na moją propozycję bez żadnych zastrzeżeń.

- Tak - potwierdził. - Trzeba będzie urządzić ogród, a tobie na to zabraknie czasu.

Skłoniłem się w podziękę, chociaż specjalnie nie zaskoczyły mnie jego słowa. Zorientowałem się już dawno, że był sprawiedliwym człowiekiem. Umiał ocenić dobrą robotę, chociaż o tym nie mówił.

- Wkrótce przyjeżdża regent - dodałem, przypominając sobie wiadomość, którą usłyszałem od ludzi.

Doktor skrzywił się z niesmakiem. Wiedziałem dlaczego. Przecież to regent wyciął drzewa, chociaż otrzymywał od rządu holenderskiego tysiąc guldenów miesięcznej pensji, a więc nie były mu one potrzebne. Takie rzeczy trudno zapomnieć.

Staliśmy do tej pory na werandzie. Słońce pochyliło się nisko, nadchodził wieczór. Tuan skierował się do swego pokoju.

- A to co takiego? - zatrzymał się nagle i wpatrzył w ziemię. - Przepędź gdzieś to paskudztwo!

Uśmiechnąłem się. Tuż przy drzwiach stały cztery duże zaby, ustawione rzędem, według wzrostu, gotowe do wejścia. W gruncie rzeczy były to bardzo pocziwe stworzenia, lecz istotnie na pierwszy rzut oka nie wyglądały przyjemnie.

- Panie - odezwałem się pojednawczo - one wracają do domu.

Tuan widocznie nie mógł tego zrozumieć, gdyż jedną z nich lekko pchnął nogą. Odskoczyła w bok, ale zaraz wróciła na swoje miejsce.

- Panie, tak nie można! - krzyknąłem wyraźnie zgorzony. - Tu jest ich dom! Mieszkały tu wcześniej niż my.

Coś go widocznie uderzyło w tych słowach, gdyż popatrzył na mnie z uwagą.

- Jesteś tego pewien? - zapytał powoli.

- Oczywiście. Zostawiłem im nawet dziurę w ścianie, przez którą wchodzi do swej kryjówki.

Doktor pokiwał głową i uchylił drzwi. Żaby wkroczyły uroczyście do środka i po chwili jedna za drugą zniknęły w zachowanym dla nich otworze. Odetchnąłem z ulgą. Wiedziałem, że odtąd już nic złego im się nie stanie.

Wieczorem, gdy wniosłem kawę, doktor siedział w pozycji na pół leżącej w wyplatany fotelu, a obok na biurku leżały rozrzucone notatki i książki. Nie patrzył jednak na nie. Jego uwagę zajęły całkowicie nasze cztery żaby. Ustawiły się teraz w szeregu, tak samo według wzrostu jak i poprzednio, tuż przy najbardziej oświetlonej ścianie. Od czasu do czasu wyrzucały naprzód swe ruchliwe języki i chwytaly przelatujące owady, których, jak wszędzie na Jawie, tutaj również nie brakowało.

- Widzi pan, to naprawdę ich dom - ucieszyłem się szczerze tym widokiem.

Doktor nic nie odpowiedział, lecz szybko odwrócił głowę, bo oto rozległ się delikatny okrzyk bojowy, który dodał tej izbie jeszcze więcej uroku:

- Gek_ko, gek_ko, gek_ko!... A więc miała trzy lata, bo trzy razy wykrzyknęła swe imię! Spojrzałem na sufit, skąd doszedł mnie głos. Nasza miła, domowa jaszczureczka była tu również. Uganiała się błyskawicznie za owadami po ścianie i po suficie.

- Hm... - mruknął tuan swoim zwyczajem. - Pewnie jej również pozostawiłeś przejście do legowiska?

Zgadł. Czy mogło być zresztą inaczej?

- Przecież to gekko - odparłem. - Brzydkie to, bo brzydkie, ale w żadnym szanującym się domu nie może jej braknąć. Doktor zamyślił się. Rozwagał pewnie moje słowa, krył się bowiem w nich okrucieństwo naszej narodowej mądrości. Nie drgnąłem nawet, wiedziałem bowiem z doświadczenia, że w takich chwilach człowiek pogłębia swoje najlepsze uczucia. Nie wolno takich myśli zamącać.

- Jak sądzisz, Nong_nong - odezwał się po pewnym czasie, jakoś dziwnie łagodnie. - To chyba nie są demony?...

- Och, panie - wykrzyknąłem wzburzony - przecież to gekko i żaby! W domu, w którym się one znajdują, panuje szczęście i spokój.

Zamyślony wzrok doktora przeniósł się teraz na mnie.

- To wszystko bardzo ciekawe - przemówił po chwili. - Szczęście i spokój... Oczywiście nie będziemy wyrzucali ich z tego domu. Zawsze z nimi weselej...

Poczułem się tak, jakbym odniósł wielkie zwycięstwo. Jak ten człowiek nas doskonale rozumiał! Uchwycił od razu sens. Przecież to stara prawda. Nawet najdrobniejszym istotom nie należy wyrządzać krzywdy...

Przez kilka następnych dni byliśmy zajęci porządkowaniem ogrodu. Nie był on duży, za to zarośnięty gęsto krzewami i trzeba było napracować się ciężko gołokiem. Znajdowało się tam zresztą sporo różnego robactwa, ale to nie było najgorsze. Prawdziwą plagę stanowiły węże, które nie niepokojone przez nikogo od roku urządziły tu sobie liczne kryjówki. Za to z waranami - tymi potężnymi jaszczurami, które tylko z wyglądu są groźne - mieliśmy sporo uciechy. Kilka z nich tak się zadomowiło, że początkowo hasały swobodnie po podwórzu, a nawet z wyraźnym zaciekawieniem przyglądały się naszej pracy. Nie miałem do nich pretensji, ale waram to nie gekko ani ropucha, więc w końcu trzeba je było wyprosić. Krzewy ścięliśmy i spaliliśmy, a potem zabraliśmy się do kopania.

Tuan Borski w tym czasie przygotowywał swoje laboratorium, a poza tym stale urządzał wycieczki do pobliskich plantacji. Wracał przeważnie w nocy. Któregoś dnia, coś w dwa tygodnie po naszym przyjeździe, zjawił się niespodziewanie koło południa.

- Regent przyjechał - powitałem go najświeższą nowiną.

- Czy mam przygotować ubranie?

Byłem przekonany, że to właśnie spowodowało tak wczesny powrót, a ponieważ wiedziałem, że w takich przypadkach Europejczycy lubią składać wizyty, więc już miałem wszystko gotowe.

Tuan jednak machnął ręką lekceważąco.

- Dobrze się składa - mruknął zadowolony. - Niech sobie czeka.

Domyśliłem się od razu, że nic z tej wizyty nie wyjdzie. To mnie bynajmniej nie zaskoczyło. W tym człowieku przecież zawsze czał się bunt.

- Jak tam z ogrodem? - zapytał rozglądając się naokoło.

Pokazałem mu wszystko. Za kilka dni powinniśmy zakończyć kopanie.

- To dobrze - pochwalił. - Chodź teraz ze mną. Pokażę ci, co i gdzie należy zasadzić.

Gdy znaleźliśmy się w jego pokoju, wyrysował mi plan ogródka, wyznaczył ścieżki i wskazał stanowiska dla krzewów i drzew.

- Resztę sam obsiej - dodał na końcu. - Nie zabawię tam chyba długo.

- Tuan wyjeżdża? - zapytałem zdziwiony.

- Tak. Muszę się udać na wschód. Na tamtejszych plantacjach grasuje nowa choroba. Zdaje się, że to dongkellan...

Przyjrzałem mu się z przejęciem. Dongkellan to przecież groźny demon, niszczący trzcinę cukrową. Dla człowieka nie jest on niebezpieczny, dopóki pozostawia się go w spokoju. A przecież doktor...

- Zbiorę tam tylko uszkodzone rośliny - uspokoił mnie zaraz, jakby wyczuł moje obawy. - Zbadam je tutaj, na miejscu. Sądzę, że instrumenty nadejdą z Europy jeszcze przed moim powrotem.

Odetchnąłem z ulgą. Nie będzie więc prowadził walki samotnie, to dobrze. Tu, w Kagoku, poradzimy sobie i z dongkellanem. Już tam wynajdzie się jakiś sposób, aby ten demonik nie wyrządził nam krzywdy...

Uspokoilem się więc i zakrzętałem przy pakowaniu rzeczy potrzebnych w drodze. W godzinę później odprowadziłem tuana na dworzec.

- A ja co mam robić w czasie pańskiej nieobecności? - zapytałem przy pożegnaniu.

- Przecież masz dość roboty - w jego słowach wyczuwało się lekkie zdziwienie. - Ogródek też zajmie ci sporo czasu...

Uśmiechnąłem się mimo woli. Cóż to dla mnie za praca? Nie orientował się, że przecież posiadałem wspaniałe Elmu Wytrwania. Ono nie znosi próżniactwa. Widocznie jednak czegoś się domyślił, bo uśmiechnął się również.

- Wiesz co, Nong_nong? - przemówił wesoło. - Jeśli będzie ci się nudziło, wybierz się na wycieczkę. Pospaceruj po wierzchołkach drzew, gdyż potrafisz to lepiej niż ja. Może znajdziesz tam jakiegoś nowego Demona Zniszczenia.

Przyjąłem to jako żart, ale gdy zakończyliśmy prace w ogródku, rzeczywiście zaczęła ogarniać mnie nuda. Ludzie byli tu inni aniżeli w Bogorze i mówili innym językiem. Porozumiewanie się z nimi sprawiało mi początkowo trudności, toteż miałem niewielu przyjaciół. Wprawdzie był Udian, który mówił dość biegle po malajsku, lecz ten, gdy tylko ukończył pracę, zazwyczaj ginął gdzieś u znajomych. Pozostawałem więc sam. Zwykle przechodziłem wtedy do pokoju doktora, przeglądałem książki i coraz częściej szperałem w szafach, gdzie były ułożone grzyby i glony, zgromadzone przez nas w Bogorze.

- Udianie - rzekłem któregoś dnia. - Weź coś do jedzenia. Idziemy w góry.

- A po co? - mruknął niechętnie. - Źle ci w domu?

- Musimy znaleźć kilka nowych roślin - odpowiedziałem dość nieopatrnie, ale, na szczęście, w ostatniej chwili ugryzłem się w język i nie wyjaśniłem wszystkiego.

Udian był pogodny z natury i chętny do pracy, lecz oczywiście nie miał Elmu Wytrwania. Gdy tylko zdarzyła się okazja, krył się po kątach, a nieraz nawet najbezcelniej wylegiwał się w słońcu. Usłyszawszy moje słowa, zaczął się śmiać.

Nigdy by sobie nie pozwolił na takie zuchwalstwo, gdyby tuan był w domu. Teraz dworował ze mnie. Nie rozgniewałem się, bo to naprawdę miły chłopak, a zresztą stać mnie było, aby sobie poradzić z nim w inny sposób.

- Rób, jak chcesz - powiedziałem więc obojętnie i odwróciłem się powoli. - Kop sobie dalej w ogródku...

Gwizdnąłem zaraz przeciągle, przygarbiłem się trochę i przez chwilę nadśluchiwałem czujnie. Jakby w odpowiedzi dało się słyszeć gdzieś pod werandą ciche westchnienie, a potem, najzupełniej niespodziewanie, w pokoju tuana odezwało się gekko. Nawet mnie to zaskoczyło, bo jaszczurka powinna była spać o tej porze. Udian też to widocznie usłyszał.

- Co to ma znaczyć? - wybuchnął, błyskawicznie zaskakując mi drogę. - Kogo przywoływałaś do siebie?

- Dobre duchy. Oddałem dom pod ich opiekę na czas mojej nieobecności. Przecież ktoś cię musi naganiać do pracy.

Udian osowiał. Gdy po pewnym czasie przygotowałem wszystko, co mi było potrzebne na drogę, i zszedłem z werandy z puszką botaniczną przerzuconą przez ramię, zobaczyłem go na dole, przy furtce. Czekał na mnie, na nosidłach miał zawieszony bagaż. To mnie nie zaskoczyło.

Wolał iść ze mną aniżeli mieć do czynienia z siłami, których nie mógł zobaczyć. Znałem go dobrze i wiedziałem, że mogę go teraz poprowadzić jak dziecko.

Bez słowa skierowałem się prosto na zbocza Slametu, tego potężnego wulkanu, który znajduje się naprzeciw Tegalalu. On nie drzemał tak spokojnie jak nasz Salak, u stóp którego teraz siedzimy. Dymił ciągle, a co kilka dni pykał sobie głośno, ale robił to tak jakoś dobrotliwie, że za każdym razem sprawiało mi to dużą przyjemność. Toteż i teraz nie odczuwałem żadnego strachu.

Szliśmy raźnie, godzina bowiem była poranna, ożywczy wiatr od morza chłodził nam plecy. Mijaliśmy tu i ówdzie pólka ryżowe, kampongi i wreszcie wąską ścieżyną zagłębiliśmy się w puszcze.

- Poczekaj - usłyszałem niespodziewanie za sobą głos przygnębionego Udiana. -
Odpocznijmy trochę...

- Jeszcze nie teraz - przeciwstawiłem się temu stanowczo.

Westchnął ciężko, ale nie oponował. Ścieżyna pięła się zakosami pod górę. Uszliśmy chyba z dziesięć kilometrów i dopiero wtedy skręciłem w gąszcz. Zacząłem pracować ciężko gołokiem. Ściana zieleni była twarda, wędrówka stawała się coraz trudniejsza.

Udian znowu zajęczał. I tym razem nie ustąpiłem. Należało go przyzwyczaić do uciążliwych podróży. Co będzie, gdy pójdzie na wycieczkę z tuanem? Doktora opanuje Demon Złości, a przecież do tego nie wolno dopuścić.

Gdy jednak przebrnęliśmy jeszcze z kilometr, a Udian jęknął ciszej niż zwykle, uległem. Wynioskowałem od razu, że był u kresu sił. Cóż, nie posiadał Elmu Wytrwania. Na takich ludzi nie nakłada się na początek zbyt wielkiego ciężaru.

Posililiśmy się nieco, potem zaś rozejrzałem się uważnie po otoczeniu. Puszcza, jak to puszcza, na pozór wszędzie u nas jednaka. Sznury pnączy zwisają wszędzie, to znów oplatają drzewa i w pogoni za słońcem giną gdzieś w górze w kłębach pogmatwanego listowia. Pni, nawet najgrubszych, nie widać prawie wcale, pokryte są bowiem szczelnie mchami, storczykami i paprociami. Na roślinie rośnie inna roślina, na niej znów inna i tak, korzystając z siebie wzajemnie, tworzą razem potworną gmatwaninę zieleni, która otacza człowieka ze wszystkich stron i przygniata swoim ogromem.

Po raz pierwszy stanąłem bezradny. Dopiero teraz zrozumiałem, że podjąłem się trudnej rzeczy. Dawniej zawsze ktoś mi wskazywał kierunek i cel. Jeśli nawet nic nie znalazłem, doktor nie robił mi nigdy wymówek, toteż nie przywiązywałem wagi do niepowodzeń. Teraz było inaczej. Nie mogłem przecież wracać do domu z pustymi rękoma...

O przyjaciele! Nie wiem, czy mnie potraficie zrozumieć. Większość z was pracuje tam w Ogrodzie, między Tjiidani a Tjiliwongiem, gdzie błyszczą obecnie elektryczne światła Bogoru. Wielu z was brało udział w wyprawach z naukowcami do puszczy. Znacie doskonale i pola, i las. Czy jednak znajdowaliście się kiedyś w takiej sytuacji jak ja? Czy próbowaliście samotnie szukać wśród tysięcy krzewów i drzew, maskujących się sprytnie, okrutnych Demonów Zniszczenia? Czy ogarnął was kiedyś strach w tym półmroku, który panuje tam wiecznie? Czy czuliście, jak was otacza jakaś podstępna moc, której nie widzicie, nie umiecie z nią walczyć, nie możecie jej schwytać za gardło?

O bracia, ja byłem w takiej sytuacji!... Targnął mną wtedy straszliwy lęk, przyznaję bez wstydu. Co innego wejść do puszczy, a co innego wybrać się tam na polowanie na Demony Zniszczenia. Drżałem na całym ciele, pot zrosił mi czoło i ręce. O mało nie krzyknąłem, gdy nad moją głową przemknął zniecka jakiś cień, powiał chłodem i zniknął. Nie dziwcie się temu. Ja wiedziałem, co to oznacza...

Nie cofnąłem się jednak. Nie po to wdarłem się w ten gąszcz, aby stąd odejść bez łupu. Spojrzałem na Udiana. Jadł spokojnie i odpędzał tylko od czasu do czasu chmary komarów, które, jak to w lesie, nie dawały nam ani chwili wytchnienia. Na mnie wcale nie patrzył.

- Kończ - przynagliłem, był bowiem żarłokiem jak rzadko. - Trzeba teraz będzie pospacerować po drzewach.

Popatrzył na mnie trochę niechętnie.

- Co możesz zjeść dziś - odparł sentencjonalnie - nie odkładaj do jutra. Może się zepsuć.

Nie słyszałem dotąd tego przysłowia, ale nie zastanowiłem się nad nim, gdyż zaczęła mnie palić gorączka. Obawiałem się, że jeśli natychmiast nie zacznę działać, ucieknę z tego miejsca, mimo że posiadam wspaniałe Elmu Wytrwania.

Przynagliłem powtórnie. Tym razem usłuchał. Zawiesił na gałęzi nosidła z resztkami żywności i zbliżył się do mnie.

- Co mam robić? - zapytał przeciągając się leniwie.

Wy tłumaczyłem, o co mi chodzi. W domu pokazywałem mu kilkakrotnie grzyby, toteż zrozumiał bez trudu.

- Ale może ty nie potrafisz chodzić po drzewach? - zapytałem nieco złośliwie, chcąc i jemu, i sobie dodać otuchy.

Spojrzał na mnie z wyższością.

- Nie wiem, jak tam u was w Bogorze... - przemówił cedząc powoli słowa. - W takim ogrodzie ludzie pewnie dawno zapomnieli tej sztuki. Nas natomiast nikt nie prześcignie we wspinaczce.

Zrozumieliście, moi mili, obrazę, która była skierowana pod naszym adresem? Wtedy nie wziąłem jednak tego do serca. Przeciwnie - uśmiechnąłem się nawet w duchu. Bardzo byłem zadowolony z takiego obrotu sprawy.

- No, w takim razie spróbujmy swych sił - rzuciłem wyzwanie. - Wchodź!

Wskazałem mu wysokie drzewo, sam zaś stanąłem przy sąsiednim pniu. Poderwałem się nagle i chwyciłem w przerażeniu za zwisającą lianę, gdyż tuż pod moimi nogami rozległ się syk przeraźliwy i krótki, jakby kłaśnięcie z biczem. Liana zakołysała się lekko, przeskoczyłem na pień. Potem błyskawicznie zacząłem się wspinać w górę.

Gdy przedostałem się przez dolne podszycie, zrobiło się nieco jaśniej. Zerknąłem w bok. Udian piął się zręcznie, ale nie mógł za mną nadążyć. On też mnie zauważył i zwiększył natychmiast swoje wysiłki. Nie pozwoliłem się wyprzedzić. Dopiero gdy korona była już blisko, zwolniłem tempo. Przegonił mnie zaraz, wydając zwycięskie okrzyki.

Uśmiechnąłem się sam do siebie. Ludziom, którzy nie posiadają Elmu Wytrwania, należy uprzyjemniać robotę, zniechęcając się bowiem szybko. Toteż już bez pośpiechu wdarłem się między listowie.

Rozpoczęła się praca żmudna, trudna i niebezpieczna. Demon Zniszczenia kryje się bardzo starannie, niekiedy zwisa na najcieńszych gałązkach. Chociaż często nie dojrzysz go okiem, morduje potężne drzewo. Kiedy indziej schowa się między mchy albo przybierze postać tak podobną do otoczenia, że patrzysz na niego, a nie możesz dostrzec. Czujesz go koło siebie, podrywa ci nogi, uderza gałęzią, zasłania oczy, to znów przeraża szelestami i oślizłością. Nie wolno ci się jednak zawahać, bo zginiesz. W walce z nim ten tylko zwycięża, kto się nie boi.

Ja się nie uląłem, o moi mili, toteż znalazłem go wreszcie. Był długi, zielonkawy, pośrodku miał czarne gwiazdki. Czy sądzicie może, że był bezbronny, że się poddał bez walki? Nie, bracia, tak niestety nie było. Zwiertzył widocznie niebezpieczeństwo, ściągnął więc na pomoc swego wasala. Tuż nad nim ujrzałem dwoje nieruchomych, zimnych jak stal, wpatrzonych we mnie uważnie oczu. Czułem, jak od stóp do głowy przeszedł mnie mróz, ale nie drgnąłem. Byłem przygotowany na wszystko. Tam, na dole, otrzymałem pierwsze ostrzeżenie, że w powietrzu czai się groźba. Teraz miałem ją przed sobą. W odległości ramienia...

Tak, moi mili, były to ciężkie chwile. Z pewnością niejednen z was widział nieraz jadowite węże w koronach drzew, bo przecież u nas jest ich tam znacznie więcej aniżeli na ziemi, ale niewątpliwie nie trafił nigdy na takiego, który by występował w obronie przyczajonego cicho

Demona Zniszczenia. Miałem teraz dwóch wrogów. Jeden czatował tylko, abym zrobił jakiś niezręczny ruch, gotów natychmiast strącić mnie z olbrzymiej wysokości między krzewy i leśne poszycie. Drugi szykował się do skoku, aby zadać mi śmierć.

Sytuacja była tragiczna. Wtedy to pomyślałem o swoim tuanie, o trzech przepracowanych z nim nocach i o srebrzystym Ardżunie, który mi się ukazał we śnie. Poczułem naraz w sobie ogromne siły. Mróz w kościach zniknął, szczęki stwardniały, spłynął na mnie nadludzki spokój, moimi ruchami zaczęła kierować przezorność. Przyłgnałem do konara, na którym właśnie leżałem, i ścisnąłem go lewą ręką prawie do bólu. Nie spuszczałem wzroku z gorejących oczu zwierzęcia. Za to moja prawa ręka przesunęła się ostrożnie do pasa. Dotknąłem goloka. Wysuwałem go teraz powoli, stopami silniej objąłem drzewo. Gad nie drgnął. Spoglądaliśmy na siebie w milczeniu, jakby jeden chciał przeniknąć myśli drugiego. Golok ukazał się wreszcie przed moimi oczyma. Roziskrzył się w jakimś zbłąkanym blasku i oddzielił nas na chwilę od siebie.

Odetchnąłem lekko i skuliłem kolana. Miałem w ręku broń, mogłem przystąpić do generalnego ataku. Ciało lekko podało się naprzód, lecz w tym momencie prysnęła na mnie biała czarna wstęga, rozdziawiona krwiożerczo paszcza ukazała się przed moimi oczyma. Golok rąbnął na odlew...

Nie wiem, co się później stało, czy mój oręż przeciął go na pół, czy też tylko odepchnął, bo nic nie pamiętam. Z jednego tylko zdałem sobie sprawę: gad dotknął mej twarzy, ale nie ugryzł, a zaraz potem coś tam potoczyło się w dół. Przez pewien czas leżałem jak nieżywy, nie mogąc poruszyć ręką ani odetchnąć.

Gdy wreszcie przyszedłem do siebie, widziałem tylko demona. Siedział jak przedtem, nieruchomy, zszarzały, jego świetne barwy jakby wyblakły. Od razu nabrałem zwykłej sobie pewności. Teraz, gdy zniknął jego obrońca, potrafiłem sobie poradzić. Wyciąłem go starannie razem z korą, a potem zsunąłem się z pnia. Udian czekał już na mnie.

- Nic nie ma - mruknął niechętnie. - Szkoda naszego wysiłku.

Nie wspominałem mu o swojej przygodzie. Nie należało go straszyć. Natomiast pokazałem mu zdobycz. Widziałem, że uczyniła na nim wrażenie.

- Widocznie nie rośnie na każdym drzewie - zauważył, wyraźnie z siebie niezadowolony.

- Spróbuję jeszcze raz...

Schowałem grzyb do puszeki wraz z gałązkami drzewa, aby doktor wiedział, gdzie go należy szukać, a potem udaliśmy się znowu na górę.

- Gdybyś znalazł jakąś ciekawą paproć - zawołałem, kiedy ujrzeliśmy się po drodze ponad podszyciem - zerwij! Tuan bardzo je lubi.

I tak wędrowaliśmy od pnia do pnia, z ziemi w konary drzew, a stamtąd z powrotem na ziemię. Raz pozwalałem wyprzedzić się Udianowi, to znów go przeganiałem, aby dodać mu ducha. Chłopak zawiazał się, ale niewiele miał szczęścia. Po kilku godzinach wysiłku zdobył zaledwie dwa grzyby, a i to takie, które mieliśmy już w swojej kolekcji. Mnie również przestało się wkrótce powodzić, lecz się nie zrażałem. Miałem przecież wspianałe Elmu Wyrwania.

Udian zaś, im trudniej było o zdobycz, tym bardziej się zapalał. Byłem z tego bardzo zadowolony, a zagrzewając go do poszukiwań, sam zapomniałem o czasie. Nie domyśliłem się wtedy, że demony mogą przygotowywać zemstę i właśnie jego użyć za swoje narzędzie. Nie zwróciłem nawet uwagi na gęstniejący mrok. Za to ucieszyłem się, kiedy niespodziewanie z radosnym okrzykiem rzucił się w gąszcz.

- Mam coś dla tuana! - wykrzyknął. - Patrz!...

Pobiegłem za nim. Ujrzałem wielką paproć, rosnącą wysoko na drzewie. Udian właśnie próbował ją oderwać od pnia. Wsunął ręce w zeschnięte na spodzie listowie, zaparł się mocno i ciągnął przez chwilę, ale naraz wydał przeraźliwy krzyk. Zsunął się błyskawicznie na ziemię i odskoczył od drzewa jak odepchnięty sprężyną. Zdawało się, że ten człowiek oszalał. Skakał, wył nieładnie, zrzucił z siebie ubranie.

- Milcz! - huknąłem na niego z góry. - Rozgniewasz puszcę.

Pomogło. Rozumiał tak samo dobrze jak ja, że nie wolno obrażać krzykiem ani drzew, ani stworzeń żyjących w lesie, bo puszcza mści się za to straszliwie. Podeszedłem bliżej. Twarz miał wykrzywioną bólem, tysiące mrówek pokryło całe jego ciało ciemną, ruchliwą powłoką. Zrozumiałem wszystko bez trudu. Dotknął niebacznie rośliny żyjącej w przyjaźni z tymi drobnymi żyjątkami, które w zamian za udzielone im mieszkanie broniły jej zaciekle przed napastnikiem. Walka z nimi była długa, Udian jęczał głucho, lecz wreszcie i to minęło. Jego skóra wyglądała okropnie. Całe ciało było gęsto pokryte czerwonymi plamkami, z wielu miejsc lała się krew. To właśnie było najgorsze. Okazało się, że oblaży nas także pijawki ziemne i one to porobiły te rany. Mrówki rozszerzyły je, niektóre zaś wgryzły się tak głęboko, że zdołałem je wydobyć dopiero po bardzo bolesnych zabiegach.

Nie tu jednak kończyły się nasze nieszczęścia. Z kolei zająłem się sobą, lecz nie oderwałem jeszcze ostatniej pijawki, gdy słońce zagasło, pod zielonym sklepieniem zapadł kompletny mrok. Cóż, stało się to, co musiało się stać... Demony wtrąciły nas w przygotowaną z góry pułapkę. Przy pomocy mrówek opóźniły naszą ucieczkę. Teraz zabrały nam światło.

Zrobiło mi się nieswojo. Początkowo rozróżniałem pnie najbliższych drzew, ale i one zniknęły wkrótce w panujących naokoło ciemnościach.

- Udianie, chodź za mną - mruknąłem, usiłując panować nad sobą. - Noc...

On się również przeraził. Bez słowa zarzuciłem puszkę na ramię, chociaż zdawałem sobie sprawę, że w niej przecież znajdują się stwory, które zaprzysięgły nam zemstę. Wiedziałem, że to nie koniec. Były one teraz bardziej niebezpieczne aniżeli wówczas, kiedy broniły się tam, w górze, w koronach drzew. Będą zdradzały bez przerwy nasze miejsce pobytu, pewnie już teraz przywołują na pomoc siły znacznie od nich groźniejsze. Czułem, jak wałą się one na nas ze wszystkich stron. Słyszałem wyraźnie ich ponure hasła bojowe w poszumie drzew, w zgrzytach, które rozlegały się coraz bliżej, w jakichś tajemniczych stękaniach i świstach i w przerażającym ryku pantery.

Schwyciłem Udiana za rękę i po omacku skoczyłem tam, gdzie powinna się znajdować wycięta przez nas ścieżyna. Szukałem nosideł i zawieszonych na nich resztek żywności. Byłem przekonany, że znajdują się one tuż. Dotykałem, macałem, przyginałem gałęzie, lecz nic z tego nie wyszło.

Coś uderzyło mnie w twarz, gdzieś obok dało się słyszeć jakieś ponure westchnienie. Rzuciłem się w bok, ale drogę zatarasowały mi krzewy. Ruszyłem naprzód - to samo. Próbowałem się wycofać do tyłu. Twarde pnie otoczyły mnie wkoło i nie przepuszczały ani o krok. Włosy mi się zjeżyły na głowie, ręka Udiana drżała jak w febrze. Byliśmy uwięzieni. Demony zemściły się strasznie. Powoli, bezszelestnie zbliżała się do nas śmierć...

Jeszcze dziś, gdy wspominam tę noc, cierpie mi skóra, groza przysłania wzrok. Nie było tam tych piewików, które teraz zawodzą naokoło nas swoją radosną pieśń. Nie pachniały tak słodko storczyki. Nad ziemią unosił się zaduch butwiejących liści; po liściach staczały się monotonnie krople rosy i jak drobny deszcz spadały z rytmicznym postukiem na wilgotne podłoże. Z góry, z boków, ze wszystkich stron otaczała nas sprężysta ściana gałęzi. Gdyśmy się poruszyli - gryzła i drapała, wpijając się ostrymi kolcami rozrywała ubranie i skórę.

Udian zajęczał i to właśnie przywróciło mi przytomność.

- Milcz! - zganilem go ostro. - Jeszcze bardziej obrazisz puszcze!

Zacisnął zęby, aż zadźwięczały, mój mózg zaczął natomiast pracować. Nogami próbowałem wyczuć nierówności terenu. Nie mogło być wątpliwości: szczyt Slametu znajdował się za mną. Byłem również przekonany, że wróg zgromadził największe siły na nieszczęsnej ścieżynie, a jeśli będziemy tam próbowali się dostać, to dotąd będzie nas wodził po manowcach, dopóki ostatecznie nie zniszczy. Toteż należało unikać tej drogi. Ale tu przecież nie można pozostać...

Przyszło mi wtedy na myśl, że lepiej będzie porzucić puszkę. Kto wie, może demony zapomną urazy, gdy poczują się wolne? Oczywiście, bracia, rozumowałem bardzo naiwnie, ale w chwilach nieszczęść człowiek zapomina najczęściej o podstawowych prawach rozsądku. Nawet już podniosłem rękę, aby zdjąć puszkę z ramienia, gdy coś obmierzłego chlasnęło mnie w twarz i to wzbudziło we mnie straszliwą zaciętość. Wiedziałem, że nieprzyjaciel ponawia atak. W moim sercu zrodził się bunt. Postanowiłem raczej zginąć aniżeli ustąpić. Wiedziałem już, co należy uczynić! Sprawdziłem, czy puszka jest dobrze zamknięta, a potem chwyciłem gołok w garść i zacząłem rąbać z rozmachem.

- Udianie - krzyknąłem - posuwaj się za mną! Wytniemy ścieżkę do najbliższego kampongu!

Była to rozpaczliwa próba obrony, ale jedyna. Las mógł się kończyć niedaleko, lecz z równym powodzeniem mógł się ciągnąć do morza. Szedłem jednak naprzód, powoli wprawdzie, krok za krokiem, ręce mi mdlały z ogromnego zmęczenia. Mimo to nie ustawałem w robocie. Nie było wyboru. Kto w nocy przystanie w puszczy, ten zginie. Ochronić się przed demonami można tylko w czasie ruchu i walki.

Potem oddałem gołok Udianowi, gdy zaś jemu zabrakło sił, zastąpiłem go znowu.

Nic tak nie zabija lęku, o bracia, jak twarda praca, której uwieńczeniem ma być niezwykle cel. A przecież przed nami, gdzieś tam na skraju puszczy, jaśniała wolność, której on tak samo pożywał jak ja. Toteż wymieniał się coraz chętniej, chociaż czułem, że każde poruszenie sprawia mu ból.

Wreszcie rozjaśniło się nieco, widocznie ponad wierzchołkami drzew rozbłysło światło księżyca. Pobiegały niektóre pnie, tu i ówdzie zamigotały liście ruchliwą, tajemniczą poświatą. Twarda dotychczas ściana stała się mniej zwarta, przyspieszyliśmy swój marsz. Był już najwyższy czas. Za nami rósł gwar, rozległy się hałaśliwe narzekania i jęki złowieszcze, a potem przeraźliwym chórem potoczył się jakiś nierówny, burzliwy grzmot. Twarze nam poczerwieniały, uderzenia stały się zręczniejsze i szybsze. Demony wściekały się, ale w naszych sercach budziła się radosna nadzieja i ona to dodawała nam sił.

Slamet pyknął dobrotliwie, moje serce zabiło mocno. Gąszcz znikł. Przed nami ukazały się pola ryżowe, w dali ciemna plama kampongu.

- Udianie! - krzyknąłem wesoło. - Słyszysz, jak cieszy się Slamet, że wydobyliśmy się wreszcie z matni? Rozpalaj ognisko!

Nie potrzeba mu było powtarzać tego dwa razy. Wiedział tak samo dobrze jak ja, że na ciemne moce nie ma lepszego lekarstwa. Rzeczywiście, gdy rozbiły się płomienie, od razu poczuliśmy się raźniej.

- Zjadłbym coś - mruknął Udian takim tonem, jakby już zapomniał o wszystkim.

- Ale nie ma nic - odparłem dość obojętnie, choć i mnie zaczął dokuczać głód.

Udian przeciągnął się ostrożnie i jęknął. Odezwał się ból.

- Wszystko przez ciebie - powiedział w złości. - Byłbym syty, gdybyś nie odganiał mnie od jedzenia.

Nic nie odrzekłem. Czynił mi niewątpliwie słuszne wyrzuty. Tylko mrówki będą miały teraz uciechę z naszej żywności. W przyszłości postanowiłem postępować ostrożniej.

Przedrzemaliśmy jakoś tę noc, a gdy tylko ukazało się słońce, skierowaliśmy się w stronę kampongu. Pożywiliśmy się w pierwszej chacie, ale ludzie spoglądali na nas dość podejrzliwie. Nic dziwnego, tacy, którzy wracają ze Slametu z nocnej wyprawy, nie mogą budzić w nikim ufności. Kto wie nawet, czy nie oddaliby nas w ręce władzy, ale na szczęście moja puszka powstrzymała ich od nierozsądnych wystąpień.

- Co tam trzymasz w środku? - zapytał jakiś bardzo energicznie wyglądający młodzieniec, gdy szliśmy przez wieś.

Czułem, że mogę mieć z nim sporo kłopotów. Nie wyglądał na uprzejmego. Postanowiłem wyznać mu prawdę.

- Demony Zniszczenia - szepnąłem pochylając się nad nim.

Odskokzył jak oparzony. Nie mógł nie uwierzyć, ponieważ nasze ciała wyglądały okropnie, a twarze też z pewnością zdradzały ślady niedawnych walk.

Ruszyliśmy dalej. Dzieciarnia wyprowadzała bawoły z zagród. Przed domami, tak samo jak u nas, rosły palmy kokosowe, cukrowe i sagowe, banany, drzewa muszkatoowe i wanilia, a tu i ówdzie pojawiały się kępy bambusów. Gdzieniegdzie uderzały swoim przepychem śliczne, czerwone malwy i pokryte kwieciem jaśminy.

Właśnie przechodziliśmy koło jednego z takich ogródków, gdy poza kępą zieleni ujrzeliśmy siedzącą na progu starszą kobietę. Coś mnie uderzyło w tej pochylonej postaci. Patrzyła na nas, ale wzrok jej był zamglony, twarz zapadnięta, w każdej zmarszczce czaił się ból. Pozdrowiłem ją grzecznie i przystanąłem.

- Niełatwe jest życie - rzekłem ze smutkiem, gdyż żal ścisnął mi serce na widok tej skulonej postaci. - Zajrzało do chaty jakieś nieszczęście?

Jej nieruchome oczy zdawały się mnie nie dostrzegać. Sądziłem, że nie dosłyszała, więc powtórzyłem pełne współczucia pytanie.

- Spójrz! - westchnęła, wyciągając przed siebie rękę. - Spójrz tam, na te rośliny...

Zobaczyłem niewielkie pólko, na którym rosła kukurydza. Zasadzona była widocznie niedawno, listki były niewielkie. Lęk człowieka ogarniał, gdy na nie patrzył. Część roślin leżała na ziemi martwa. Inne pochylały się chorobliwie.

- To klęska!... - wykrztusiłem z trudem, wstrząśnięty tym widokiem do głębi.

- Tak, to klęska - potwierdziła kobieta żałośnie. - Przy ostatnim zbiorze jeszcze coś tam zdołało się uratować. Teraz nie będzie co jeść...

- A ryż? - bąknąłem niepewnie.

- Nie mam go na czym uprawiać.

Popatrzyłem na nią zmieszany. Musiała być wdową, jeśli przydzielono jej tak mało ziemi.

- Czy to tylko na twoim polu, matko? - spytałem. - Czy u sąsiadów jest lepiej?

- Nie, ale oni sobie poradzą. Pola ich są większe, a poza tym są tam przecież mężczyźni...

Głęboko wzruszony udałem się na półko i obejrzałem z bliska łodygi. Jedną wyrwałem. Dwa górne listki były rozwinięte normalnie, za to dolne opadały bezwładnie. Zastanowiłem się nagle. Uderzyły mnie niewielkie, okrągłe plamki, które dopiero teraz spostrzegłem.

- Czyżby?... - mruknąłem do siebie. - Ha, gdyby tak było naprawdę! Dopiero by kobiecina odżyła!...

W moim sercu zrodziła się cicha nadzieja. Zbliżyłem się powoli do domu.

- Nie rozpaczaj jeszcze, matko - przemówiłem ostrożnie. - Może znajdę jakąś radę na to nieszczęście.

Kobieta pokiwała bezradnie głową.

- Nic na to nie poradysz, mój synu - rzekła w zwątpieniu. - To Demon Zniszczenia. Różni próbowali mu się przeciwstawić. Niestety, nic z tego nie wyszło...

Raptownie nabrałem w płuca powietrza. Demon Zniszczenia! Więc nie omyliły mnie moje przeczucia!

- Nie martw się, matko! - zawołałem radośnie. - Demony to moja specjalność. Sprowadzę ja tu dutura, któremu się żaden nie oprze!

Kobieta przez pewien czas przyglądała się mi uważnie, ale nie okazała specjalnego zachwyty.

- Zaglądało do nas wielu duturów - rzekła melancholijnie.

- Byli to sławni lekarze, władający potężnymi siłami. Tu stanęli jednak bezradni. To przecież lijer. Demon nie do zniszczenia...

To mnie trochę ubodło. Jakie miała prawo wątpić w umiejętności mojego tuana? Że najlepsi zawiedli?... Stanowczo za mało.

Rozgorzały mi nagle policzki.

- Ten, którego ja sprowadzę - przemówiłem z godnością - na pewno zrobi z tym wszystkim porządek. To nie jest zwyczajny dutur!

Wdowa spojrzała na mnie zdziwiona. Moje słowa musiały wyrzucić na niej wrażenie.

- A któż to taki? - spytała z przejęciem. - Znamy tu przecież wszystkich...

Przez chwilę szukałem słów, jak by go najlepiej określić. Nieoczekiwanie przemknął przed moimi oczyma Bogor ze swym przepychem krzewów i drzew, nasze herbarium, srebrzysty Ardżuna, którego widziałem we śnie, a potem, ni stąd ni zowąd, pojawił się piękny obraz, o którym zawsze tak uroczyście wspomina tuan Arab, gdy opowiada o życiu po śmierci.

- To jest - wyjaśniłem z głęboką powagą - Dutur z Rajskiego Ogrodu...

XIII

W tydzień później tuan powrócił. Był bardzo zadowolony. Zwiedził prawie całą wschodnią Jawę, zajrzał do krajów księżęcych, przeprowadził wstępne badania na licznych

plantacjach trzciny cukrowej i przywiózł obfity materiał, nad którym miał pracować obecnie w Kagoku. Dongkellan rzeczywiście opanował olbrzymie przestrzenie, a dotychczasowe sposoby walki dawały niewielkie wyniki.

- Zdaje się, że znajdziemy na niego sposób - rzekł wesoło zasiadłszy na werandzie przy kawie. - A tobie jak się powodzi? - dodał rozglądając się po pięknie teraz urządzonej ogródki. - Widzę, że nie marnowałeś czasu.

- O, nie - zaprzeczyłem gorliwie. - Zrobiłem nawet wyprawę po grzyby.

Tuan popatrzył na mnie z niedowierzaniem. Zrozumiałe, tego się nie spodziewał. Z triumfem wyniosłem swoją zdobycz.

- A to dopiero! - wykrzyknął rozglądając się z wielkim zainteresowaniem wśród prezentujących się teraz niewinnie demonów. - Że też ci nie zabrakło odwagi!... Sam poszedłeś do puszczy?

Opowiedziałem mu wszystkie szczegóły. Pokiwał głową z uznaniem.

- Będzie z ciebie botanik - potwierdził to, co już niegdyś powiedział. - Jak to fachowo zrobione!...

Pokraśniałem z zadowolenia. Rzeczywiście pracę wykonałem porządnie. Każdy okaz był opisany, miejsce znalezienia wskazane bardzo dokładnie, a że nie znałem nazw łacińskich tych drzew, na których moje demony żyły, dałem tylko nazwy krajowe i dołączyłem do tego gałązki z liśćmi. Doktor rozpoznał wszystko bez trudu.

- Świetnie - pochwalił znowu.

- Niektóre mamy w swojej kolekcji, ale nie szkodzą. Wymienimy na świeższe. Inne poddamy szczegółowym badaniom. Mógłbyś mnie zaprowadzić do miejsca, gdzie to wszystko znalazłeś?

Zrozumiałe, że nie nastęczało to żadnych trudności. Najadłem się strachu, to prawda, ale byłem gotów udać się tam po raz drugi, aby wykazać tym podłym stworom, że narobię im jeszcze nieraz kłopotów.

- Doskonale, wybierzemy się więc za kilka dni - tuan był coraz bardziej zadowolony. - Musimy też obejrzeć tę paproć, o której wspominałeś. Więc twierdzisz, że mrówki broniły wówczas rośliny?...

Powtórzyłem wszystko raz jeszcze.

Zamyślił się.

- Wiesz, Nong_nong, co myślę o tobie i o twoich współbraciach? - zapytał niespodziewanie. - Gdyby was posłać do szkoły, a takich jak ciebie na uniwersytet, nie różnilibyście się niczym od Europejczyków. Jesteście bardzo zdolnym narodem.

Uśmiechnąłem się trochę zakłopotany, bo przecież dla mnie zawsze to było jasne. Nie mogłem mieć jednak do niego żadnych pretensji. Co mówił, mówił szczerze i z serca, toteż spojrzałem na niego z wdzięcznością. Jak na owe czasy, było to bardzo dużo. Ani ja, ani mój ojciec nie słyszeliśmy nigdy, aby jakiś Europejczyk wygłaszał tego rodzaju opinię.

- Masz jeszcze coś ciekawego? - zapytał po chwili.

Pokazałem mu kukurydzę, którą do tej pory trzymałem w ręku. Chciałem ją zachować na koniec, bo była to dla mnie sprawa najpoważniejsza. Rzucił na nią wzrokiem przelotnie.

- Chyba nic nowego - rzekł obojętnie. - Choroby kukurydzy są dobrze znane...

- Ależ, panie, to lijer! - wykrzyknąłem wzburzony, zląkłem się bowiem, że cała moja dobrze przemyślana gra spełźnie na niczym. - To straszny demon. Do tej pory nikt nie potrafił z nim sobie poradzić!...

Coś w moim głosie musiało zwrócić jego uwagę, bo popatrzył na mnie przeciągle. Bez słowa wziął do ręki lupę, a potem obejrzał starannie łodygę i liście.

- Hm... - mruknął zaskoczony tym, co zobaczył. - Zdaje się, że to rzeczywiście coś niezwykłego.

Serce uderzyło we mnie radośnie, gdyż ten pomruk stanowił zawsze dobrą zapowiedź. Bez rozkazu skoczyłem po mikroskop i potrzebne przyrządy. Wiedziałem, co teraz powinno nastąpić. Gdy powróciłem, doktor uśmiechnął się. Podobała mu się moja domyślność.

- No, w takim razie przygotuj preparat - przemówił pogodnie. - Zbadamy tego gryzonia.

Wykonałem to w mgnieniu oka. Nauczył mnie dawno tej sztuki, toteż obecnie robiłem może nawet lepiej niż on.

- Hm... - mruknął po raz trzeci, spoglądając z uwagą przez szkło. - Najprawdziwszy grzyb. Co za kształt! Bardzo szykowny okaz nie znanego mi dotychczas Demona Zniszczenia...

Pokręcił przy lusterku i znowu zajrzał do środka.

- Nong_nong - wykrzyknął, wpadając od razu w swój zwykły ton, który stosował przy pracy - notesik!

Przydzwigałem z pośpiechem naszą wspaniałą księgę handlową, którą zaprowadziłem w Bogorze. Uginałem się pod jej ciężarem, lecz wtedy wydawała mi się lekka jak piórko.

- Jest - powiadomiłem, rozkładając na odpowiedniej stronicy. - Ołówek!

Miałem go, oczywiście, pod ręką. Doktor zaczął coś notować szybko, ja zaś przysiadłem w kącie. Obserwowałem z największą uwagą.

- Preparat z liścia! - podał nowy rozkaz, jak w wojskowej komendzie.

Wskazał mi palcem miejsce do wykrojenia. Wykonałem błyskawicznie zlecenie i znowu wpatrzyłem się czujnie. Ołówek pobiegł gorączkowo po papierze, ale naraz przełamał się z trzaskiem.

- Nong_nong - usłyszałem natychmiast wezwanie - scyzoryk!

Na to też byłem przygotowany. Wyciągnąłem golok zza pasa i wręczyłem mu go bez słowa. Tamten scyzoryk z Bogoru znalazł się wreszcie, ale doktor osobiście wrzucił go do stawu, aby nie budził złych myśli. Doskonale teraz sobie radził z nie znanym mu dawniej przyrządem. Zatemperowałem zręcznie. Zrobił jeszcze kilka notatek, a potem zajrzał do książki.

- No, Nong_nong - przemówił ciepło, gdy nic tam ciekawego nie znalazł - mamy więc Peronosporę Maydis! Nowy, nasz własny gatunek. Rozszerza się nasza kolekcja...

Ucieszyłem się tak samo jak on, ale przecież nie tylko o to mi chodziło. Tu trzeba było działać i niszczyć, a nie tylko opisywać. Uderzyłem więc na całego.

- Panie - przemówiłem grzecznie, ale stanowczo - tego demona należy doprowadzić do śmierci. On bardzo dużo wyrządza krzywdy!

Doktor zamyślił się.

- Wiesz przecież - odpowiedział po chwili - że teraz zajmuję się trzciną cukrową. Kukurydzą interesują się inni.

Zrobiło mi się przykro. To, co mówił, było prawdą. Jeśli jednak ci inni uczeni nie potrafili uporać się do tej pory z tym demonem, to przecież i nadal mu nic nie zrobią. A tam czeka na pomoc ta biedna wdowa...

- O panie - zawołałem rozszalony do głębi - tu idzie o ludzi! Czy mają cierpieć dalej chociaż my możemy im otrzeć łzy? Ich pólka są bardzo małe, niektórzy nie mają ryżu. Czeka ich głód...

Zdawało mi się, że twarz doktora ściągnęła się, w jego oczach pojawiła się dziwna surowość.

- A więc to bardzo biedni ludzie?... - zapytał przeciągle.
Potwierdziłem gorąco.

- No, dobrze - dodał wyraźnie przejęty - zajmiemy się tym lijerem. Gdzie go znalazłeś?
Opowiedziałem mu wszystkie szczegóły i wskazałem miejscowość. Nie było do niej daleko.

- Dobrze - powtórzył. - Pójdziemy tam razem. Przedtem jednak naszego demonika poddamy próbom. Wiesz co, Nong_nong - zawołał naraz takim tonem, jakby spłynęło na niego olśnienie - musimy tu, w domu, urządzić drugie laboratorium. Dla takich właśnie badań, które nie mają nic wspólnego z trzcina cukrową.

Bardzo mi ten pomysł przypadł do gustu. Następnego dnia przemeblowałem cały dom i w dotychczasowym pokoju tuana urządziłem skromną, ale przyzwoitą pracownię. Wzięliśmy lijera na warsztat. Doktor twierdził, że jeszcze żyje i ciągle jest niebezpieczny. Na wszelki wypadek sprowadziłem z pobliskiego kampongu kilka nowych łodyg i rozpoczęliśmy hodowlę. Podkarmialiśmy go uczciwie, tuan ciągle wynajdywał dla niego jakieś wymyślne miksturki.

- Niedobrze... - mruknął któregoś dnia. - Drań niczego się nie boi. Co jego zabija, zabija również roślinę...

Wiedziałem, że to groźny demon, lecz nie przypuszczałem, iż nawet mój doktor może stanąć wobec niego bezradny. Cóż, trzeba było zdobyć się na cierpliwość. Wytrwałość ma decydujące znaczenie w walce z Demonami Zniszczenia. Rozumiałem to już wtedy tak samo dobrze jak tuan, więc nie przerywaliśmy roboty.

Coś w miesiąc później nadszedł transport przyrządów z Europy. Tuan zajął się całkowicie urządzaniem laboratorium na stacji doświadczalnej, ja zaś z większą teraz uwagą musiałem pilnować hodowli. Rozszerzyliśmy ją znacznie, w ogródku wyrosły młode roślinki. Obserwowałem je pilnie, zaglądając do niech codziennie. Pierwsze listki kukurydzy rozwijały się normalnie. Trzeci lub czwarty już atakował morderca.

- Żle! - doktor zmartwił się szczerze, gdy to wreszcie zobaczył. - Spróbuję jeszcze jednego środka...

Obsypał pędy jakimś proszkiem, inne zaś podlał bezbarwnym płynem. Po trzech dniach padły i jedno, i drugie.

- Bardzo źle - oświadczył, gdy przeprowadziliśmy badania mikroskopowe. - Nie tędy droga...

Zbadaliśmy następnie ziemię, która przylepiła się do korzeni, i tę, na której kładliśmy liście.

- To już lepiej - ucieszył się doktor niespodziewanie. - Zdaje się, że zaraza nie przenosi się tędy...

I to odkrycie miało znaczenie, ale mnie nie przysporzyło radości. Ta biedna wdowa!... Czeka tam pewnie na nas i płacze. Może już nie ma co jeść?

Tuan, jakby wyczuwając te bolesne myśli, które ani w dzień, ani w nocy nie dawały mi chwili spokoju, któregoś dnia wieczorem sprawił mi niespodziankę.

- Jutro idziemy do twojego kampongu - oświadczył. - Zobaczmy, jak to wygląda na miejscu.

Zapłonęła mi twarz. Trzeba było działać, i to działać natychmiast! Ciekawe, co on tam kryje w zanadrzu? Nie wybiera się chyba bez poważnej przyczyny.

- Znalazł się jakiś sposób? - zapytałem pospiesznie.
Doktor uśmiechnął się.

Poczułem się od razu weselej.

- Kto wie? - rzekł tajemniczo. - Mam pewien pomysł, ale trzeba go jeszcze przemyśleć. Zdaje się, że to będzie najlepsze...

Nie należało pytać o więcej, tuan był przecież człowiekiem poważnym. Nie tracił słów na próżno, nie dawał nigdy obietnic nie mających pokrycia. Mój utracony spokój powrócił. Wyspałem się porządnie tej nocy, a rano pogałem dobrotliwie Udiana, bo się trochę ociągał, i w trójkę ruszyliśmy w drogę. O dziesiątej byliśmy w kampongu. Wdowa siedziała na progu tak samo jak wtedy, gdy widziałem ją po raz pierwszy. Była zupełnie załamana. Nie poznała nas w pierwszej chwili.

- Jesteśmy, matko! - zawołałem radośnie. - Przyszliśmy zamordować demona!...

Kobieta zerwała się z miejsca, w jej oczach przemknęły naraz i niedowierzanie, i nadzieja, i strach. Doktor nie zwracał na to uwagi, ale z zaciekawieniem obserwował domostwo. Jego widocznie też uderzyła nędza, która wyglądała tutaj z każdego kąta, czoło bowiem zaczęło mu się pokrywać zmarszczkami. Zaprowadziłem go do kukurydzy. Gdy byłem tu poprzednio, część łądyg trzymała się jeszcze. Teraz wszystkie leżały martwe.

- Wyrwijcie - tuan zwrócił się do mnie i do Udiana. - Znoście ostrożnie na jedno miejsce. Uważajcie, aby nigdzie nie upadł liść...

Wdowa spoglądała przez pewien czas zdziwiona na to, co się tu dzieje, potem jednak też zaczęła pomagać. Widocznie zaufała moim słowom.

- Teraz podpalcie - rozkazał doktor, gdy po godzinie zakończyliśmy naszą robotę. Zrobiłem, co mi kazano. Narzuciłem suchych gałęzi i podpaliłem.

Gdy buchnęły płomienie, kobieta załamała ręce i zaczęła rozpaczać. Rozumiałem ją dobrze. Cały jej trud poszedł na marne. Do chaty zajrzał nieodwołalnie straszliwy gład.

Tuan spoglądał w milczeniu. Dopiero gdy się wszystko skończyło, wydał nowe zlecenie.

- Teraz zasiej na nowo - rzekł, zwracając się tym razem do wdowy. - Jeśli na jakiejś młodej roślinie znowu ukaże się taki biały liść - wyrwij i spal. Pamiętaj: nie wolno nigdzie porzucać, demon bowiem powróci.

- O panie! - boleść wdowy nie miała granic. - Za co ja kupię nasiona? Wszystko, co miałam, sprzedawałam dawno...

- Pójdiesz do tuana Araba - Udian niespodziewanie wtrącił się do rozmowy. - On ci pożyczycy.

Udian niewątpliwie miał dobrą wolę. Tuan Arab rzeczywiście każdemu chętnie przychodził z pomocą. Może jednak nie wiedział, że za jeden pożyczony gulden bierze on później trzy. Tak, moi mili, wtedy właśnie tak było. Tuani Arabowie nie tylko modlili się w meczetach, ale prowadzili również wielkie interesy, i bardzo byli bogaci. Nie dziwiłem się temu specjalnie. Oni podróżowali do Mekki, byli hadzi i uczyli nas świętej wiary Proroka. Niestety, dla mojej wdowy byli za drodzy. Nie mogła przyjąć takiej pomocy, bo przecież na pokrycie procentów nie wystarczyłoby nawet jej domu. Toteż teraz zabrakło jej słów.

Doktor zaś również się nie odzywał. Patrzył w ziemię i w zamyśleniu roztrzącał laską grudy. Wreszcie jego wzrok spoczął na zrozpaczonej kobiecie.

- Weź - rzekł jakoś dziwnie zakłopotany, wyciągając z kieszeni dziesięć guldenów. - Chyba wystarczy?...

Kobieta cofnęła się przerażona. Dla niej, tak samo zresztą jak i dla nas w tych czasach, była to suma olbrzymia. Doktor wcisnął jej w ręce pieniądze.

- Zasiej kukurydzę - przemówił szorstko, jakby chciał nałożyć na to, co się stało przed chwilą, pieczęć milczenia - i zrób tak, jak powiedziałem. Gdyby liście zaczęły blednąć, należy mnie powiadomić.

Wdowa coś tam chciała jeszcze mówić, ale przerwałem jej natychmiast i odsunąłem ją delikatnie. Nie pierwszy raz byłem świadkiem podobnej sceny. Mój doktor nie znośił podziękowań ani głośnego wyrażania wdzięczności.

Ruszyliśmy powoli w dalszą drogę, gdy naraz zewsząd zaczęli otaczać nas inni mieszkańcy kampongu. Nie wiem, jak to się stało, lecz wszyscy już wiedzieli, że do wdowy przyszedł Dutur z Rajskiego Ogrodu. Do tej pory stali z daleka, bo byli to ludzie dyskretni, tak samo jak my. Natomiast obserwowali nas czujnie i czekali cierpliwie dogodnej chwili.

Teraz rozległy się prośby:

- O panie, ratuj nam kukurydzę!
- O panie, obejrzyj mój ryż!
- O panie, spójrz na drzewo muszkatowe, które rośnie przy moim domu!
- O panie, obejrzyj wanilię! O panie!...

Doktor był zaskoczony tym zbiegowiskiem, ja natomiast aż płonałem z radości. To był wprawdzie Europejczyk, lecz nasi ludzie natychmiast się na nim poznali i z miejsca nabrali ufności. Tak, niewątpliwie była w tym i moja skromna zasługa. Macie rację, przyjaciele serdeczni. Pamiętajcie jednak, że mój doktor potrafił walczyć z Demonami Zniszczenia i za pomoc nie wymagał nawet podziękowań.

- Panie - przemówiłem kiwając pogodnie głową - to biedni ludzie. Warto im pomóc...

I pomagaliśmy. Chodziliśmy od domu do domu, od pola do pola. Tam gdzie szło o kukurydzę, nie było żadnych kłopotów. I ryż nie nastęczał szczególnych trudności. Tuan przyrzekł, że przyśle przeze mnie potrzebne trucizny. Natomiast przy wanilii i drzewach owocowych coraz częściej stawaliśmy bezradni. Widać było, że drzewo obumiera, ale najpierw trzeba było znaleźć Demona Zniszczenia. Wchodziłem wtedy w koronę, a doktor starannie oglądał pnie. Nie odchodziliśmy, dopóki nie wynaleźliśmy szkodnika. Niestety, rzadko się zdarzało, aby to był jakiś stary znajomy. Zabieraliśmy go więc z sobą, aby w domu znaleźć przeciw niemu środki zaradcze.

Moja puszka botaniczna wypełniła się szybko, przybyło mi ciężaru, ale nie narzekałem. I doktor stawał się coraz weselszy. Spodobała mu się ta praca. Gdy nazajutrz opuściliśmy kampong i zaczęliśmy się wdzierać na stoki Slametu, wyglądał jak odmłodzony. Przypomniły mi się dawne bogorskie wyprawy. Roześmiałem się. Doktor spojrzał na mnie zdziwiony.

- Panie, brak mi czegoś... - wyjaśniłem udając natychmiast ciężkie zmartwienie.

Doktor pokiwał głową z ubolewaniem.

- Pewnie pajonga? - zapytał.

- Właśnie! - ucieszyłem się z tej domyślności. - Nie ma, niestety, naszego kochanego pajonga... Co tu teraz wyrzucić w krzaki?

Tuan wywinął młynca laseczką, jego krok stał się jakoś dziwnie sprężysty. Mógłbym przysiąc, że miał wtedy ochotę zatańczyć.

Upłynęło kilka miesięcy. Na okres wielkiego święta chrześcijan - na Boże Narodzenie - udaliśmy się do Bogoru. Po powrocie życie potoczyło się znowu normalnie. Doktor pracował gorączkowo, dzieląc swój czas między laboratorium, pracownię domową i liczne wycieczki. Straszny dongkellan zaczynał się zmieniać w jego rękach w łagodnego baranka. Brał w garść również inne demony, które męczyły trzcinę cukrową. Badał tę roślinę bardzo starannie, prowadził liczne uprawy doświadczalne na różnych glebach, nawet na nasyconych solą terenach nadmorskich. Co pewien czas siadał przy biurku i pisał przez całą noc. Powstawały wtedy rozprawy, które dziś jeszcze możecie przejrzeć w naszej bibliotece w Bogorze. Opracowywał teksty przeważnie po holendersku i te były drukowane na miejscu. Wiele z nich jednak wysyłał do Europy, przeważnie do Niemiec, część także do Polski. Te ostatnie były zawsze przedmiotem jego szczególnej troski.

- Nong_nong - powiedział mi kiedyś, gdy jeden z tych właśnie listów miałem zanieść na pocztę - nie dziw się temu. W porównaniu z tym, co tutaj robimy, to są drobiazgi. Wysyłam je jednak, aby tam wiedziano, że Raciborski żyje, pracuje i pamięta o swej ojczyźnie...

Zazwyczaj brał potem do ręki tę samą książkę, którą kazał mi swego czasu przynieść do herbarium, pragnąc sprawdzić moje umiejętności czytania. Siadał w fotelu ze swym ulubionym „Panem Tadeuszem” w ręku i zapominał o całym świecie. Stawał się zamyślony i smutny, bo ta książka przypominała mu jego kraj rodzinny, podzielony wówczas między trzy wrogie mocarstwa.

Zdarzało się niekiedy, że czytał głośno, jak gdyby pragnął mieć koło siebie słuchacza. Siadałem wówczas w pobliżu. Gdy spostrzegł, że mnie to interesuje i że nawet nieraz cicho powtarzam słowa, chociaż nie rozumiem znaczenia, zaczynał tłumaczyć na język malajski. Rzeczywiście, były w tej książce rzeczy cudowne. Niektórych wierszy nauczyłem się wtedy na pamięć.

Zwykle po takim dniu zabieraliśmy Udiana i udawaliśmy się na dłuższą wycieczkę. Kilka razy zaglądaliśmy do wdowy. Na jej pólku wyrosły nowe rośliny, ale ich listki nie zbladły. To samo było w całym kampongu. Zdarzało się gdzieś tam, że lijer próbował owdądzać znowu polami, były to jednak rzadkie wypadki. Wyrywano wtedy zarażone rośliny z korzeniami, palono uroczyście na stosie i to rzeczywiście pomagało.

Zwycięstwo nad potężnym Demonem Zniszczenia rozniosło się lotem ptaka po okolicy. Coraz częściej zjawiali się u mnie nieznani ludzie prosząc, abym razem z tuanem odwiedził ich pola. Doktor nigdy nie odmawiał, nawet wówczas gdy był bardzo zajęty. Tak, moi mili, tak było! Ten człowiek naprawdę różnił się znacznie od innych.

Miałem zresztą na niego pewne zakłęcie.

- To biedni ludzie... - mówiłem przejęty. - Trzeba im pomóc...

Magiczne słowa działały natychmiast i doktor szedł. Wędrowaliśmy tak od wioski do wioski, niszczyliśmy lijer, niekiedy z ryżu usuwaliśmy demony, zabieraliśmy się coraz częściej do tych, które gnębiły sady. Za nami płynęły błogosławieństwa, narastała ludzka życzliwość. Cieszyłem się z tego tak samo jak on.

Któregoś dnia - było to, zdaje się w połowie lutego 1898 roku - tuan znacznie wcześniej wrócił z laboratorium i wszedł od razu do naszej pracowni. Właśnie sprzątałem.

- Przestań - zwrócił się do mnie. - Będiesz mi potrzebny do czegoś innego.

Skinąłem głową na znak, że zrozumiałem, i najspokojniej zabrałem się do ścierania kurzu z biurka i usuwania mrówek, których, jak zwykle, nie brakowało. Ułożyłem porządnie notatki, przesunąłem szmatką po blacie, oczyściłem kałamarz i szturchnąłem przekornie gekka, łobuz

bowiem tak się rozzuchwiał, że wylegiwał się teraz tutaj przez cały dzień, nawet gdy tuan siedział przy biurku. Gekko sapnął i odsunął się niechętnie, poczekał, aż sprzątnę, a potem wrócił na dawne miejsce.

Przestań! - w głosie tuana wyczułem tym razem zniecierpliwienie.

Obejrzałem się nieco zdziwiony. Nie zdarzyło się jeszcze, aby w takiej sprawie zwracał się do mnie dwa razy.

Coś tam manipulował przy flaszkach i słojach. Oczywiście nie zaprzestałem roboty, bo pierwsza rzecz w pracowni to wzorowy porządek. Ponieważ jednak z biurkiem skończyłem, przeszedłem z kolei do mikroskopu i naczyń, które się znajdowały na stole laboratoryjnym. Obserwowałem teraz tuana spod oka. Nie wyglądał dzisiaj normalnie. Przyniósł ze sobą butlę z jakimś płynem i teraz mu się przyglądał. Zastanawiał się nad czymś, jakby się wahał.

- Nie, musimy sprawdzić to jeszcze raz... - rzekł sam do siebie. - O tym tylko można pisać, co się stale powtarza...

Zacząłem uwijać się jak w ukropie, wiedziałem bowiem z góry, co dalej nastąpi.

- Nong_nong - usłyszałem za chwilę rozkaz - palnik!

Momentalnie rzuciłem szmatę i zająłem się nową robotą. Płomień śmignął w górę, obok niego ustawiłem potrzebne naczynia. Doktor przybliżył się do mnie.

- Dobrze - pochwalił takim tonem, jakby nie znał dotąd mej domyślności. - Termometr! Sam przelał płyn z butelki i zaczął podgrzewać.

- Spirytus! - padł nowy rozkaz.

Podąłem, co było potrzebne. Płyn rozgrzał się, a gdy osiągnął temperaturę 60 stopni, tuan przelał go powoli do spirytusu.

- Woda!

Woda zawsze mogła się przydać, toteż miałem ją pod ręką. Doktor znowu przelewał. Rozumiałem doskonale ten proces, wykonywaliśmy go bowiem niejednokrotnie. Teraz rozcieńczał wodą ogrzany płyn i strącał go alkoholem. Zamąciło się tam, jakby ktoś nalał mleka, a potem zaczęło osiadać.

- Dobrze - mruknął zadowolony. - Wszystko przebiega właściwie.

Spoglądałem coraz uważniej. Czułem, że z tej roboty musi wyniknąć coś niezwykłego.

Przefiltrował teraz i zawartość rozlał na płytę.

- Ustaw to w bezpiecznym miejscu - przemówił wreszcie tonem normalnym - aby mrówki nie zjadły. Niech wyschnie. Wiesz, co było w tej butelce? Sok z trzciny cukrowej!

Skinąłem głową ze zrozumieniem. Wiedziałem, że lubi ten gest. W jego oczach rozbłysnął starannie dotąd ukrywany entuzjazm.

- A wiesz czego szukam? - zawołał.

No, tego nie mogłem wiedzieć. Nie byłem przecież doktorem.

- Leptominy! - wyjaśnił natychmiast. - Lep_to_mi_ny, rozumiesz?...

Uśmiechnąłem się serdecznie, gdyż słowo było bardzo ładne, łacińskie i naukowe, a poza tym, jeśli mój tuan czegoś poszukiwał, z pewnością znajdzie. Mogłem się więc cieszyć na zapas. Wiedziałem o tym z góry, bo go przecież znałem na wskroś.

Prawdopodobnie domyślił się jednak z mojej miny, że coś tam nie jest w porządku z tym rozumieniem, gdyż naraz wybuchnął śmiechem.

- Zdaje mi się czasem, że jeśli ja coś wiem, to i inni wiedzieć powinni - powiedział wesoło. - Widzisz - dodał poważniej - ten proszek prowadzi do wielkiego odkrycia...

Zaczął mi wyjaśniać umiejętnie, bo to potrafił. Przyjaciele mili, wierzcie mi, że to były sprawy bardzo zawiłe, ale pojąłem je bez trudności. Umiałem już wtedy sporo i znałem wiele zagadnień, które dla innych są pełne tajemnic. Wytłumaczę wam krótko.

Widzicie, rośliny zachowują się podobnie jak ludzie... Muszą jeść i oddychać. Zmarniejemy tak samo jak one, jeśli powietrze nie dotrze do naszych płuc, aby stamtąd krew mogła następnie rozprowadzić jego cząsteczki po całym ciele. Otóż leptomina jest jak gdyby krwią, która rozprowadza cząstki powietrza po ciele rośliny, ale tylko tam, gdzie nie mogą one dotrzeć za pomocą żadnych innych urządzeń. O tym nikt dotychczas nie wiedział. Mój doktor pierwszy to odkrył, toteż po dziś dzień wspominam o tym z dumą, gdyż było to ważne odkrycie. Bez leptominy roślina umiera.

Gdy tuan zakończył wykład, proszek był suchy.

- No, możemy podać teraz ten fakt do wiadomości publicznej - oświadczył, sprawdzisz raz jeszcze proszek pod mikroskopem.

- Najpierw zasygnalizujemy to zagadnienie. Później, gdy zbadamy to również na innych roślinach...

Urwał w połowie zdania, w drzwiach bowiem ukazał się miejscowy listonosz.

- Dla tuana znajduje się paczka na dworcu - zawiadomił kłaniając się grzecznie. - A tu są listy.

Doktor skoczył ku niemu i zapłonął na twarzy. Pokiwałem głową z uśmiechem. Zawsze tak było, gdy nadchodziła poczta z Europy, a zwłaszcza z jego ojczyzny. Wiedziałem, że odtąd jestem już niepotrzebny, bo natychmiast zapominał o wszystkim. Wymknąłem się więc nieznacznie za listonoszem, aby się udać z Udianem na stację. Oczywiście, znowu gdzieś mi zaginął. Zajrzałem do kuchni, obszedłem krzaki, zbałem komórki. Przepadł jak kamień w wodę.

- Udianie! - zawołałem dość ostro, bo to nieustanne znikanie zaczynało mi już działać na nerwy.

- Udianie!...

Cisza. Rozejrzałem się bezradnie. Nie było czasu na dalsze szukanie, toteż postanowiłem wyruszyć bez niego.

Naraz wydało mi się, że w wozowni poruszyło się coś ciężkiego. Kie lichy? Byłem tam przecież. Wszedłem jednak powtórnie. Nie, nie było nikogo... Stał tylko powóz i kilka skrzyń.

Nagle coś mnie tknęło i wsunąłem się głębiej. Przetarłem oczy. Tak, nie ulegało wątpliwości... Nad jedną ze skrzyń lekko wystawała czarna, zwichrzona czupryna.

- Udianie - ryknąłem, gdyż opętał mnie Demon Złości - wyłaż! Toś ty taki, nicponiu! Zaczynasz się kryć przede mną?

Rzeczywiście, nie omyliły mnie przecucia. To był naprawdę Udian. Wstał i uśmiechnął się do mnie uprzejmie. Tak, przyjaciele - uprzejmie!

- O co się gniewasz? - zapytał robiąc niewinną minę. - Co było do zrobienia, zrobiłem. Nie dałeś mi innej roboty.

Zastrzelił mnie od razu.

Niestety, to była prawda. Zapomniałem o nim, zajmując się doświadczeniami w pracowni. Musiałem mu przyznać rację, gdyż tak jak doktor byłem zawsze sprawiedliwym człowiekiem.

- Ale teraz - powiedziałem po chwili namysłu - wołałem cię. - Musiałeś usłyszeć, a nie przyszedłeś, chociaż czeka na ciebie praca.

Tym razem on się stropił. Temu zarzutowi nie mógł zaprzeczyć.

- To też prawda - przyznał ze skruchą, gdyż również był sprawiedliwym człowiekiem. - Ale już idę...

Wysunął się zza pak, a zaraz za nim wyłoniła się nowa postać. Patrzyłem zdumiony. Co tu robi ten człowiek? Znałem go dobrze.

To był miejscowy telegrafista!...

Ruszyłem ku nim energicznie. Byłem wzburzony. Do czego to podobne, abym ja nie wiedział, kto przebywa w moim domu?

Zajrzałem w ką. Leżały tam druty, mufy i najrozmaitsze przyrządy, których używają telegrafisci przy swojej pracy. Popatrzyłem na nich surowo.

- Uczę się... - wybąkał Udian stropiony.

- Uczę go... - dodał tym samym tonem niezwykle gość.

Złagodniałem, do ludzi bowiem, którzy szukają wiedzy, nikt nie powinien mieć urazy, nawet jeśli niekiedy popełnią głupstwo. Przykro mi jednak było, że Udian zachował tajemnicę przede mną. Cóż to, nie znał mnie?

Wyrzuciłem mu kiedy przykrość?

- Sądziłem, że nie pozwolisz - próbował się usprawiedliwić, gdy mu wygarnąłem od serca. - Pracę wykonuję porządnie, ale staram się wykorzystać również i wolny czas. A na to może byś się nie zgodził...

Głupstwa gadał, toteż zbyłem te uwagi milczeniem i kazałem mu się zbierać natychmiast do drogi.

- Widzisz... - Udian znowu zaczął się tłumaczyć, gdy już szliśmy na dworzec. - Bałem się najbardziej tuana. On mógłby nie pozwolić na to, a tu jest bardzo wygodnie...

O tym rzeczywiście nie pomyślałem. Chłopak mógł się tego obawiać, bo przecież nie znał tuana tak dobrze jak ja. Ale dlaczego mi o tym wszystkim nie wspomniał? Do mnie nie miał zaufania? Tego mu nie mogłem wybaczyć.

- Widzisz - kończył powoli swą myśl - są różni ludzie... A mnie bardzo zależy na tej nauce. Teraz chyba już nie pozwolisz... Uśmiechnąłem się w duchu. Ten chłopak rozbijał mnie swą naiwnością. My, ludzie z Bogoru, uczyliśmy się przecież nie takich rzeczy. No, ale skąd on mógł o tym wiedzieć? To tłumaczyło nawet jego nieufność.

- Uczę się dalej - mruknąłem udając, że jestem jeszcze na niego zły. - Pracujesz dobrze. Tuan też się nie będzie gniewał.

Udian tak był zachwycony tą odpowiedzią, że nawet nie chciał słyszeć, abym ja dźwigał paczkę choćby przez chwilę. Przywiązał ją do nosideł, po drugiej stronie bambusa przyczepił dla równowagi kamień i już w najlepszej zgodzie powróciliśmy do domu. Gdy rozsypałem sznury i doktor zajrzał do wnętrza, aż klasnął z wielkiej uciechy.

- No, tym razem Albinowski dobrze się spisał - rzekł rozsiadając się wygodnie w swym ulubionym fotelu w pracowni. - Zwymyślałem go ostatnio, toteż teraz przysłał nie tylko książki, ale i czasopisma. Nawet z Warszawy!

Albinowski to był lekarz, wielki przyjaciel tuana, mieszkający stale w Krakowie. Często pisywali do siebie listy.

Zajął się czytaniem, ja natomiast zwilżyłem nasze hodowle, gdyż zbliżała się godzina wieczorna. Potem podszedłem do szafy, w której znajdowały się lalki naszego wajang_kulitu. Były bardzo ładne. Doktor gromadził je stale i przywoził nowe z każdej prawie wycieczki. Zbierał je tak samo jak nasze krysy, pragnąc zawieść ich jak najwięcej do swej ojczyzny. Wybrałem kilka, przysiadłem w kącie i zacząłem ustawiać z nich teatr.

- A to dopiero! - rozległ się niespodziewanie głos mojego tuana. - Ależ go urządzili!

Przerwałem na chwilę swoje zajęcia i popatrzyłem na niego uważnie. No, nie stało się nic złego... Był rozbawiony, widocznie wyczytał coś wesołego. Spokojnie powróciłem do swoich aktorów. Bawiłem się nimi często, toteż nabrałem wprawy. Poruszyli się zrećznie, drgnęły głowy i ręce, układała się baśń.

Mrok zapadł, zapaliłem światło. Gekko zeskoczył z biurka i jak błyskawica skoczył na ścianę. Powoli, jedna za drugą, wysuwały się z nory żaby.

Rozejrzały się z powagą, a potem potoczyły się tam, gdzie było najjaśniej.

Moi aktorzy również nabrali werwy. Zaczęła się układać cała historia. Nie miałem wtedy słuchaczy, więc opowiadałem sam sobie.

- O la, la!... - głośny okrzyk przeszkodził mi znowu.

Z niepokojem podniosłem głowę. Tym razem w głosie tuana nie wyczuwało się wcale radości. Niestety, tak zawsze kończyło się to wielkie czytanie. Obecnie nie odrywałem od niego oczu. Na twarz spływała szybko mgła zamyślenia i smutku. Aż wreszcie pojawił się gniew.

- Nong_nong - wybuchnął nagle, rzucając wszystko, co trzymał w ręku, o ziemię - „Pana Tadeusza”!...

Podniosłem się ociężale. Wiedziałem, że jutro ten zły nastrój przeminie, ale mimo to czułem się bardzo niedobrze. Od pewnego czasu orientowałem się, że do naszego domu zbliża się jakiś wróg. Nie, to nie Demon Złości, z tym potrafiłem sobie radzić świetnie, bo znałem go dobrze. Ten był znacznie groźniejszy. Nie ujawniał się, jak tamten, w gwałtownych wybuchach. Gryzł podstępnie, zachodził z boków, wkładał się między słowa przyjaciół, często przybierał nawet maskę słodczy...

Nie widziałem go nigdy i to było najgorsze. Że istniał i działał - nie mogło być wątpliwości. Pojawił się niedawno w naszym domu, przy takiej samej okazji jak dziś, gdy nadeszły listy z Krakowa. Działał wolno, przemyślnie, kroplami sączył swój jad, lecz dążył do celu nieubłagane. Krok za krokiem wyczerpywał siły tuana i pogłębiał systematycznie straszne dzieło rozkładu...

O przyjaciele! Podałem książkę, ale serce zaciążyło mi wtedy ołowiem. Byłem przekonany, że dla mnie wybiła godzina. Lada chwila trzeba będzie rozpocząć nową walkę z siłą, o której wiedziałem bardzo niewiele.

A pamiętajcie, moi mili, że z tym wrogiem stykałem się po raz pierwszy. Nawet o jego nazwie dowiedziałem się później. Chcecie go zobaczyć? Nie, jeszcze nie nadszedł czas!... Co, koniecznie? Nie ustąpicie? No, cóż... O bracia, w takim razie zakryjcie twarze! Pokażę go wam od razu w jego właściwej postaci. A oto on!

Krzyczycie z trwogi? Tak, tak, rzeczywiście jest straszny... A jednak ja, Nong_nong, musiałem z nim stoczyć walkę.

Uderzam w gong, szczerzej zakryjcie twarze! Niech się stanie, zdradzę wam jego nazwę. To jest, o bracia - ohydny Demon Goryczy!...

Tuan Borski uczył mnie zawsze, że jeśli wroga chce się pokonać, najpierw należy go poznać. Tak właśnie postępowaliśmy, atakując Demony Zniszczenia. Początkowo obserwowaliśmy skutki ich potwornego działania, później szukaliśmy przyczyny, a gdy wreszcie odkryliśmy szkodnika, przenosiliśmy go do pracowni i tu poddawaliśmy szczegółowym badaniom, szukając środków zaradczych.

Postanowiłem zastosować teraz tę samą metodę. Objawy już znałem, znałem i skutki. Zauważyłem, że ten demon działa najintensywniej wtedy, gdy przychodzą przesyłki zza morza.

W pierwszej chwili tuan cieszył się, potem markotnieje coraz bardziej, aż wreszcie popada w zdenerwowanie i zapamiętuje się całkowicie w robocie. Powstawały wówczas liczne rozprawy, niekiedy całe noce spędzaliśmy na doświadczeniach, jak niegdyś w Bogorze. Uspokajały go wówczas tylko dwie rzeczy: „Pan Tadeusz” i odległe wycieczki. Gdy znalazłem się z dala od domu, gdy wprowadziłem go między kampongi i zaczynał spełniać swoją rolę dutura, uspokajał się szybko. Pozostawał jedynie smutek. Był małomówny, na jego twarzy rzadko pojawiał się uśmiech.

Takie były objawy, ale gdzie się znajdowała przyczyna? Demonów Zniszczenia szukaliśmy na pniach, na gałęziach i liściach, a nawet pod ziemią, w korzeniach drzew. Miały one barwę i kształt. Gdzie jednak szukać Demona Goryczy?... Jak on wygląda? A może w ogóle jest nieuchwytny dla oka? A może przybiera tysiące najrozmaitszych postaci, zależnie od położenia i sytuacji?...

Były to bardzo zasadnicze pytania, na które ciągle brakowało mi odpowiedzi. Jak więc widzicie, miałem przed sobą bardzo trudne zadanie. Na szczęście posiadałem już wspaniałe Elmu Wytrwania, pracowałem więc teraz systematycznie. Zaraz następnego dnia po tym ostatnim wybuchu obejrzałem starannie czasopismo, które tuan rzucił na ziemię. Było drukowane w jego rodzinnym języku. Niewiele z niego rozumiałem, ale też nie mogę powiedzieć, że stanowił on dla mnie język tajemny. Sporo przecież wpisałem do naszego notesu, a i te wiersze z „Pana Tadeusza”, które mi tuan tłumaczył, też wiele pomogły. Zresztą ułatwiały mi poszukiwania liczne ilustracje zamieszczone w tym piśmie. Tuż za okładką ujrzałem portret człowieka w mundurze ozdobionym bogato lampasami i orderami.

Niestety, widniejący pod nim podpis „car”, wraz z kilkoma innymi słowami, nic mi wówczas nie mówił. Przerzuciłem kilka kartek, aż doszedłem do jednej, prawie na pół przedartej. Widocznie to tutaj ogarnęła doktora złość. Po lewej stronie znajdowała się fotografia jakichś panów i pań. Wszyscy byli weseli i uśmiechnięci. Wyglądało na to, że wybierają się na wycieczkę. Nie, to nie mogło mieć żadnego znaczenia...

Przeniosłem wzrok na sąsiednią stronicę i serce uderzyło mi silniej. Postaci, które tu zobaczyłem, prezentowały się groźnie. Nie ulegało wątpliwości - to byli żołnierze. Maszerowali równo, na czele szedł jakiś oficer. Minę miał surową, odpychającą. Co innego jednak sprawiło na mnie wstrząsające wrażenie. Wszyscy mieli na głowach hełmy, ale jakies dziwne, cudaczne. Na każdym z nich, na samym czubku, widniała spiczasto zakończona iglica.

Ponieważ i tym razem podpis powiedział mi niewiele, postanowiłem odłożyć tę sprawę do dalszego zbadania. Czuję już jednak, że wpadłem na ślad. Przez pewien czas zachowywałem w tej sprawie milczenie i dopiero gdy któregoś dnia doktor powrócił z wycieczki bardziej

zadowolony niż zwykle, postanowiłem poddać go próbie. Udałem, że porządkuję szafy, a potem wziąłem podejrzone czasopismo do ręki i podszedłem do niego.

- Co to za człowiek? - zapytałem niedbale, robiąc niewinną minę.

Pokazałem mu ilustrację, pod którą widniał podpis, zaczynający się od słowa „car”. Byłem przekonany, że nie weźmie mi za złe tego pytania, zdarzało się to bowiem niejednokrotnie. Jednakże tym razem zachował się zupełnie inaczej. Twarz pokryła się chmurą, w oczach rozbłysnął gniew.

- To car rosyjski - mruknął głosem zgaszonym. - Car - wyjaśnił zaraz, domyśliwszy się, że to słowo nic mi nie mówi - to to samo, co król. Zabrał siłą połowę mojej ojczyzny...

Ach, to tak... Ucieszyłem się w duchu, bo to wyjaśnienie świadczyło, że szedłem po dobrej drodze. Odsunąłem się nieco, udając, że przeglądam następne kartki. Doktor siedział przy biurku i spoglądał w zamyśleniu na drzemiącego gekka.

- A to co? - spytałem znowu, pokazując dziwnych żołnierzy.

Zląkłem się, czy przypadkiem nie użyłem nazbyt mocnego środka. Twarz tuana poczerwieniała z gniewu.

- To inni nieprzyjaciele mojego narodu - odpowiedział po chwili, starając się nad sobą panować - Niemcy. Obecnie wysyłają swe wojska do Chin. Tam teraz chcą zaprowadzać pięścią swój własny, niemiecki porządek!

Westchnąłem lekko, gdyż naraz żal mi się zrobiło biednych Chińczyków. Ci żołnierze dziwnie przypominali nasze najgroźniejsze demony.

Doktor pochylił się i sięgnął nerwowo do swych notatek. Był bardzo wzburzony. Odsunąłem się nieznacznie i pokiwałem głową ze smutkiem. Że czał się w nim bunt, wiedziałem od dawna. Że tęsknił za swoją ojczyzną, też rozumiałem. Teraz zauważyłem, że cierpiał. Nic dziwnego... Opowiadał mi kiedyś, że Rosjanie i Niemcy zachowują się w jego podzielonym między siebie kraju bardzo okrutnie.

Podszedłem na palcach do szafy i położyłem pismo na dawnym miejscu. Tuan pisał już gorączkowo, jakby chciał odegnać od siebie złe myśli.

Widząc, że przez dłuższy czas nie będę potrzebny, ustawiłem w kącie wajang_kulit i zacząłem przygotowywać aktorów.

Postanowiłem na dziś zakończyć badanie. Nie dotarłem wprawdzie jeszcze do sedna, lecz natrafiłem na pewny ślad. Byłem zadowolony z wyników.

Umieściłem na froncie kilka postaci czołowych i właśnie wtedy przyszło mi do głowy coś niezwykłego. Spojrzałem na tuana, pragnąc zadać mu jeszcze jedno pytanie. Pisał szybko, plecy mu drgały nerwowo.

Rozmyśliłem się i znowu zająłem się aktorami. Nie, przyjaciele, w badaniach nie należy przebierać miary. Człowiek jest istotą bardzo wrażliwą. Może załamać się, jeśli przygniecie go ciężar nad siły. Zupełnie tak samo jak grzyby... Znałem to z doświadczenia. Ileż to razy, gdy zastosowaliśmy za dużą dawkę, marniało wszystko, uniemożliwiając dalszą robotę!

Pochyliłem się nad wajangiem, cienie zaczynały ożywać. Myśli układały mi się coraz ciekawiej. Człowiek, bowiem, o moi mili, który darzy drugiego przyjaźnią, przeżywa razem z nim wszystkie jego nieszczęścia i nie oderwie się od nich, dopóki z nimi nie skończy. Tak było i ze mną. Mój umysł pracował intensywnie i w każdej chwili i sytuacji poszukiwał nieuchwytnego wroga. Wajang mi podpowiadał i podsuwał coraz ciekawsze projekty. Aktor szedł za aktorem, płynęła coraz potoczysiej nowa, zachwycająca opowieść.

Doktor zaś pisał ciągle. Tej nocy wcale nie położył się spać.

XVI

W miesiąc później tuan wyjechał do Bogoru, profesor Treub bowiem chciał z nim omówić jakieś poważne sprawy. Gdy wrócił, wyglądał jak odrodzony.

Nasłuchał się tam wiele pochwał, a poza tym przywiózł ciekawe nowiny. Dyrektor przeprowadził się do nowego budynku nad stawem i uporządkował piękną bibliotekę zakładu.

- Byłem również w Garut - dodał doktor na zakończenie. - Wiesz, w tym miasteczku w górach, skąd prowadzi droga do Białego Jeziora...

Uśmiechnąłem się, gdyż przypomniła mi się historia z pajongiem, który tam po raz pierwszy rzuciłem w krzaki. Tutaj, w Kagoku, nie było z nim wcale kłopotów. Tuan po prostu go nie uznawał.

- A Albinowski niczego nie przysłał? - zapytał żywo.

Zmarkotniałem od razu. Rzeczywiście ten doktor z Krakowa nadesłał paczkę książek, a to stanowiło przykrą zapowiedź. Najpierw radość, potem smutek, a następnie... No, ale co można było na to poradzić? Niszczyć przesyłki Albinowskiego? To by tylko przyniosło szkodę. Tu były potrzebne mądrzejsze sposoby...

Podszedłem niechętnie do szafy. Gdy doktor przejrzał paczkę, był zachwycony.

- Kochany Fredek! - wykrzyknął. - To przyjaciel, o wszystkim pamięta! Patrz, co mi przysłał...

Wyjmował książkę za książką i odczytywał tytuły:

- „Lilla Weneda”, „Balladyna”, „Anhelli”, „Lambro”! Jest i „Kordian”, jest także „Beniowski”!

W jego głosie rozbrzmiał entuzjazm, lecz wyczułem w nim również głębokie wzruszenie.

- A wiesz, kto to wszystko napisał? - zapytał siadając w fotelu.

Wzruszyłem ramionami w zdenerwowaniu. Skąd mogłem wiedzieć? Coraz mniej podobało mi się to wszystko. Za dużo tu było radości.

- Słowacki. Juliusz Słowacki! - wyjaśnił zaraz, unosząc się coraz bardziej. - Poeta, który dopiero obecnie, w kilkadziesiąt lat po śmierci, został uznany za wielkość!

Zajrzał znowu do książek, ja zaś schyliłem głowę. Te słowa rzuciły inne światło na całą sprawę. Któż, bowiem bardziej ceni poetów niż my? Mickiewicza, który napisał „Pana Tadeusza”, już znałem. Jeśli więc ten Słowacki był wielkością, to musiał mu dorównywać talentem, a więc i jego trzeba szanować.

Słuchałem teraz z wielkim zainteresowaniem, gdyż tuan swoim zwyczajem zaczął głośno odczytywać różne fragmenty, a potem tłumaczyć je na malajski. Były to rzeczywiście piękne utwory, ale ogromnie smutne. Mówiły o niewoli i walce narodu polskiego z najeźdźcą. O

bracia, my nie znamy takich tragedii! Były czasy, że i nas bardzo gnębiono. Nigdy jednak nie było tak straszliwego znęcania się, wysyłania ludzi, którzy domagali się wolności, w zimne, podbiegunowe krainy, nie było tak olbrzymiego przelewu krwi. Polska - to istotnie był kraj bardzo nieszczęśliwy i właśnie o tym opowiadał poeta. Coraz lepiej zaczynałem rozumieć doktora. Wiedziałem już, dlaczego tak go zdenerwowały te ilustracje. Domyślałem się nawet, dlaczego Demon Goryczy opanowywał go z taką łatwością...

Ponieważ tuan nie odrywał się od czytania, przysunąłem mu cygara, obok ustawiłem kilka butelek piwa, a potem wyszedłem, aby zająć się innymi sprawami.

Przede wszystkim należało wyszukać Udiana, gdyż trzeba było przygotowywać powoli kolację. Zajrzałem w różne zakamarki, lecz nie było go nigdzie. Wreszcie udałem się do wozowni. Zdumiałem się, gdy zajrzałem w kącie, gdzie pobierał swoją naukę. Nie tylko jego tutaj nie było; zniknęły także wszystkie narzędzia! Trochę zaniepokojony i trochę zły, zabrałem się jednak do roboty, wykonując ją i za niego, i za siebie. Potem tak mnie pochłonęły rozmyślenia o Demonie Goryczy, że zapomniałem o tej sprawie. Toteż niewiele brakowało, a byłbym się uśmiechnął przyjaźnie, gdy po zapadnięciu zmroku Udian ukazał się niespodziewanie przede mną. Na szczęście jego zawstydzona twarz od razu przypomniała mi popełnioną niegrzeczność, zdołałem, więc zachować konieczną w takich sytuacjach powagę.

- Bardzo mi przykro - wybąkał spoglądając na mnie niepewnie. - Musiałeś mieć dużo pracy...

Milczałem wyniośle. Że zniknął, to było normalne. Nie zdarzyło się jednak nigdy, aby wyszedł poza dom bez zezwolenia. Widziałem, że chłopak jest szczerze zmartwiony, toteż i mnie zrobiło się przykro, ale przecież nie mogłem mu przebaczyć tak za jednym zamachem.

- Jutro będę pracował także za ciebie... - przemówił po chwili. - Z pewnością się przemęczyłeś...

Nie odezwałem się jeszcze, ale już spojrzałem na niego życzliwiej.

- Pojutrze też - dodał pogodnie od razu, bo szelma był spostrzegawczy. - To ci się słusznie należy. Nieraz ułatwiałeś mi życie...

Zawsze mi się podobał ten chłopak! No, prawda, robiło się dla niego, co można... Musiałem przyznać raz jeszcze, że to był człowiek sprawiedliwy. Nie wytrzymałem i uśmiechnąłem się lekko.

- Ale za dwa dni - zdawało mi się, że zmieszają się w tym momencie - przestanę ci pomagać. Niestety, dłużej nie mogę.

Stałem się czujny, skóra mi ścierpła na twarzy. Co tam temu nicponiowi wpadło nagle do głowy? Co on wygaduje? Czego nie może? Wykonać pracy, która nie wymaga prawie żadnego wysiłku?... Udian, widząc moje wzburzenie, wyprostował się sztywno. Byłem zaskoczony powagą, która zarysowała się na jego obliczu.

- Po dwóch dniach - przemówił tak uroczyście jak nigdy - odchodzę z Kagoku. Idę do pracy przy budowie nowej kolei. Tam - zakończył żywo - będę zakładał linie telegraficzne!

W pierwszej chwili nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać, ale zwyciężyła rozwaga. Jakież ja mogę mieć do niego pretensje? Ostatecznie koleje i telegrafy były nam bardzo potrzebne, toteż każdy, kto to potrafi, powinien budować. Udian na pewno nadawał się do tej roboty.

- Hm... - mruknąłem jeszcze nieco zafrasowany. - Będzie ci tam lepiej?

- Oczywiście. Nie idzie mi zresztą o płacę, lecz o naukę. Najpierw będę zarzucał druty, potem nauczę się kierować pracą. Któż będzie to robił, gdy nasi starsi bracia, Holendrzy, odejdą stąd któregoś dnia?

Zaskoczyło mnie to pytanie, gdyż przyznam się szczerze, o moi mili, do tej pory nie myślałem nigdy, że na naszych wyspach może być kiedyś inaczej. Przyjrzałem mu się uważnie. Po raz pierwszy zobaczyłem na jego twarzy coś, co dotąd uchodziło mojej uwagi. W bystro patrzących oczach i w kącikach ust czaił się spokojny wprawdzie, ale zdecydowany, wyraźny bunt! Ten człowiek wiedział, do czego dąży.

- Hm... - mruknąłem, przekonany już ostatecznie - to mądre postanowienie. Idź, więc i ucz się pilnie, aby było z tego najwięcej pożytku.

Udian stał się pogodny jak zwykle. Bez zakłopotania opowiedział mi o swoich dalszych projektach i przyrzekł, że odwiedzi mnie albo w Kagoku, albo w Bogorze.

- Powiadom o tym doktora - poprosił w końcu. - Przykro mi rozstawać się z nim. Rozumiesz jednak...

Potwierdziłem skinieniem, bo rzeczywiście go rozumiałem. Postanowiłem, więc od razu załatwić tę sprawę. Godzina była wprawdzie późna, lecz byłem pewien, że doktor ślęczy tam ciągle nad swoimi książkami. Nie omyliłem się. Gdy wsunąłem się cicho, siedział w fotelu przy lampie, odwrócony bokiem do drzwi. Nie dostrzegł mnie. Coś mnie uderzyło w jego nieruchomej postawie.

Był pochylony, ręka, w której trzymał książkę, opadła bezwładnie. Przysunąłem się bliżej i przystanąłem w milczeniu. Odwrócił leniwie głowę.

- A, to ty, Nong_nong... - odezwał się głosem matowym, jakby dochodzącym spod ziemi. - To dobrze. Pozostań...

Poczułem się jak rażony piorunem. Ogarnęła mnie groza, w piersiach zabrakło tchu. Nie mogłem oderwać oczu od twarzy, którą teraz ujrzałem. Serce zaczęło mi uderzać gwałtownie. O bracia! Ten człowiek, który wykonywał trzyletnie plany w pół roku, który traktował Demony Zniszczenia jak kukły, który przez trzy dni i noce wytrwał ze mną w Bogorze przy pracy, ten człowiek musiał przed chwilą płakać!...

Tak, przyjaciele, on płakał na pewno! Te zaczerwienione, przeraźliwie smutne oczy mówiły o tym wyraźnie. Wyprostowałem się nagle. Moje przerażenie prysło, poczułem w sobie naraz ogromne siły. Wiedziałem, o co tu idzie.

- Może tuan przeczyta teraz tę książkę - wyjąłem z szafy „Pana Tadeusza” i wsunąłem mu go do ręki. - Tamte są bardzo smutne.

Podniósł głowę powoli, jakby nie rozumiał tych słów. Postanowiłem działać stanowczo.

- Proszę mi przeczytać o bitwie - poprosiłem tonem, który nie znosi oporu.

Wiedziałem, że bardzo lubi tę scenę, toteż z pewnością mi nie odmówi. Trzeba go było za wszelką cenę oderwać od tego, co sprawiało mu ból. Rzeczywiście zaczął się rozpagadzać. W oczach pojawił się blask.

- Dobrze, że przyszedłeś, Nong_nong - przemówił tak jakoś ciepło, że mnie coś chwyciło za gardło. - Jak ty mnie doskonale rozumiesz!...

Też znalazł temat! Któż go mógł znać lepiej niż ja? O tym nie potrzebowaliśmy rozmawiać. Chciałem go znowu zachęcić do czytania, bo czułem, że czas nagli, lecz nie zdążyłem.

- Wiesz, Nong_nong - rzekł w zamyśleniu. - Jawa jest piękną wyspą, ale to nie moja ojczyzna. Tam zaś, w kraju, dla nas Polaków, za ciasno. To strasznie przykre. Trzeba się tułać po świecie, wysługiwać się obcym...

Ach, tu go bolało!... Więc to tędy próbował się przedostać Demon Goryczy! No, w takim razie znajdziemy już na tego drania odtrutkę. Oby teraz go nie dopuścić!

- Jak to się zaczyna? - wpadłem mu szybko w słowa, bo Demon mógł się lada chwila pojawić. - „A chrapali tak twardym snem, że ich nie budzi...”

Wyrecytowałem po polsku i urwałem celowo w połowie, jeśli bowiem walczy się z Demonem Goryczy, należy go zaskakiwać chytrą. Rzeczywiście mi się udało. Tuan był w mojej mocy!

- „Blask latarek i wnieście kilkudziesiąt ludzi” - dokończył za mnie z werwą, przerzucając z pośpiechem kartki. - Czytać po polsku czy tłumaczyć na język malajski? - zapytał podnosząc głowę.

- Po polsku - zgodziłem się natychmiast, ponieważ każda przerwa w czytaniu mogła mi zepsuć robotę.

Podszedłem do szafy. Wyjąłem wajang, ustawiłem go zrećnie, a potem przysiadłem spokojnie. Doktor już czytał, z rzadka zresztą zaglądając do książki. Ja poruszyłem swoich aktorów. Początkowo drżały mi trochę ręce, gdyż to, czego byłem niedawno świadkiem, wytrąciło mnie z równowagi. Demon Goryczy pokazał przecież znowu odmienne oblicze, potrafił sięgnąć do najtkliwszych uczuć, wyciskać łzy...

Cienie poruszały się szybciej, zdenerwowanie opadło. W takt słów tuana płynęła powoli czarodziejska opowieść. Czułem, że Demon Goryczy stawał się dla mnie przeciwnikiem niegroźnym. Nie znałem go jeszcze, ale już wiedziałem, jak należy z nim walczyć. Nie mogłem go ujrzeć, trzeba więc było niszczyć skutki jego brudnej roboty.

Tak właśnie postępowaliśmy często w zaciętych bojach, jakie staczaliśmy z Demonami Zniszczenia. I teraz postanowiłem zastosować tę samą metodę.

XVII

W kilka dni później namówiłem doktora, aby pojechał ze mną do Semarangu. Było to dość ryzykowne, gdyż Udian odszedł, a nowo przyjęty człowiek nie orientował się jeszcze zbyt dobrze w naszym domu i gospodarstwie. Nie mogłem jednak odkładać podróży. Potrzebowałem kilku nowych figur do swojego wajangu, a co najgorsze, doktor ciągle był przygnębiony. Te książki Albinowskiego zrobiły swoje. Demon Goryczy wyzyskał je skrzętnie i dalej sącył swój jad.

Tuan dał się łatwo namówić, gdyż lubił podróżować, a przy tym chętnie skupował aktorów. Chciał zresztą zobaczyć Semarang, bo go dotychczas nie widział. Było to już wtedy duże miasto, a jego port miał dla Jawy środkowej olbrzymie znaczenie. Stąd przecież wywożono za morza kawę, kauczuk, herbatę, cukier, ryż, drzewo i tysiące innych artykułów, których nam nasza urodzajna wyspa nie szczędzi. Jest to zresztą ładne miasto, położone malowniczo na wzgórzach, nad którymi panuje olbrzymi wulkan Merbabu, znacznie wyższy od naszego Salaku. Warto je na pewno obejrzeć.

Gdyśmy się tam znaleźli, pospacerowaliśmy po ożywionych ulicach, zwiedziliśmy liczne świątynie muzułmańskie, chrześcijańskie i chińskie, a potem udaliśmy się do dzielnicy

handlowej. Figur do wajangu było tam sporo, lecz sprytnie udawałem zmartwionego, twierdząc, że nie nadają się one do naszego kompletu.

- Po co więc namówiłeś mnie do tej podróży? - zdziwił się w końcu doktor. - Sam widzisz, że nie ma tu nic ciekawego.

Uśmiełem się w duchu. Przewyższyłem Demona Goryczy chytryością, to pewne, lecz nic nie okazałem po sobie.

- Prawda - potwierdziłem podstępnie. - Warto by jednak obejrzeć sąsiednie osiedla. Ładne lalki łatwiej znaleźć w mniejszych miejscowościach aniżeli w mieście portowym.

Tuan przyjął tę propozycję nadspodziewanie spokojnie. - Masz dobre pomysły - pochwalił nawet. - Ale co się stanie w czasie naszej nieobecności w Kagoku?

I tę sprawę przemyślałem wcześniej. Miałem gotową odpowiedź.

- Trzcina będzie rosła bez nas - odparłem pogodnie. - Natomiast tych kilka hodowli grzybów nie wymaga większego zachodu. Nic się nie stanie.

To była prawda. Mieliśmy akurat taki okres, w którym nie działo się nic poważnego. Człowiek zresztą, którego pozostawiliśmy, pracował bardzo dokładnie. A gdyby nawet coś tam zmarniało, warto było poświęcić, abym tylko mógł osiągnąć swój cel.

- W tej okolicy znajduje się wiele świątyń z czasów, gdy na wyspie przebywali nasi bracia Hindusi - posłużyłem się nowym atutem, widząc, że jeszcze się waha. - Można by zresztą obejrzeć przy okazji plantacje trzciny cukrowej. Pewnie i tutaj grasuje straszny dongkellan. To był dobry argument.

Przekonałem go ostatecznie.

- Masz rację - zgodził się bez dalszych zastrzeżeń. - Rzeczywiście otrzymywałem stąd ostatnio alarmujące meldunki.

Nadaliśmy więc zaraz depeszę do Kagoku, że wrócimy najwcześniej za tydzień, a następnego dnia rozpoczęliśmy wędrówkę. To naprawdę były bardzo interesujące tereny.

Tutaj, koło Semarangu mogliśmy odczytywać najpiękniejsze karty naszej starej kultury. Między Diaparą i Kudus oglądaliśmy ruiny świątyń, które stawiali jeszcze Hindusi, tworząc potężne państwo Mataram. W samym Kudusie podziwialiśmy przepiękny meczet, wzniesiony w tym czasie, gdy tuani Arabowie przybyli na naszą wyspę i ogłosili tu wiarę Allacha i Mahometa, jego proroka. Widzieliśmy także masywne porty Portugalczyków i Holendrów z czasów znacznie późniejszych. Wszystko tu się zmieniało w ciągu wieków z wyjątkiem ludności. Tak samo jak niegdyś zamieszkiwała ona swoje kampongi, hodując drzewa owocowe i ryż.

Odwiedzaliśmy również plantacje, ale na nie zwracałem mniejszą uwagę. Za to pilnie obserwowałem pólka krajowców. Zatrzymywaliśmy się często, lijer bowiem i tutaj był powszechnym zjawiskiem. Działałem wówczas energicznie, ludzie zbiegali się szybko, rozchodziła się szeroko sława Dutura z Rajskiego Ogrodu. Razem z tuanem mieliśmy roboty po uszy. I wyobraźcie sobie, o moi mili, ten człowiek nie tylko się nie buntował, lecz zaczynał znajdować w niej rozkosz. Wkrótce zmieniły się role i on stał się tym, który poganiał. Starał się jak najpożyteczniej wykorzystać każdą godzinę.

- Czujesz jeszcze nogi? - zapytał z humorem, gdy już znajdowaliśmy się na statku w drodze powrotnej. - Widzisz, nie warto mnie namawiać na tak dalekie wycieczki...

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi, bo co mu miałem wyjaśniać? Nie orientował się, że jego energia sprawiła mi tylko przyjemność, chociaż ostatnie dni rzeczywiście były bardzo męczące. Nie narzekałem jednak, miałem, bowiem potężne Elmu Wytrwania, a poza tym, co mnie najbardziej cieszyło, osiągnąłem swój cel. Doktor wyglądał zupełnie inaczej aniżeli wówczas, gdy odjeżdżaliśmy z Kagoku. Przygnębienie znikło, opanowała go radość życia. To było

najlepsze. Demon Goryczy, jak każdy demon, wtedy atakuje najgwałtowniej, gdy jego ofiara słabnie; trudniej mu działać, gdy człowiek jest w pełni sił.

Toteż w tej wycieczce postanowiłem tuana zahartować i udało się świetnie. Reszta była nieważna. Teraz, gdy zaszła potrzeba, mogłem przystąpić do decydującej rozgrywki.

W domu, jak przewidziałem, wszystko było w porządku. Nowy pracownik wywiązał się z zadania bez najmniejszego zarzutu, więc nawet nasze hodowle nie ucierpiały. Sprawdziłem natychmiast wszystko. Byłem bardzo zadowolony z przeglądu, gdy spostrzegłem nagle w szafie paczkę, która widocznie nadeszła w czasie naszej nieobecności. Nasrożyłem się w pierwszej chwili, bo mogła ona zapowiadać pojawienie się Demona Goryczy. Kiedy ją jednak obejrzałem dokładnie, odetchnąłem z ulgą. Nadawcą była drukarnia Brilla w Holandii. Była to bardzo solidna firma, znałem ją jeszcze z Bogoru. Z pewnością żaden demon nie mógł jej wykorzystać.

- No, nareszcie! - wykrzyknął doktor, gdy ją tylko zobaczył. - Nong_nong, scyzoryk!

Było w jego głosie tyle radości, że we mnie serce uderzyło jak dzwon. Domyśliłem się od razu, co zawiera ta paczka. Ciąłem pospiesznie, golok się ześliznął, rozerwał papier, ale tuan nawet nie mrugnął. Był z pewnością tak samo przejęty jak ja. Ukazały się książki! Nie omyliły mnie przecucia. Tak, to były nasze paprotniki, opracowane w ciągu pięciu miesięcy w Bogorze!...

Doktor wziął do ręki jeden egzemplarz i usiadł w fotelu. Ja wziąłem drugi. On szybko przrzucał kartki, ja przeglądałem je po kolei, czytając wszystko dokładnie.

Księga była gruba, prezentowała się okazale, jak wypadało na taką robotę, której patronował Ardżuna. Tytuł zrozumiałem bez trudu. Gorzej przyszło ze wstępem, napisanym po francusku przez Treuba. Pomęczyłem się nad nim chwilę, ale że z tym językiem miałem niewiele wspólnego, więc wkrótce machnąłem ręką. Za to na następnej stronie poszło już łatwiej. Tekst był w języku niemieckim. Nietrudno było się domyślić, że to także przedmowa. Spojrzałem na podpis. Zrozumiałe - mój doktor. A obok data. Tak, tak, to było 13 czerwca, pamiętny dzień. Trzy dni i trzy noce pracowaliśmy wtedy bez przerwy... Tuan wpisał ją na stojąco, gdy tam, na zewnątrz, huczał żałobnie tong_tong...

Uśmiechnąłem się sam do siebie na to odległe wspomnienie, ale naraz targnął mną dziwny niepokój. Ta data, nie wiem, dlaczego, wydała mi się jakaś podejrzana, nienaturalna. Odniosłem wrażenie, że wygląda jak człowiek bez głowy.

- O la, la... - mruknąłem zafrasowany, nie mogąc zdać sobie na razie sprawy, czego jej brak.

Przyjrzałem się jej znowu dokładnie, raz jeszcze znak za znakiem odczytałem od początku do końca i nagle zatrząśłem się cały z wielkiego wzburzenia.

- A to dopiero! - wykrzyknąłem przejęty. - Coś podobnego!...

Doktor uniósł głowę zdumiony, gdyż mimo woli odezwałem się w jego rodzinnym języku.

- Co się stało? - zapytał zaniepokojony. - Coś złego?

Dopiero teraz spostrzegłem, że może palnąłem głupstwo. Może to rzeczywiście coś bardzo złego? Po co było poruszać tę sprawę? A nuż wykorzysta ją Demon Goryczy lub Złości?

Postanowiłem obrócić wszystko w żart. Nawet gdyby stało się niedobrze, można będzie wiele naprawić, jeśli uda się utrzymać tuana w dobrym humorze.

- W którym roku - odezwałem się, udając sztuczną powagę - zakończyliśmy tę pracę? Zdaje się, że to było dość dawno...

Zsunięte silnie brwi doktora rozluźniły się, domyślił się bowiem, że za tymi słowami kryje się żart.

- Zdaje się, że to było... - wpadł natychmiast w mój ton. - O ile mnie pamięć nie myli... tak, na pewno - zakończył z triumfem - w 1897 roku!

Skinąłem głową zadowolony.

- Mnie się też tak zdaje - odparłem. - Gdyby nam wtedy nie przeszkadzano, nie miałbym dziś wątpliwości. Wszystko przez profesora Treuba i to nieustanne stukanie!

Uśmiechnąłem się beztrzesko, ale doktor już przerzucał nerwowo kartki.

- Hm... - mruknął bez najmniejszego zachwytu, gdy dotarł wreszcie do daty. - A to dopiero! Zastanowił się nad czymś.

- Ale że Treub tego nie spostrzegł!... - zdziwił się głośno.

Dyrektor przeglądał pracę przed oddaniem do druku.

- Ani Goebel... - dodał po chwili.

Profesor też kontrolował i trzymał u siebie nawet dość długo, gdyż doszedł do wniosku, że mój doktor żyje na bakier z językiem niemieckim. Wiedziałem przy tym, że obaj byli bardzo dokładni.

- Widocznie to nic poważnego - wtrąciłem pogodnie.

Tuan poweselał.

- No, niezupełnie - rzekł rozbawiony. - Najlepszy dowód, że zwróciłeś na to uwagę.

Powstał i przybliżył się do mnie.

- Na dobry ład - powiedział z humorem - mógłbyś mnie już teraz zastąpić. Zaczynasz się nawet dziwić po polsku. Świetnie ci się udało. Powtórz no jeszcze raz.

Przybrałem marsową minę i popatrzyłem na niego groźnie.

- A to dopiero!... bąknąłem przeciągle, tak jak on robił w chwilach wielkiego zdumienia.

Tuan parsknął śmiechem.

- Wspaniale! - wykrzyknął. - Zupełnie jak tuan Borski!

Skłoniłem się uprzejmie, czułem bowiem, że za tym żartem kryje się głęboka życzliwość. Potem odszedłem do swojego wajangu. Przywieźliśmy z wycieczki sporo nowych aktorów, trzeba więc było rozdać im role.

Doktor zasiadł przy biurku i pisał listy. Ja ustawiałem figury. Byłem pewien, że Demon Goryczy nie pokaże przez długi czas swego straszego oblicza, ale nie przerywałem roboty. Gdy ma się do czynienia z takim wrogiem, należy być przygotowanym w każdej chwili na atak.

Gekko drzemał, nasze żaby, jak zwykle w ciągu dnia, poszły na spacer. Moi bohaterzy znowu ożyli. Planowo, systematycznie przygotowywałem się do zaciętej batalii. Demon, jak to demon - sparzył sobie palce, więc się odsunął, przyjdzie jednak znowu, gdy się tylko podleczy. Ale ja, na szczęście, miałem cudowne Elmu Wytrwania...

Tak więc, moi mili, udało mi się pokrzyżować szyki Demonowi Goryczy. Byłem bardzo sprytnym młodzieńcem i to mi wiele pomogło. Nigdy bym jednak tego nie osiągnął, gdyby nie serdeczna przyjaźń, jaką darzyłem doktora. Tam bowiem, o przyjaciele, gdzie serce przemawia i gdzie broni ono słusznej sprawy, nawet najpodlejszy demon musi zostać pobity.

Zachowywałem się jednak nadal jak najbardziej ostrożnie. Demon Goryczy czaił się w pobliżu i wkrótce zaczął znowu dawać o sobie znać. Pokpiwałem trochę z niego, znałem bowiem doskonale jego sposoby walki, a nic mądrzejszego nie potrafił wymyślić. Gdy tylko tuan popadał w zły nastrój, natychmiast znajdowałem sposób, aby zająć jego myśli czymś innym. Poradziłem sobie nawet ze smutnym Słowackim. Nie czekałem, aż doktor sam się do niego zabierze. Uprowadziłem złe chwile i kazałem sobie tłumaczyć różne utwory wówczas, gdy był w najlepszym humorze. Lubiłem zresztą te wiersze, szczególnie wtedy, gdy je zacząłem rozumieć. Były one naprawdę piękne. Doktor wyjaśniał mi różne trudniejsze sprawy, opowiadał przy okazji o historii swojego kraju, tłumaczył przyczyny krwawych zmaganiań, jakie Polacy toczyli od stu lat z narodami ciemnoczłowieczymi. Gdy tylko zauważyłem, że rozmowa schodzi na niewłaściwe tory, znajdowałem natychmiast inne zajęcie. Tuan odrywał się od smutnego tematu, rzucał się z wielką energią w wir codziennych kłopotów, a potem już nie było większych trudności.

Dopiero na początku czerwca coś zaczęło się psuć. Tuan otrzymał z kraju więcej listów niż zwykle i dużo czasopism. Musiały być w nich przykre wiadomości. Zaklął kilka razy, a potem osowiały chodził godzinami po izbie. Czułem, że natychmiast należy wymyślić coś bardziej interesującego, bo sytuacja zapowiadała się beznadziejnie. Ponieważ wiedziałem, że z plantacji na wschodzie nadchodzą wieści bardzo pomyślne, postanowiłem wykorzystać tę okazję i wyprowadzić ponownie w pole Demona Goryczy.

- Warto by obejrzeć trzcinę cukrową koło Surabai - odezwał się któregoś dnia, gdy był bardziej przybity. - Jeśli tam dongkellan zanika, to znaczy, że jest w tym nasza wielka zasługa. Przez pewien czas nie odzywał się, ale niespodziewanie uniósł głowę znad biurka.

- Tak sądzisz? - zapytał takim tonem, jakby się dopiero obudził.

- Oczywiście. Tuan tam dawno nie był, a przecież należałoby wszystko sprawdzić na miejscu. Zresztą - kułem żelazo, póki gorące - jest tam w pobliżu wulkan Lamongan...

Doktor spojrzał na mnie przytomniej, w oczach pojawiły się iskry zainteresowania. Lamongan bowiem ożył niedawno, a jego wybuch słyszeliśmy nawet w Kagoku.

- Hm... - mruknął pogodniej. - To byłaby rzeczywiście ciekawa wycieczka. Ale czy warto?...

Demon Goryczy przysunął się nagle i zarzucił na niego zasłonę smutku. Nie widziałem go, ale czułem go koło siebie. Sprężyłem się w sobie i napiąłem nerwy. Nie czułem już przed nim strachu.

- Lamongan to niezwykły wulkan - przemówiłem podstępnie, wykorzystując jego broń dla moich szlachetnych celów. - Polacy nic o nim nie słyszeli dotychczas. Można by go zbadać, napisać na ten temat artykuł. Niech tam też wiedzą, jak wyglądają takie góry po straszliwym wybuchu.

Trafiłem. Demon Goryczy aż zasyczał z wściekłości, bo nie spodziewał się takiego podstępu. Patriotyzm to była jego ulubiona pułapka. Teraz ja odsunąłem mu ją sprzed nosa i użyłem do bardziej przyzwoitej roboty. Tuan ożywił się, pokraśniał na twarzy, gotów był wyjechać, choćby natychmiast. Tak, on bardzo kochał swoją ojczyznę. Uczyniłby dla niej wszystko, nie tylko to.

Od tego dnia pośpiesznie przygotowywaliśmy się do podróży. Miałem dużo roboty, rozumiecie przecież dobrze, co to znaczy pozostawić własne gospodarstwo pod cudzą opieką na dłuższy czas. Co najważniejsze - należało starannie zabezpieczyć Demony Zniszczenia, aby komuś nie uczyniły krzywdy. Gdy się z tym uporałem, była połowa czerwca. Bez dalszej zwłoki udaliśmy się statkiem do Surabai.

W tym największym wówczas mieście na Jawie można było spotkać ludzi wszelkich narodowości. Po raz pierwszy w życiu ujrzałem tu naszych braci Dajaków z Borneo, Botaków z Sumatry, mieszkańców Bali, Moluków i Celebesu. Nic więc dziwnego, że gdy następnego dnia doktor poszedł załatwiać swe sprawy w urzędach, ja zacząłem wałęsać się po porcie i po ulicach, pragnąc jak najwięcej zobaczyć. Koło południa dowlokłem się do czyściutkiej dzielnicy chińskiej, rozmieszczonej malowniczo wzdłuż Złotej Rzeki. Ruch był tutaj ogromny, towary śliczne, hałas tak wielki, że trzeba było dobrze nadstawiać uszu, aby cokolwiek zrozumieć.

Zatrzymałem się przy jakimś sklepiku. Kupiec zachwalał wymownie białą tkaninę, stojący zaś obok Europejczyk targował się z nim zawzięcie. Ten człowiek od razu przykuł do siebie moją uwagę. Nie to mnie dziwiło, że pragnął obniżyć cenę. Chińczycy są bardzo grzecznym narodem, to fakt. Wtedy mieliśmy jednak do nich pretensje, że chcą zawsze za dużo zarobić, więc taki targ był zjawiskiem normalnym. Również nie zdziwił mnie mundur białego, ponieważ widziałem już wielu konduktorów kolejowych, noszących takie same ubrania.

Natomiast zaskoczyła mnie jego twarz. Była pogodna i szczerą, ale równocześnie rysowała się na niej jakaś dziwna zaczepność, śmiałość i hardość, której dotychczas nie znałem. Toteż kupiec kłaniał się nieustannie i używał najgładszych słów. Niespodziewanie Europejczyk zwrócił się do mnie.

- Widziałeś kiedy takiego handlarza? - odezwał się takim tonem, jakby chciał mnie przywołać na świadka. - Chce za tę szmatę dwa razy więcej, aniżeli zapłaciłbym za nią w Djakarcie.

- Tyle nie - przeciwstawił się kupiec, kłaniając się znowu uprzejmie. - Ale prawda, że trochę drożej. Nikt tutaj nie ma takiego towaru.

Europejczyk machnął ręką ze złością.

- To go sobie schowaj! - oświadczył oschle. - Będę w Djakarcie, to kupię. Co za wydrwigrosz!

Odwrócił się na pięcie i zaklął tak siarczyście, że gdyby go Chińczyk zrozumiał, oddałby ten towar za darmo. Mnie natomiast serce z radości skoczyło do gardła. Byłem szczęśliwy, bo zorientowałem się błyskawicznie, że los oddaje mi w ręce potężny atut, którym zmiażdżę Demona Goryczy. To był bliski mi człowiek, mój doskonały pomocnik. Klął tak samo, jak niegdyś mój doktor na biednego Mijuna, a więc musiał być jego rodakiem! Taki był mi właśnie potrzebny!

- Przepraszam pana - zapytałem wzruszony. - Czy pan jest rzeczywiście Polakiem? Długie, sumiaste wąsy, które stanowiły jego niewątpliwą ozdobę, poruszyły się groźnie, brwi zsunęły się w dół. Zdumiał się tym nieoczekiwanym pytaniem.

- A tobie skąd to przyszło do głowy? - zapytał jakoś niepewnie.

- Bo tuan... bo tuan... - wybąkałem trochę speszony - tak pięknie zaklął po polsku...

Wąsy zadrgały gwałtownie, zmarszczki opadły. Ukazało się oblicze miłe i dobroduszne.

- A toś mnie zastrześlił! - rzekł kiwając głową. - Istotnie jestem Polakiem. Coś podobnego!... Malaj rozumiejący po polsku! Spotkałem się z tym po raz pierwszy...

Zabójcze wąsiska drgnęły ponownie, ale gdy mu wytłumaczyłem wszystko, ułożyły się zupełnie normalnie.

- Idę z tobą! - zawołał ochoczo. - Muszę poznać twój doktor. Raciborski! Nie ma co gadać, bardzo polskie nazwisko!...

Tuan też był zachwycony tym nieoczekiwanym spotkaniem. Widziałem, jak mu rozbłysły oczy, gdy przedstawiłem konduktora. Po pierwszych słowach twarz mu zapłonęła, przez gardło przebiegł gwałtowny skurcz. Rozumiałem te wszystkie objawy. Był bardzo wzruszony. Cóż chcecie, spotkać rodaka w innym kraju, gdzie słyszy się tylko obce słowa i widzi krajobrazy zupełnie odmienne, to nie lada zdarzenie. Zrozumiałe: w czym człowiek wyrósł od dziecka, chociaż byłoby nawet smutne i uciążliwe, jest zawsze sercu najbliższe.

Podaliśmy im cygara, a potem wniosłem zakąski i wino. Doktor spojrzął na mnie wesoło.

- Nong_nong - zawołał - pierwszy kielich wypijemy za twoje zdrowie! Rzadko się trafia taki przyjaciel jak ty.

Byłem trochę zakłopotany, bo jakże tu odmówić, gdy w domu tyle radości? I doktor, i tuan konduktor spoglądali na mnie tak serdecznie, że serce krajało mi się w tym momencie z rozpaczy. Przemogłem się jednak.

- Niestety, nie mogę wypić - odparłem z wielką godnością. - Jestem przecież wyznawcą Proroka.

Tuan zafrasował się. Zawsze bardzo szanował nasze zwyczaje i nasze uczucia.

- Tak, racja - rzekł wyraźnie stropiony. - Jaka szkoda... No, a jak tam z twoją głową? - zapytał nagle. - Rano narzekałeś na ból.

To była święta prawda. Nawet wtedy, gdy chodziłem po mieście, nie czułem się dobrze. Zapomniałem o tym z nadmiaru wrażeń, ale on doskonale pamiętał.

- Tak, z głową niedobrze... - potwierdziłem zmartwiony.

- No, widzisz - doktor też się zasmucił. - Wypij więc jako lekarstwo, dobrze ci zrobi.

Tym razem nie oponowałem. Prorok w takich przypadkach nie tylko nie zabrania, ale nawet zaleca pić, bo życie wiernych zawsze mu leżało na sercu. Wypiłem.

- A teraz za naszą przyjaźń - tuan poweselał jak rzadko.

- Piję jako lekarstwo - zastrzegłem się, aby tuan Arab nie mógł mi nic nigdy zarzucić.

Doktor pochwalił skinieniem, bo bardzo szanował nasze uczucia. Wypiłem z namaszczeniem, gdyż wino było rzeczywiście dobre, a w tej Surabai nigdy nie trudno o jakąś podłą chorobę. A przy tym zaczyna się zawsze od bólu głowy...

Poweselałem również i wkrótce przyniosłem nowe butelki. Gdy je wymieniałem po raz trzeci, w głowie poczułem męczący ból. Przeraziłem się. Ach, ta Surabaja! Ileż tu ludzi umiera codziennie... Oby wyjechać z niej jak najszybciej!

Tuan zauważył natychmiast moje zdenerwowanie, gdyż był bardzo wrażliwy.

- Nong_nong - przemówił stroskany. - Zaczynasz bardzo źle wyglądać. Musisz się jeszcze napić.

- Piję jako lekarstwo - zastrzegłem znowu wyraźnie.

Tym razem rzeczywiście pomogło. Widząc, że oni zaczynają mówić po polsku, zabrałem ze stołu cygaro i przysiadłem z boku. Patrzyłem z przyjemnością na tych dwóch ludzi, którzy nie widzieli się przedtem nigdy, a teraz gawędzili serdecznie jak bracia. Swoją drogą, nie byłoby tego wszystkiego beze mnie. Byłem bardzo zadowolony, bo ten wąsal przypadł mi ogromnie do serca. Oczywiście nie orientował się, jaką rolę tu spełnia. Nie szkodzi. Nie potrzeba mu tego wyjaśniać...

Zaciągnąłem się dymem, ale nie zakrztusiłem się, jak niegdyś w Bogorze. Przez pewien czas obliczałem, na jak długo udało mi się odsunąć Demona Goryczy, a potem niespodziewanie

zasnąłem kamiennym snem. Za to rano czułem się rześki i wesół jak nigdy. Lekarstwo okazało się świetne.

XIX

Jaka śliczna ta dzisiejsza noc!... Jest ciepło, chociaż ochłodziło się nieco, zniknęła za to dzienna dusznota. Jak cudnie migocą gwiazdy! Obsiadły gęsto cały firmament, skrzą się, mrugają, pewnie o czymś tam gwarzą, być może opowiadają sobie o tym, co było i co nadejdzie. I księżyc też się poruszył. Tak, przesunął się znacznie na zachód, ale ciągle jeszcze srebrzy swym blaskiem pola ryżowe, kampongi i stoki gór...

Ja, Nong_nong, syn Paidana, dziś starzec sędziwy, człowiek z was najstarszy, widziałem wiele takich nocy. Patrzyłem na nie i tutaj, w Bogorze, i koło Diokii, u stóp naszych najwyższych wulkanów, i w okolicach nadmorskich, na Jawie i na Sumatrze, na Celebesie i na Borneo. Nie ma takiego zakątka w naszej ojczyźnie, do którego nie zajrzałym w ciągu swego długiego żywota. Ze wszystkich jednak nocy utkwiły mi najbardziej w pamięci te, które spędziłem w Kagoku po naszym powrocie ze wschodu. Gwiazdy tam świeciły tak samo i piewiki nuciły podobnie, ale takiego spokoju, jakiego tam zaznałem, nie znalazłem już nigdzie. Tak, bracia, spokoju, który napełniał mą duszę szczęściem. Czy mogło być zresztą inaczej? Demony, straszne demony, które zwały najpotężniejszych, odeszły pobite; poszły na marne wszelkie ich podstępny, groźby i śmiercionośne działania. I któż tego dokonał? Prosty, skromny człowiek, którego jedyną zaletą było to, że umiał patrzeć bystro, miał serce i że się niczego nie lękał...

O przyjaciele! Czyż mógłbym o tym zapomnieć? Były to wielkie chwile, uroczne dni, od których nie można się oderwać nawet wtedy, gdy przed człowiekiem otwiera się grób. Żyłem wówczas jak we śnie. Podróż przez plantacje była dla nas marszem triumfalnym, podczas którego słyszało się tylko słowa uznania. Dongkellan ginął na całej wyspie; prace doktora dały doskonały rezultat i okryły sławą jego nazwisko. Toteż gdy znaleźliśmy się w domu, nie znać było na nim ani śladu smutku, gniewu czy męczącej goryczy.

Stał się znowu pogodny i uśmiechnięty, robota bardziej niż kiedykolwiek paliła mu się w rękach, zmęczenie nie miało do niego dostępu. Los zaś, jak gdyby pragnąc wynagrodzić wszystkie poprzednie kłopoty, stawał się dla nas coraz łaskawszy. Ostatni list od doktora Albinowskiego musiał być bardzo wesóły, bo tuan śmiał się przy czytaniu do łez. Potem napisał profesor Goebel, wyrażając się bardzo życzliwie o leptominie. Aż wreszcie nadeszła przesyłka od profesora Rostafińskiego, u którego kształcił się mój tuan, gdy przebywał jeszcze w swojej ojczyźnie. I w niej musiały być dobre wieści. Rozpromienił się, gdy przejrzał wszystko, a potem podszedł do mikroskopu.

- Patrz, Nong_nong - wskazał ręką na ten bezcenny w naszej pracy instrument - to dar przyjaciela. Gdy wyjeżdżałem na Jawę, nie miałem nic. Profesor przesłał mi go w ostatniej chwili, abym nie wyglądał jak żebrak.

Zląkłem się, bo gdy tylko zaczynał tak mówić, pojawiał się natychmiast Demon Goryczy. Tym razem, na szczęście, do tego nie doszło. Demon pewnie nie doliczył się jeszcze swych kości po ostatniej porażce. Tuan uśmiechnął się zresztą zaraz, a to jest doskonała odtrutka.

- Trzeba będzie wziąć się ostrzej do pracy - oświadczył wesoło. - Zaniedbaliśmy się ostatnio, Nong_nong. I Goebel, i Treub, i Rostafiński czekają na nasze przesyłki.

Dużo było w tym racji. Wysyłaliśmy tym uczonym co pewien czas różne kolekcje, a podróz i późniejsze pogodne dni rzeczywiście przerwały nam te roboty. Co prawda, nie zmarnowaliśmy czasu. Koło Surabai, na Lamongan i w okolicach Probolinggo zebraliśmy sporo ciekawych roślin, a że i tam doktor pamiętał o przyjaciółach, więc i dla nich nie zbraknie. Uzupełniliśmy je zresztą wkrótce w czasie kilku wycieczek. Powstały takie pakiety, że powinno im wystarczyć przynajmniej na kilka miesięcy.

Tego dnia, w którym oddałem ostatnią paczkę na pocztę, nadszedł nowy list, tym razem z Bogoru. Oczywiście nie mógł zawierać nic złego, bo z naszym dyrektorem układały się stosunki coraz serdeczniej, więc najspokojniej udałem się do ogródka, gdzie miałem sporo roboty. Do tuana zajrzałem dopiero wieczorem, przynosząc mu kawę. Od razu zauważyłem, że nie wygląda normalnie. To mnie zaskoczyło. Nie wiedząc, skąd wieje zły wiatr, nasrożyłem się i z miejsca przyjąłem obronną postawę.

- Słuchaj no, Nong_nong - doktor przemówił jakoś dziwnie surowo. - Co ty przede mną ukrywasz?

Pytanie było tak niezwykle, że w pierwszej chwili nie mogłem z wrażenia otworzyć ust. Czego on chciał ode mnie? Czyżby miał pretensję o te cygara? To niemożliwe! Sam mnie nieraz częstował. O piwo? Także nieprawdopodobne, nie zdarzyło się jeszcze, aby mu kiedykolwiek zabrakło. Ach, może o to mu chodzi?...

Ponieważ zawsze byłem człowiekiem odważnym, więc postanowiłem jasno postawić sprawę.

- Chyba tuan nie ma pretensji o ten kieliszek wina, który wypilem wczoraj jako lekarstwo? - zapytałem zaczepnie.

Machnął tylko ręką. Jasne, o to mu chodzić nie mogło. Poczułem się raźniej.

- W takim razie - rzekłem już uprzejmie jak zwykle - nie rozumiem pytania. Nie zdarzyło się jeszcze, abym potrzebował coś przed tuanem ukrywać.

To była prawda. Do drobnych spraw nie przywiązywał zupełnie wagi. Patrzył na mnie uważnie.

- Píše mi profesor Treub - rzekł w zamyśleniu - że koło Tegal i Semarangu grasuje jakiś czarodziej, którego ludzie nazywają Duturem z Rajskiego Ogrodu...

Odetchnąłem z ulgą. Z taką sprawą potrafiłem sobie poradzić.

- Kto mu o tym powiedział? - zapytałem udając zdziwienie, aby zyskać na czasie. - Stąd do Bogoru daleko...

- Wiadomość doszła do urzędu generalnego gubernatora, a stamtąd do Instytutu. Okazuje się, że wywiad działa tu nieźle.

Uśmiechnął się mimo woli, a ja pokraśniałem z zadowolenia. To dobrze, że wiedzą.

- Czy to coś karalnego? - udałem jednak zmartwienie. - Czy ten dutur robi coś złego?

Ech, nie! Przeciwnie - niszczy lijer, a również i inne uprawy chroni przed szkodnikami. Rząd może być tylko wdzięczny za tę robotę.

Słusznie. Rząd powinien o nim pamiętać.

To zupełnie tak samo jak my - powiedziałem niewinnie. - My przecież robimy to samo.

- Właśnie! - doktor ożywił się. - Treub żartuje, że to pewnie moja sprawka i życzy mi powodzenia.

Zastanawiałem się chwilę. Powiedzieć mu prawdę czy nie?

- Kto wie? - przemówiłem powoli. - Może to rzeczywiście jakiś czarodziej, który podpatrzył naszą robotę?... To chyba nie szkodzi, pracy przecież jest dużo. A może to tuana tak ludzie nazwali?

Pokiwał głową. Widać było, że mu to wyjaśnienie przypadło do gustu. Skłoniłem się więc i wyszedłem. Po co miał wiedzieć prawdę? Nazywał się przecież Borski, a Duturem z Rajskiego Ogrodu miał pozostać tylko w naszej pamięci. Nie potrzeba mu wyjaśniać tej sprawy.

XX

A teraz, o przyjaciele, znowu uderzyłem w gong! Po dniach bowiem pogodnych, pełnych spokoju, nadchodzi dzień, który wstrząśnie i wami, i mną. Straszne nieszczęście zawiśnie nad naszym domem w Kagoku!... Nic nie zapowiadało tej burzy. Prace szły normalnie, co pewien czas organizowaliśmy bliższe lub dalsze wycieczki. Tuan był bardzo zadowolony. Z trzcina cukrową nie było kłopotów, ilość rozpraw rosła, badania dawały dobre wyniki. Wszystkie gatunki paproci, jakie znajdowały się w tej okolicy, już mieliśmy w zielniku. Demony Zniszczenia zachowywały się potulnie, przerażone naszą energią. Ten właśnie brak jakichkolwiek utrudnień wprowadził mnie w błąd. Zapomniałem na pewien czas o istnieniu Demona Goryczy, sądząc, że wystraszyłem go ostatecznie. Jakże byłem naiwny! Nie rozumiałem, że on się tylko przyczyił. Pragnął uśpić moją czujność i uderzyć w najwygodniejszej dla siebie okazji. Zdarzyła się ona we wrześniu.

Tuan wyjechał na kilka dni do Tegal, a gdy stamtąd powrócił, nie wyglądał normalnie.

Usta miał spieczone, oczy mu płonęły gorączką.

- Proszę się położyć - odezwałem się z troską, bo poznałem od razu, że malaria chwyciła go w swe szpony. - Przygotuję lekarstwa.

- Głupiś! - mruknął opryskliwie i zaraz wyszedł, kierując się w stronę laboratorium. - Nic mi nie będzie, rzucił jeszcze przez ramię, kiedy już był przy furtce. - Przejdzie do jutra.

Wrócił późnym wieczorem i zamiast iść do łóżka przysiadł przed mikroskopem. Próbowałem go od tego oderwać. Ofuknął mnie gniewnie. Nie obraziłem się - ludziom chorym należy takie rzeczy wybacząć.

- Jutro pojedę po lekarza - bąknąłem tylko.

Doktor zerwał się z miejsca.

Przeraziłem się w tym momencie. Twarz miał ściągniętą, z oczu biły mu błyskawice. - Zabraniam ci! - wykrzyknął z wściekłością. - Nie potrzeba mi tu lekarzy. Sam się wyleczę!

Skloniłem się grzecznie. Z ciężko chorymi należy postępować jak z dziećmi. Kto wie, może zresztą miał rację? Potrafił przecież uzdrawiać rośliny, więc może istotnie lekarz mu niepotrzebny?

Nazajutrz wstałem wcześniej i podszedłem do jego drzwi. Cisza. Uchyliłem je lekko. Nasze żaby czekały już na to i, jak zwykle rzędem, wysunęły się na werandę. Wszedłem do środka. Tuan leżał nieruchomo, z czoła spływał obficie pot. Spojrzał na mnie na pół przytomnie.

- Nong_nong, piwa! - zawołał chrapliwie.

Zirytowałem się. Ostatecznie malaria kosi tak samo dobrze Europejczyków jak nas. Postanowiłem działać stanowczo.

- Nie ma piwa! - uciałem krótko.

Doktor spojrzał na mnie tak groźnie, że po plecach przeszło mi mrowie. Nie podejrzewałem jeszcze niczego, więc i tym razem przypisałem to tylko gorączce.

- Piwa i cygar! - ryknął teraz na cały głos. - Dawaj natychmiast!

Zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie. Dotychczas zawsze żyliśmy w najlepszej zgodzie. Rozumiałem jednak, że nie wolno ustąpić.

- Nie ma ani piwa, ani cygar - odparłem z flegmą. - Najpierw chinina.

Sądziłem, że znowu wybuchnie, lecz on załamał się nagle, ciałem zaczęły wstrząsać straszliwe dreszcze. Znałem te objawy, bo przecież prawie każdy z nas przechodził to w życiu.

Poczekalem aż atak minie. Wtedy otarłem mu twarz i ręce wilgotnym ręcznikiem, a potem podałem chininę. Przełknął bez słowa.

- Nong_nong, piwa... - wyszeptał.

- Zaraz przyniosę gorącej kawy - rzekłem mu w odpowiedzi.

Spojrzał na mnie błagalnie.

- A potem dasz piwa? - zapytał. - Tak tutaj duszno...

Zastanowiłem się chwilę. W tej sytuacji piwo stanowiło truciznę. Z drugiej strony, za bardzo się przyzwyczaił, aby go można było całkowicie pozbawić tego napoju.

- Trochę dam - zgodziłem się bardzo niechętnie.

Odetchnął z ulgą, ja zaś odwróciłem się, po drodze zabrałem pudło z cygarami, bo z takimi ludźmi nigdy nic nie wiadomo, i wyszedłem do kuchni. Gdy przyniosłem kawę, był tak osłabiony, że musiałem podtrzymać mu głowę.

- No, a teraz piwo - wyszeptał.

Dałem mu pół szklanki, a potem chciałem wręczyć odkrojony kawałek cygara.

- Nie - poruszył głową z największym trudem. - Palić nie będę. Straciłem smak...

Zmartwiałem. To mnie przeraziło bardziej niż gorączka i dreszcze. Przecież ten człowiek nie rozstawał się nigdy z cygarem, wędrował z nim nawet po górach. Co się stało? Czyżby nadchodziła już śmierć?

- Natychmiast jadę po lekarza! - oświadczyłem wstrząśnięty do głębi.

Zaraz jednak pożałowałem tych słów. Doktor zsiniał, oczy mu wyszły z orbit.

- Milcz, żadnego lekarza! - wykrzyknął. - Wyrzucę, jeśli go tutaj sprowadzisz! Po co mi konował? Co on może poradzić?

Oczywiście nie miał racji. Dobry lekarz potrafi człowieka wyleczyć. Nie wiem dlaczego, nie lubił jednak tego zawodu, chociaż z doktorem Albinowskim żył przecież w największej przyjaźni. Znałem go jednak dobrze i wiedziałem, że nie pomogą żadne perswazje.

Machnąłem więc w końcu ręką, dałem mu „Pana Tadeusza” i wyszedłem z pokoju. Przez następny dzień, chociaż nie wstawał, wracał powoli do sił. Zdawało się, że choroba zanika.

Toteż przeraziłem się, gdy wszedłem do niego nazajutrz. Na łóżku i na podłodze leżały stosy czasopism i książek. Niestety, nie były to naukowe rozprawy. Znajdował się wśród nich cały Słowacki i te wszystkie pisma, które mu nadsyłało z Krakowa.

I tym razem nie zauważyłem jeszcze straszliwej sieci, którą coraz szczelniej zaciągał nad nim Demon Goryczy. O bracia, jakże człowiek może oślepnąć, gdy za bardzo zaufa swym siłom i możliwościom! Zapomniałem wtedy, że w walce z demonami nie wolno ani na chwilę osłabić swojej czujności. Wszystko przypisywałem chorobie...

Widząc jednak jego siną teraz zupełnie twarz, na której rysowały się ostro kości, postanowiłem działać na własną rękę. Najbliższym pociągiem udałem się do Tegal. Zameldowałem się u tego samego lekarza, przed którym nas tak przestrzegano w dniu naszego przyjazdu.

- Dobrze, przyjadę rano - oświadczył, gdy opowiedziałem mu wszystko. - Z tego, co mówisz, wynika, że można jeszcze trochę poczekać.

To mnie uspokoiło, lecz wcale nie pragnąłem jego wizyty. Po co denerwować mojego doktora? Wyjaśniłem więc grzecznie, że on bardzo nie lubi lekarzy. Przyjął to nadszpiewanie pogodnie.

- Słyszałem o tym - oświadczył wesoło. - Zgoda, więc nie pojedę. Opowiedz mi raz jeszcze, jak ta choroba przebiega.

Wziąłem od niego recepty, wstąpiłem do apteki, a potem udałem się z powrotem do domu. Na chwilę zajrzałem do kuchni, aby zostawić paczki, i natychmiast skierowałem się do pokoju tuana. Wtedy nareszcie spostrzegłem niszczycielską robotę demona!... Doktor leżał na pozór spokojnie. Książki były wprawdzie porzucane jak przedtem, ale ich nie czytał. Prawa jego ręka zwisała bezwładnie. Przybliżyłem się ostrożnie na palcach, sądząc, że śpi. Strach chwycił mnie nagle za włosy. Oczy miał otwarte, ale co to były za oczy!... Nie wiem, czy widzieliście kiedyś człowieka, który stracił już wszystko, dla którego nic nie istnieje poza upiornym bólem i klęską. Tak właśnie patrzyły teraz oczy mojego doktora. Wyglądała z nich rozpacz i żal, beznadziejność i rezygnacja mroziła serce swoim strasznym wyrazem...

W pierwszej chwili oparłem się ciężko o krzesło, bo to, co ujrzałem, ścięło mnie z nóg. Zwyciężyła jednak rozważa. Uprzątnąłem szybko pokój, na chwilę wypadłem do kuchni. Zdawało się, że mnie wcale nie widzi. Podałem lekarstwa. Przyjął je obojętnie, jego wzrok zawisł znowu na czysto wybielonym suficie.

Demon Goryczy pojawił się koło północy... W domu panowała kompletna cisza, jedynie z dala dochodziły przytłumione głosy piewików. Światło ustawiłem z boku, nasze żaby stały na posterunku. Z ust tuana wybiegła jakaś ponura skarga w jego rodzinnym języku. Potem zajączał głucho i znów zaczął mówić po polsku. Nie rozumiałem wszystkiego, ale nietrudno było pojąć, że krył się w tych słowach ból serdeczny i bunt. Niespodziewanie zgasłem lampę. Czuję, że nadchodzi okres krytyczny.

- Nong_nong! - doktor krzyknął tak przeraźliwie, że zamarłbym z trwogi w innym przypadku. - Zapal! Zapal!...

I wtedy to, bracia, Demon Goryczy po raz pierwszy pokazał mi swoje ohydne oblicze. Doskonale widziałem go w mroku. Lśnił jakimś niezwykłym blaskiem. Stał nad głową tuana i szczyrzył kły. Śmiał się przeraźliwie, chociaż bezgłośnie. Stwardniałem nagle. Nie tylko nie zląkłem się, ale i ucieszyłem z jego widoku. Demon, na którego mogłem patrzeć, nie był już dla mnie groźny.

- Zaraz zapalę - odpowiedziałem spokojnie. - Proszę, niech tuan spojrzy...

Potarłem zapałkę, zapłonęła świeczka. Taka sama, jakiej używam dzisiaj, przy naszym waju. Czuję, że Demon Goryczy obserwuje mnie z największą uwagą. Uśmiechnąłem się

niewielko złośliwie. Tak, nie mógł się domyślić tej niespodzianki. Teraz ja mu pokażę! Uderzyłem zniechęcająco w gong...

Demon odczuł to widocznie bardzo boleśnie, bo zacharczał głucho. Umilkł jednak natychmiast. Za oknem, na werandzie, odezwał się w odpowiedzi czuwający od zmroku gamelan. Przemówił najpierw cicho i uroczyście. Tam, na łóżku, dał się słyszeć ostrożny, lękliwy szmer. Serce mi uderzyło radośnie. Demon Goryczy się zląkł. Cofał się teraz w strachu, ja natomiast nabierałem werwy, ogarniała mnie dzika zaciętość. Nie szło mi już obecnie o odsunięcie go za pomocą wybiegu. Postanowiłem go zniszczyć na zawsze!

Gamelan zadzwieczał donośniej. Rozgorzały mi nagle policzki, usta otworzyły się same. Rozbrzmiały słowa zaklęcia:

„A chrapali tak twardym snem, że ich nie budził blask latarek i wniście kilkudziesiąt ludzi...

(Cytaty z Księgi IX „Pana Tadeusza” - „Bitwa.”)

Cienie padły na ekran, ukazując obóz wojskowy. Płynęła strofa za strofą. W jego rodzinnym języku, po polsku, tak jak mnie niegdyś nauczył. Zerknąłem w kąt. Demon Goryczy czaił się ciągle, ale jego paskudna twarz była jakaś zgaszona, przybita, bezradna. Nic dziwnego, nie rozumiał ani słów, ani czarów, których przeciwko niemu użyłem.

Gamelan nucił, ja zaś jeszcze mocniej podniosłem głos:

„Tylko jeden Konewka, któremu w powieście nie znajdziesz równej głowy przy bankiecie, Konewka, co mógł wypić lipcu dwa antały, nim mu splątał się język i nogi zachwiały, ten, choć długo ucztował i usnął głęboko, dawał przecie znak życia...”

I tak toczyła się ta niezwykła opowieść. Znad uspiętego obozu podniósł się żołnierz czupurny i zawadiacki i rozejrzał się czujnie. Na łóżku znowu rozległ się szmer. Nie zwracałem na to uwagi. Wiedziałem, że groźny wróg załamał się we wstępnym boju, zanim zdołał wyciągnąć broń. Cienie poruszały się coraz sprawniej. Napad, nieprzyjaciel bierze w łyka tych, którzy zaspali. Pokazuje się zaraz groźniejsza armia, ta, która podbiła Polskę. I znowu zmienia się wszystko. W spokojnym niegdyś dworze zabawa, głośny policzek, rozpoczyna się bitwa...

Za oknem gamelan grał coraz piękniej, w moich zaś słowach odbiło się uniesienie, płynące z poczucia szczęścia. Bo oto łóżko zatrzeszczało i tuan wstał. Zachwiał się trochę, poruszył niepewnie i opadł ociężałe na fotel. Miałem go teraz naprzeciw. Ujrzałem jego wzrok. Błyszczał podnieceniem, nie znać w nim było smutku. Tam, nad łóżkiem, stał ciągle jeszcze Demon Goryczy, lecz cóż to była teraz za nędza! Nic nie pozostało z jego dawnej potęgi. Spoglądał na mnie ponuro i drżał.

Uśmiechnąłem się mimo woli, bo i bitwa na ekranie kończyła się właśnie szczęśliwie, Polacy zwyciężyli, wróg poszedł w rozsypkę. Doktor objął głowę rękoma. Patrzył jak urzeczony. Dowódca nieprzyjacielski poddał się właśnie, przemawiał. Był nawet miły. W jego słowach nie czuło się złości:

„Ja, Panie Podkomorzy, wasz przyjaciel będę. Ruskie przysłowie mówi: kto się mocno lubi, ten, Panie Podkomorzy, i mocno się czubi. Wy dobrzy do wypitki, dobrzy do wybitki, ale przestańcie robić nad jegrami zbytki.”

Zaniemówiłem w tym momencie. Demon Goryczy zajęczał, skulił się w sobie i zniknął nagle, jakby zdmuchnął go wiatr. Tam natomiast, gdzie stał poprzednio, pojawił się blask. Był jakiś niezwykły, porywający, cudowny. Rozszerzał się coraz bardziej, pogłębiał, aż wreszcie ukazał się w nim rycerz w srebrzystej zbroi o przepięknym, pełnym szlachetności obliczu...

Tak, bracia, to był rzeczywiście Ardżuna... Potem przesunął się w bok i zajął miejsce obok mojego tuana.

Dobrotliwie dotknął go ręką, mnie zaś nakazał głową, abym snuł dalej tę niezwykłą opowieść. Zrozumiałem go doskonale bez słów. Widziałem, że słucha mnie uważnie i cieszy się, że znalazłem tak świetną broń na ohydneho Demona Goryczy.

Wyrecytowałem końcowy wiersz i uderzyłem radośnie w gong. Gamelan zadźwięczał tęsknie, zaginęły gdzieś na stokach Slametu ostatnie tony. Blask osłabł, Ardżuna rozplynął się w mroku. Wstałem powoli i podszedłem do mojego tuana. Już spał...Ucieszyłem się, świadczyło to bowiem, że Demon Goryczy stracił nad nim swą moc.

XXI

W takich to okolicznościach, moi mili, udało mi się pokonać straszego Demona Goryczy. Nie użyłem ani miecza, ani nie uganiałem się za nim po całej Jawie, nie wzywałem na pomoc hufców niewidzialnych mocarzy i wojowników, nie powstrzymywałem rzek w biegu ani gór nie wysadzałem w powietrze. W tej walce to wszystko nie miałyby żadnego znaczenia. Demon Goryczy nie lęka się żadnej potęgi. Na niego jest tylko jeden sposób i tego właśnie użyłem. Staje on bezradny wobec mocnego, serdecznego, zwykłego ludzkiego uczucia. Jeśli to mu przeciwstawicie, zniszczycie go zawsze. Oczywiście, jak słyszeliście, nie doszedłem do tego od razu. Dużo czasu upłynęło, zanim tego demona i wykryłem kręte drogi, którymi dążył do celu. Kiedy jednak zorientowałem się wreszcie w tym wszystkim - już nie miałem większych kłopotów. Wajang był w moich rękach tylko narzędziem.

Opowieść stała się drogą, którą powiązałem nasz kraj z ojczyzną mojego doktora. Gamelan stanowią oprawę. Jego dźwięki stworzyły nastrój i wyprowadzały z równowagi wroga, który postanowił zniszczyć nasz dom.

Następnego dnia tuan spał bardzo długo. Zaglądałem do niego kilkakrotnie, ale dopiero koło południa zauważyłem, że ma otwarte oczy. Podszedłem bliżej.

- A, jesteś, Nong_nong - ucieszył się z mojego przybycia i spojrzał tak jakoś ciepło, że załała mnie fala radości. - Pozwolisz mi dzisiaj zapalić?

To był dobry znak. Jeśli chce palić, to znaczy, że choroba odeszła. Na wszelki jednak wypadek postanowiłem dać mu tylko połowę. Kto tam wie, co mu może teraz zaszkodzić...

- Ależ z ciebie sknera! - mruknął wesoło, widząc, że zamierzam przeciąć cygaro. - Daj całe. Wypalę tylko połowę.

Popatrzyłem nieufnie. To było mało podobne do niego, postanowiłem jednak zaryzykować. Jeśli nie spełni przyrzeczenia, potrafię go dopilnować!

- A piwa nie dasz? - zapytał po chwili.

W tej sprawie musiałem być bardziej stanowczy.

- Jutro - pocieszyłem go z całym spokojem.

Pokiwał smętnie głową, ale się nie rozgniewał. Dopiero gdy przyniosłem lekarstwo, zamruczał znowu:

- Co za paskudztwo!... Co to takiego?

- Nasze lekarstwo - musiałem, niestety, skłamać dla jego dobra, wiedziałem bowiem, że gdybym wspomniał o lekarzu, na pewno by go nie wypił. - Dostałem przepis od pewnego dutura...

To rzeczywiście natchnęło go od razu ufnością. Wprawdzie z niesmakiem, lecz przełknął. Wkrótce poczuł się raźniej.

- Trzeba wstać - oświadczył. - Robota czeka.

Tym razem nie przeciwstawiłem się, bo było już późno, więc i tak nie będzie pracował. Wyjąłem mu z rąk cygaro.

- Co robisz - wykrzyknął. - Dawaj!

- Tuan miał wypalić tylko połowę - przypomniałem mu grzecznie.

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

- Prawda - potwierdził niechętnie. - Niech i tak będzie. Nie mogę się gniewać przecież na ciebie...

A więc rozumiał!... Stanowczo palił za dużo. To mnie podtrzymało na duchu i postanowiłem być nieugięty.

Widziałem niejednego Europejczyka, który ginął na Jawie od piwa i cygar, i nawet mógłbym wskazać miejsca, gdzie znajdują się groby.

Pilnowałem go tak jeszcze dwa dni, aż wreszcie stałem się bardziej łagodny.

- Od dziś nie będę wydzielał cygar - oświadczyłem, wyglądał bowiem doskonale, a przy tym chciałem go poddać próbie. - Dobrze by jednak było, żeby tuan sam ograniczył palenie. Nie wychodzi ono na zdrowie...

Widziałem, że wziął moją uwagę do serca, bo w ciągu następnych dni palił rzeczywiście niewiele. Zdarzało się nawet, że odkładał cygaro zaraz po zapaleniu. Mimo to był bardzo wesoły. Żartował, przekomarzał się ze mną, nawet coś tam wyśpiewywał po polsku.

W tydzień później nadeszła nowa poczta. Właściwie był tam tylko jeden jedyny list, i do tego z Bogoru. Ledwie go jednak przeczytał, wpadł jak bomba do mojego pokoju.

- Nong_nong - zawołał od progu - pakuj się! Wyjeżdżamy!...

Skinąłem obojętnie głową. Byłem przyzwyczajony do takich nagłych decyzji.

- Na długo? - zapytałem tylko, aby wiedzieć, jakie wydać rozkazy służbie.

- Na zawsze!

Spojrzałem na niego zdumiony. To nie wydawało mi się podobne do prawdy. Opuścić Kagok? Nigdy do niego nie wrócić? Porzucić ten dom i miejsce, gdzie odniosłem tak wspaniałe zwycięstwo nad Demonem Goryczy?...

- Naprawdę wyjeżdżamy - potwierdził tuan, widząc, że gotów jestem potraktować to jako żart. - Pisz mi Treub, że powołano mnie na kierownika stacji doświadczalnej nad uprawą tytoniu w Wedi Koto, koło Klaten. To gdzieś u podnóża wulkanu Merapi. Podobno wybuchła jakaś nowa zaraza, która niszczy całe plantacje. Z pewnością grzyb! A, jeśli tak... Jeżeli to znowu jakiś Demon Zniszczenia?... Nie wolno się wahać w takim wypadku. Któż go szybciej poskromi niż my?...

Pogodziłem się więc szybko z losem i zabrałem się do roboty. Jeszcze tego samego dnia doktor rozesłał listy do Europy, ja zaś sprowadziłem z Tegalę Chińczyka, który zakupił meble. Potem tuan zakończył ostatecznie swe porachunki z dongkellanem. Ja w tym czasie spakowałem paprocie, grzyby i książki. Po tygodniu byliśmy gotowi.

- Trzeba by urządzić przyjęcie dla naszych sąsiadów - rzekł, gdy zobaczyliśmy się wieczorem.

- To bardzo mili ludzie.

Ucieszyłem się z tej propozycji. Rzeczywiście nie mogliśmy na nich narzekać. Przychodzili nam z pomocą w każdej potrzebie.

- Doskonale - pochwaliłem zadowolony. - Sprowadzę gamelan i wajang_kulit. Doktorowi rozbłyły oczy. Bardzo lubił teatr i naszą muzykę.

- Czy zaprosimy również regenta? - spytałem jeszcze, bo ten dostojnik znowu przyjechał przed kilku dniami.

Tuan zastanowił się. Sytuacja była delikatna, gdyż nie złożył mu do tej pory wizyty. Nie mógł mu zapomnieć tych drzew, które regent wyciął w naszym ogródku.

- Nie... nie zaprosimy - zdecydował po chwili.

Nie nalegałem, przecież miał rację. Regent zachował się nieprzyzwoicie, temu nikt nie może zaprzeczyć. Komu jak komu, ale jemu nie wolno było wybaczać.

Następnego dnia, zaraz po południu, goście zaczęli się schodzić. Wieść o naszym wyjeździe rozeszła się lotem ptaka po okolicy. Pojawiły się delegacje z kampongów, w których walczyliśmy z lizerem. Przed wieczorem zjawiała się także wdowa, na której półku po raz pierwszy odkryłem zarazę. Następnie przybywali grupkami pracownicy stacji doświadczalnej i Europejczycy z pobliskich cukrowni. A potem... Domyślcie się, moi mili, kto wszedł potem do naszego domostwa? Oczywiście żartuję. To by wam nigdy nie przyszło do głowy. Patrzcie - oto jest ten niezwykle gość: pod wspnianiałym pajongiem wkracza dumnie korpulentny regent z Tegalalu!...

Tak, przyjaciele, to istotnie jest on. Ten właśnie człowiek, który nam wyciął drzewa. Doktor, gdy go zobaczył z daleka, zmarszczył od razu brwi. Zrozumiałe, jak on mógł taką sprawę wybaczyć? Z drugiej strony - to jednak był gość, a przy tym bardzo wysoki urzędnik. Należało więc ratować sytuację, bo mój tuan potrafił być niekiedy bezwzględny. Nie można było dopuścić do publicznego skandalu.

- Panie - szepnąłem więc doktorowi na ucho - rosną już nowe drzewa... Z pewnością są ładniejsze od tamtych...

Rzeczywiście nasz ogródek prezentował się doskonale. Jestem pewien, że trudno byłoby znaleźć ładniejszy na całej Jawie. Doktor rzucił na niego okiem. Uśmiechnął się lekko i wyszedł regentowi naprzeciw.

Gdy załagodziłem tę sprawę szczęśliwie, zająłem się gośćmi. Tuan dbał o Europejczyków, ja go zastępowałem wśród naszych ludzi. Wszedłem między nich i gawędziłem wesoło.

- Czy tuan do nas nie przyjdzie? - usłyszałem niespodziewanie nieśmiały szept.

Obejrzałem się. Obok stała wdowa i wpatrywała się we mnie z przejęciem. Niegdyś smutne oczy patrzyły teraz pogodnie.

- Co ci przyszło do głowy? - skarciła ją jakaś sąsiadka. - Przecież dutur ma swoich gości... Uśmiechnąłem się. Nie znała mojego tuana.

- Przyjdzie - odparłem ku jej wielkiemu zdziwieniu. - On was zaprosił, nie ja. Jesteście również jego gośćmi.

Ruszyłem dalej. Z werandy dochodziły ożywione rozmowy i głośny śmiech, Europejczycy bowiem nie umieją bawić się cicho jak my. Tutaj, na dole, twarze wyglądały również radośnie, jednakże nikt nie robił hałasu.

Doktor rzeczywiście pokazał się wkrótce wśród naszych ludzi. Rozumiałem, że to nie przyszło mu łatwo. Siedział tam przecież regent, więc trzeba było dbać o pozory. Mimo to zdołał się wymknąć, a teraz chodził od grupy do grupy i gawędził. Miał świetną pamięć. Na kogo spojrział - przypominał go sobie od razu. Wskazywał nawet bezbłędnie miejsce i czas, kiedy zobaczył go po raz pierwszy.

Zapadł mrok. Ustawiliśmy gamelan, nad nim umieściliśmy nasz teatr cieni. Wszedłem na werandę i zbliżyłem się do tuana. Rozmawiał właśnie z regentem. Ten wydawał się czymś mocno zafrasowany.

- Nie mogłem zrozumieć, dlaczego pan do mnie nigdy nie zajrzał - przemawiał grzecznie.

- Przecież jesteśmy sąsiadami.

Dlatego postanowiłem przybyć tu dziś, aby pana o to zapytać. Może wyrządziłem panu jakąś przykrość wbrew swojej woli?

Zirytowałem się. Czyżby ten człowiek istotnie nie domyślał się swojej winy? Po co on o to pyta? Pochyliłem się szybko.

- Panie - szepnąłem znowu doktorowi do ucha - nasze drzewa są znacznie piękniejsze niż tamte...

Tuan poruszył ręką zniecierpliwiony. To był zły znak.

- Byłem przekonany, że pan się domyślił - oświadczył sucho. - Przecież to pan kazał wyrąbać drzewka w moim ogródku.

No, nie wytrzymał!... Tak, tak, on był bardzo przywiązany do drzew. Wycinanie ich bez potrzeby uważał za zbrodnię. Regent speszył się i to mi dodało ducha.

- Rzeczywiście tak było - przyznał ze skrucą. - Moja wina, nie mogę temu zaprzeczyć.

Nie wiem dlaczego, zrobiło mi się go żal. Był draniem, bo wyciął drzewa, i co do tego nie mogło być wątpliwości. Właściwie doktor słusznie zrobił, że mu to wreszcie wygarnął. Ale czy wolno było mieć dalej do niego pretensję? Była w nim jednak silnie zakorzeniona uczciwość. Palnął kiedyś głupstwo, ale to przecież może się zdarzyć każdemu. Inny na jego miejscu tłumaczyłby się zawile, bronił, może nawet zaatakował, gdyby nie miał innego wyjścia, a ten od razu uznał swą winę. To należało ocenić. Postanowiłem zakończyć sprawę.

- Panie - szepnąłem raz jeszcze - niech on teraz za karę dba o nasz ogródek, dopóki nie przyjdzie tu pański następca.

W trudnych chwilach zawsze miałem doskonałe pomysły. Doktor rozpromienił się, gdy tylko usłyszał. Powtórzył natychmiast me słowa. Regent też był zachwycony tą propozycją.

Kiedy więc udało mi się zakończyć szczęśliwie ten sąsiedzki spór, zapytałem tuana, czy wając_kulit może rozpocząć grę.

- Oczywiście - zgodził się natychmiast. - Możemy nie zdążyć do rana.

Powiedział to żartobliwie, gdyż nie orientował się, że nasze przedstawienie rzeczywiście będzie się ciągnęło bardzo długo. Zszedłem na dół i zająłem miejsce dalonga. Uderzyłem z rozmachem w gong.

Gamelan zanucił miękko.

A potem, o przyjaciele, po raz pierwszy w życiu przemówiłem publicznie, wobec licznych słuchaczy. Opowiadałem te same dzieje, którymi przed kilku dniami zmiażdżyłem Demona Goryczy. Przemawiałem teraz w naszym języku. Ludzie byli oczarowani. Nigdy dotąd nie słyszeli tego rodzaju historii.

Niekiedy spoglądałem w górę. O dziwo, panowała tam również kompletna cisza! I widziałem płonące cygaro mojego tuana. Żarzyło się ciągle, ale drgało coraz silniej, jak gdyby

człowiek, który je trzymał, uległ głębokiemu wzruszeniu. Potem już nie zwracałem na to uwagi. Przedemną wyrastali nowi bohaterzy, bój się toczył zaciekle, bagnety uderzały z trzaskiem o szablę. Zapomniałem o wszystkim, co mnie dookoła otacza. Porwała mnie czarowna opowieść - pierwsza opowieść polsko_indonezyjska, jaka się zrodziła na Jawie.

Noc była piękna, chociaż bezksiężycowa. Ze stoków Slametu napływał cudowny aromat kwiatów i ziół. Tak samo jak dziś zawodziły swoją odwieczną pieśń niezmordowane piewiki....

O bracia, uderzam w gong!

Dawne to czasy, wspomnienia bardzo odległe, ale zawsze bliskie sercu, które o nich pamięta. Niezapomniane to chwile, gdy Kagok koło Tegalalu żegnał Dutura z Rajskiego Ogrodu...

Płynęły wtedy słowa niezwykle, gamelan grał. Prześlicznie grał...

XXII

O przyjaciele, uderzam ponownie w gong!

Minęły czasy Kagoku, zaczniemy działać na innym terenie. Szlachetny Ardżuna zdecydował, że tuan Borski ma przybyć na Jawę. Nie wypuści go więc stąd, dopóki nie wypełni on w całości zadań, które na niego nałożył. Nasza stacja doświadczalna miała być założona w Wedi Koto Klaten. Była to zupełnie nowa placówka. Przez szereg miesięcy nie potrzebowaliśmy się tam osiedlać na stałe, gdyż trzeba było najpierw przeprowadzić wiele badań szczegółowych, które można było zorganizować tylko w dobrze wyposażonych pracowniach. Znaleźliśmy się więc znowu w Bogorze. Przyjęto nas z oznakami wielkiego szacunku. Dyrektor Treub wyszedł po nas na dworzec, i to w asyście wszystkich swoich współpracowników. Nawet dziwiłem się temu, gdyż tu nie było takich zwyczajów. Dopiero mój ojciec, mądry Paidan, wyjaśnił mi wkrótce przyczynę.

- Tuan stał się sławny - rzekł dobrotliwie. - Jego zwycięstwo nad dongkellanem zjednało mu powszechne uznanie. Wiesz przecież, że nikt nie mógł dać sobie z nim rady od lat.

To prawda. Byłem bardzo zadowolony.

- To jednak nie wszystko - ciągnął dalej mój ojciec. - Przeglądałem w naszej bibliotece sprawozdania stacji doświadczalnej w Kagoku, a także czasopisma naukowe niemieckie i polskie. Wszędzie znajdują się jego artykuły. Wynałaził przy tym leptominę, a to też przyczyniło się do rozgłosu. Treub jest nim zachwycony. Jak ten człowiek musiał tam ciężko pracować!...

Pokiwałem głową. Mógłbym coś na ten temat powiedzieć. Gdyby oni wiedzieli wszystko!

Ojciec odgadł widocznie z mojego wyglądu, że coś ukrywam, bo zaskoczył mnie zniecka pytaniem:

- A co to było z tym Duturem z Rajskiego Ogrodu? Nasi ludzie opowiadają tu różne cuda. Widziałeś go kiedy?

Uśmiechnąłem się. Oczywiście widziałem. Opowiedziałem ojcu wszystko. Przed nim nie miałem żadnych tajemnic.

- To bardzo dobrze - ucieszył się szczerze, gdy usłyszał całą historię. - Naszym ludziom też trzeba pomagać. Wiedziałem od pierwszej chwili - dodał serdecznie - że ty będziesz doskonale do niego pasował. A pamiętasz, jak to bałeś się początkowo iść do niego do pracy?

Roześmialiśmy się obaj i zaczęliśmy mówić o pocziwym Mijunie. Potem przeszliśmy do spraw bliższych i poważniejszych.

- Z tym tytoniem będzie więcej kłopotu - ojciec wprowadzał mnie powoli w nowe zadania. - Nasz dyrektor próbował przeciwstawić się klęsce, powierzając tę pracę różnym uczonym. Niestety, nic z tego nie wyszło. Podobno marnieją nawet wielkie plantacje. Cała jego nadzieja teraz w tuanie Borskim.

Machnąłem ręką lekceważąco. Cóż miał dla nas za znaczenie jakiś tam nowy Demon Zniszczenia? Z tyłu już zrobiliśmy potulne bydłatka, to i tego się jakoś ułoży. Najważniejsze to wprawa.

Wyłożyłem ojcu swoje poglądy.

- Pewnie masz dużo racji - zgodził się ze mną. - Należy jednak być czujnym. Każdy demon wygląda inaczej i ma swoje własne narowy.

To dało mi do myślenia. Bardzo szanowałem ojca i wiedziałem, że słów nie rzuca na wiatr. Jeśli doradzał ostrożność, nie robił tego bez poważnego powodu.

Następnego dnia spotkaliśmy się z doktorem w herbarium. Zamieszkał tymczasem u naszego dyrektora w jego nowym domu nad stawem, toteż tam nie byłem potrzebny. Wyglądał świetnie, tryskała z niego energia, oczy błyszczały wesoło.

- Wynająłem dom w pobliżu Ogrodu - wyjaśnił na wstępie. - Będziemy mieli własny ogródek, jak w Kagoku.

To była przyjemna wiadomość. Lubiałem kwiaty tak jak i on.

- W jednym z pokoi urządzaj wają - ciągnął dalej, nabierając coraz lepszego humoru. Musisz mnie nauczyć tej sztuki.

Cudowny pomysł! Oczywiście, będę go uczył. Jeśli tym się zajmie - nie ma mowy, aby jakiś demon mógł nam kiedykolwiek zaszkodzić. Odpadną poważne kłopoty, uporamy się szybko z tytoniem.

- Meble też zamówiłem - dodał po chwili. - Ustaw wszystko w czasie mojej nieobecności. Pamiętaj o waju i o pracowni. Jutro wyjeżdżam do Klaten.

Przeraziłem się nagle. Jak to, ten człowiek zamierza wybrać się w tak daleką podróż beze mnie? Cóż on tam robi?

Widocznie musiał zadać sobie to samo pytanie, gdyż zaraz dodał uspokajająco:

- Nie będę tam prowadził badań. Przejrzemy z dyrektorem Treubem plantacje, wybierzemy chore okazy i sprowadzimy je do Bogoru.

Odetchnąłem z ulgą. Ha, jeśli tak...

- Poza tym muszę tam, w Wedi Koto, urządzać powoli normalną stację - odezwał się znowu. - Trzeba wydać różne zarządzenia i przygotować laboratorium. Pewnie za jakieś pół roku znowu będziemy się przeprowadzać.

To mnie nie zaskoczyło. Nauczyłem się z nim wędrować. Jedna przeprowadzka mniej czy więcej nie miała żadnego znaczenia.

- W porządku - skinąłem głową, zadowolony z takiego obrotu sprawy. - Gdy tuan powróci, wszystko będzie gotowe.

- Tylko nie zapomnij o urządzeniu laboratorium - przypomniał raz jeszcze. - To ważna sprawa.

O mało się nie obraziłem. Cóż to - nie znał mnie jeszcze? Czy mogłem zapomnieć o tym choćby na chwilę? Gdzie prowadzilibyśmy nasze hodowle? Gdzie umieściłbym zresztą mikroskop profesora Rostafińskiego?... Cisnęły mi się na usta gorzkie słowa prawdy, lecz gdy spojrzałem na niego, złe myśli od razu przysły. Był tak szczęśliwy, że nie wolno mu było psuć dobrego humoru. Chociaż więc jeszcze po drodze na dworzec dawał mi różne zbyteczne rady, nie miałem mu tego za złe i pożegnałem serdecznie jak zwykle. Wiadomo - lubił się troszczyć o wszystko, a o to nie można mieć przecież pretensji.

Dom był niewielki, znacznie mniejszy od tego w Kagoku, ale przytulny. Sprowadziłem meble, porozstawiałem wszystko, a potem oczyściłem ogródek.

Po tygodniu mogłem sobie odpocząć. Zasiadłem na werandzie i oddałem się drzemce.

Minęło znów kilka dni, a tuan nie wracał. Nic dziwnego, sprawy tam musiały wyglądać bardzo poważnie, jeśli wyjechał z nim nawet profesor Treub. Wałęsałem się tymczasem po Ogrodzie, gdyż zabrakło mi teraz roboty. Odwiedzałem znajomych, gawędziłem beztrosko lub, dla odmiany, pomagałem innym przy pracy. Po pewnym jednak czasie znudziło mi się to wszystko. Czy mogło być zresztą inaczej? Przebywałem przecież zbyt długo z doktorem. Człowiek zaraża się od innych tak samo pracowitością, jak i nieróbstwem. Posiadałem przy tym wspaniałe Elmu Wytrwania, a ono nie daje spokoju. Tu zaś, jak na złość, wszystko znajdowało się w idealnym porządku. Okna błyszcząły czystością, lśniły klamki, ogródek rósł. Przestały mnie w końcu nęcić nawet wizyty. Całe dni spędzałem na werandzie, wpatrując się osowiały w młode pędy, które energicznie wydobywały się z ziemi.

Któregoś dnia, gdy tak siedziałem beczynnym, panująca naokoło cisza stała się tak męcząca, że aż świdrowało w uszach. Zacząłem się zastanawiać. Czegoś mi brakowało w tym domu. Było tu ładnie, blisko do naszego wielkiego Ogrodu, niedaleko mieszkali moi rodzice i przyjaciele, a mimo to czułem się źle. Inaczej było w Kagoku. Człowiek znał każdy kąt, najmniejszy drobiazg był dla niego miły i bliski... Długo szukałem przyczyny, aż ją wreszcie znalazłem! Potem zaś ze zwykłą sobie energią zacząłem zmierzać prosto do celu. Dom był do tej pory szczelnie zamknięty w obawie, aby jacyś nieproszeni goście nie uwili tu sobie gniazdko. Teraz otworzyłem drzwi do pracowni i w jednej ze ścian, przy podłodze, wybiłem dziurę. Tynk odpadł na dość dużej przestrzeni, ale tego nie wziąłem do serca. Za to właściwy krok został wreszcie zrobiony.

Wieczorem po raz pierwszy zostawiłem drzwi szeroko otwarte. Zjawiłem się przed świtem i przyciąłem w kącie. Nie zawiodły mnie moje rachuby. Pokazała się, gdy tylko silniejszy promień słoneczny uderzył w okna. Była bardzo poważna, mało ruchliwa, ale wyglądała dość sympatycznie. Za nią ustawiła się druga...

Wyprostowałem się i wysunąłem naprzód, aby się im przedstawić. Spojrzały na mnie w zamyśleniu, a potem bez pośpiechu, jedna za drugą, zeskoczyły ze stopni werandy.

To było już coś! Miałem poczciwe zaby, dom więc powinien odtąd wyglądać inaczej. Były wprawdzie tylko dwie, lecz to nie mogło mnie do nich uprzedzić. U nas, na Jawie, wszystko mnoży się szybko.

Zadowolony z tych pierwszych sublokatorów, wszedłem do pokoju, aby poszukać następnych. U pułapu wisiał olbrzymi kalong.

Ten mi nie był potrzebny. Zwierz, który ma skrzydła, sprawia na każdym z nas przykre wrażenie. Wyprosiłem go więc grzecznie i zacząłem szperać po kątach. Skorpionów znalazło

się sporo, ale że to nie są towarzysze dla przyzwoitego człowieka, więc je przepędziłem. Salamandry uciekły same, są to bowiem zwierzęta płochliwe. Zaraz jednak wydałem okrzyk radości. Siedział sobie pod oknem i drzemał. Popatrzył na mnie bacznie, lecz zaraz się uspokoił. Tak, ten nie opuszcza domu, gdzie otwierają mu drzwi. Jest więc i gekko! Zupełnie tak samo jak w naszym domu w Kagoku...

Przeгнаłem więc resztę towarzystwa, które było mi niepotrzebne, a potem usiadłem w fotelu. Wyciągnąłem przed siebie nogi i zagwizdałem wesoło. Wkrótce oddałem się słodkiej drzemce. Teraz mogłem tu nawet spać.

Przed wieczorem powrócił doktor, jakby wyczuł, że dom jest nareszcie przygotowany na jego przyjęcie. Oprowadziłem go wszędzie, lecz dopiero na końcu weszliśmy do naszej pracowni. Usiadł, ja zaś podsunąłem mu usłużnie cygara.

- Miałeś gości? - zapytał jakby lekko zdziwiony.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Skąd mu to przyszło do głowy? Zaprzeczyłem natychmiast.

- Byłem przekonany, że ktoś tu zaglądał - rzekł kręcąc głową. - Zdawało mi się, że kiedy wyjeżdżałem, brakowało w tym pudełku tylko jednego cygara...

Ten człowiek miał cudowną pamięć. Rzeczywiście tak było.

- To prawda - potwierdziłem z uznaniem. - Ale gości nie miałem. Sam wypaliłem. Strasznie mi się nudziło.

Roześmiał się. Gdzieżby mu tam chodziło o takie drobnostki!

- W takim razie zapal jeszcze - podsunął mi uprzejmie kasetkę.

- Usiądź. Czeka nas wielka robota.

Zaczął mi opowiadać o swojej podróży. Niespodziewanie uniósł głowę do góry. Gekko właśnie wysunął się z kąta i śmignął na sufit.

- Hm... - mruknął. - Już jest?

- Jest - potwierdziłem z godnością.

Za drzwiami dało się słyszeć pełne powagi stąpanie. Zerwałem się z miejsca i szybko uchyliłem drzwi. Weszły obie. Przesunęły się uroczyście przez pokój, zajrzały na chwilę do nory i zaraz wylazły. Ustawivszy się pod ścianą, rozpoczęły swą normalną robotę.

- Hm... - mruknął tuan powtórnie. - I one też?... Zupełnie jak tam, w Kagoku...

Uśmiechnął się. Był bardzo zadowolony. Tak samo zresztą jak ja.

Następnego dnia, punktualnie o szóstej, przystąpiliśmy do pracy w laboratorium. Ranek jest u nas zawsze świeży, przyjemny i chłodny, toteż o tej porze pracuje się doskonale. Z boku znajdowały się skrzynie, w których przywieziono zebrane koło Klaten rośliny. Było ich bardzo dużo, toteż popatrzyłem na nie trochę nieufnie. Nie zdarzyło się jeszcze, abyśmy zajmowali się od razu tak wielką ilością okazów.

- Otwieraj - przynaglił doktor, widząc, że się nie ruszam. - Układaj wszystko na stołach.

Jego dobry humor dodał mi natychmiast energii, uwinąłem się szybko. Gdy jednak przyjrzałem się teraz leżącym przede mną roślinom, zrobiło mi się jakoś nieswojo. Wyobraźcie sobie, moi mili, że zaprowadzono was na pole, gdzie jeden przy drugim leżą ludzie ciężko chorzy, którym w oczy zagląda śmierć. Jedni są owrzodzeni, inni wycieńczeni gorączką, upstrzeni wysypką, to znów, dla odmiany, gęsto pokryci różnobarwnymi plamami. Nasunęło mi się takie właśnie porównanie, gdy patrzyłem na tytoń. Nie było tam ani jednej zdrowej łodygi, liście zaś sprawiały upiorne wrażenie zarówno swoim wyglądem, jak i beznadziejną martwością.

Westchnąłem ciężko. Zrobiło mi się żal tych biednych roślinek, które Demony Zniszczenia potraktowały tak okrutnie, ale doktor nie pozwolił mi odpoczywać. Był zresztą tak samo wstrząśnięty tym widokiem jak ja.

- Trzeba je teraz posegregować - zwrócił się do mnie. - Wybieraj takie, które mają skręcone liście.

I tak zaczęła się ta wielka robota, która miała uratować w przyszłości przed zgubą olbrzymie plantacje na Jawie i na Sumatrze. Jak zwykle, najpierw poznawaliśmy nieprzyjaciela. Okazało się po dokładnym zbadaniu, że nie krył się tam jeden wróg, ale przyczaiło się ich aż dziewięciu. Niektórzy byli mało szkodliwi, toteż machnęliśmy na nich ręką, aby zabrać się przede wszystkim do tych najgorszych. Taka na przykład Phytophthora Nicotianae, albo choroba mozaikowa to dopiero byli godni nas przeciwnicy! Na zewnątrz udawały skromnisie. Nim się jednak ktoś spostrzegł, już całe pola leżały martwe, a co najmniej - traciły całkowicie swą wartość.

Zabraliśmy się do nich ostro, lecz zmęczyliśmy się szybko. Były to bardzo twarde demony.

- Nic nie szkodzi - uspokoił mnie kiedyś doktor, gdy okazałem zniecierpliwienie. - Wcześniej czy później dobierzemy im się do skóry. Trzeba będzie przede wszystkim oswoić tę Phytophtorę.

Bardzo mi odpowiadał ten pomysł - hodowanie bowiem Demonów Zniszczenia, jak już wiecie, o moi mili, to moja wielka specjalność. Jest to zresztą przyjemna robota. Karmicie to tałatajstwo, podsuwacie najlepsze kąski, obserwujecie pilnie, a gdy podrośnie, znacie na wylot wszystkie jego podstępny i tajemnice. Sęk tylko w tym, że niełatwo odgadnąć, co mu najlepiej smakuje. Tak było i teraz. Doktor przygotowywał mu najrozmaitsze, niekiedy bardzo wyszukane pożywki. Pilnowałem osobiście, aby demoniki miały wszystko na czas. Mimo to po dwóch miesiącach troskliwych zachodów wystrychnęły nas obu na dudków. Prawie wszystkie hodowle upadły, a te, które jeszcze wegetowały, znajdowały się również u progu śmierci.

Chodziłem osowiały. Przykra to rzecz, gdy człowiek już się cieszy na myśl, że wkrótce będzie miał ładną trzódkę Demonów Zniszczenia, które pogna jak bawoły czy owce, a tu niespodziewanie zrobią mu takiego psikusa. Doktor też się tym przejął, ale że pracował w tym czasie również nad ratowaniem chorych liści za pomocą odpowiedniego suszenia i fermentacji, przeżył łatwiej tę wielką tragedię. Przygotował inne pożywki, hodowlę rozpoczęliśmy od nowa.

Czułem podświadomie, że i z tego nic nie wyniknie. Pracowałem jednak gorliwie, po pierwsze dlatego, że posiadałem wspaniałe Elmu Wytrwania, a po drugie, że w walce z

Demonami Zniszczenia rodzi się zawsze w moim sercu straszliwa zaciętość. Toteż krążyłem nieustannie między laboratorium i naszą domową pracownią, bo i tutaj prowadziliśmy roboty. Podkarmiłem tę Phytophorę, jak mogłem. Czegoż jednak dobrego można spodziewać się po demonie! Jego niewdzięczność jest straszna. Znowu zaczynał marnieć.

Którejś nocy obudziłem się nagle, wydało mi się bowiem, że ktoś chodzi po domu. Nasłuchiwałem przez chwilę. Tak, nie mogło być wątpliwości... Stuknęły drzwi od pracowni, ktoś musiał wejść tam do środka. Zerwałem się z łóżka i podszedłem ostrożnie. Lampa była zapalona, przez okno ujrzałem w głębi tuana. Przyglądał się właśnie hodowłom.

- A, to ty, Nong_nong! - ucieszył się, gdy mnie tylko zobaczył. - Podaj glukozę... Potem wymieniał po kolei inne chemikalia, ja zaś zwijałem się jak w ukropie. Godzina wprawdzie była późna, lecz człowiek przyzwyczał się przy nim do takiej pracy. Czułem zresztą w powietrzu coś niezwykłego. Jeśli tuan zabierał się niespodziewanie do roboty w godzinie duchów, byliśmy zawsze u progu wielkiego odkrycia.

- No, chyba teraz jej dogodzimy - mruknął przygotowując nową pożywkę. - Jest i cukier, i mleczko, a na to się chyba złakomi.

Zatarłem ręce z zadowolenia, bo wiedziałem, że demony są bardzo łase na takie specjały. Starannie przygotowałem miejsce pod nową hodowlę. Wysypaliśmy inne zarodniki; doktor pochylił się, przyglądając się wszystkiemu z uwagą.

- Może tak zostać - przemówił pogodnie. Zapijemy to w naszym notesie na wieczną rzeczny pamiątkę...

Otworzyłem natychmiast księgę w miejscu, gdzie robiliśmy ostatnio notatki. Tuan podkreślił wszystko.

- Zaczynamy od początku - oświadczył. - Twarda to jednak sztuka... No, ale tym razem z pewnością nam się nie wymknie!

- Też tak sądzę - zgodziłem się bez zastrzeżeń, bo powodzenie wyczuwa się szybko. - A teraz zgaśmy lampę i chodźmy spać - dodałem po chwili - Demony Zniszczenia nie lubią, gdy patrzy się na nie.

Doktor też o tym wiedział, więc nie miałem z nim żadnych kłopotów. Jestem jednak pewien, że nie zasnął tej nocy. Taki on już był. Każdą sprawę musiał przemyśleć do końca.

XXIV

Jak świetnie słycać każdy dźwięk w tej ciszy, która otacza nas naokoło!... Umilkło wszystko, nawet piewiki poszły już spać. Jedyne na zboczach Salaku odzywa się niekiedy jakieś przeciągłe, głuche dudnienie, ale i ono nie ma tej siły, jaką posiadało wieczorem...

Między wami rozległ się szmer, który zawsze towarzyszy mym słowom w najciekawszych miejscach tej opowieści. Tak, przyjaciele, domyślacie się słusznie. Udało nam się wygrać tę walkę. Zająła ona pół roku, ale nie narzekaliśmy, bo przybliżyła nas bardzo poważnie do ostatecznego zwycięstwa.

Nie była to zresztą nasza jedyna robota. Wiedzieć, co demon lubi i jak rośnie, to jeszcze nie wszystko. Trzeba było zorientować się także, w jaki sposób przenosi się z miejsca na miejsce, któredy atakuje i czy nie ma wpływu na inne rośliny. Należało przy tym przykrócić trochę i inne demony, a zwłaszcza te, które powodowały chorobę mozaikową. Szły więc na warsztat setki preparatów mikroskopowych; w Wedi Koto i w naszym ogródku powstały półka doświadczalne, pracowały bez przerwy suszarnie. Roboty było huk, rosły stopy notatek. Aż wreszcie znudziło mi się to wszystko. Człowiek przyzwyczał się do wędrówek i walk, a tu ślęcz teraz, bracie, nad tą Phytophthorą i znoś cierpliwie jej najrozmaitsze wybryki.

Nasz Ogród bogorski, nie ma co mówić, jest pięknym ogrodem i nie ma na całym świecie drugiego, który mógłby mu dorównać pięknnością. Jeśli jednak jesteście skazani wyłącznie na krążenie między laboratorium a domem na ulicy Pocztovej, to może wam się w końcu pomieszać w głowie. Śmiejecie się? Co - niejeden z was robi to samo przez całe życie?... Możliwe, ale przecież żaden z was nie pracował nigdy z tuanem Borskim. W nim zaś żarzył się nieustannie bunt, więc i mnie się on w końcu udzielił.

Dziwiłem się nawet, że doktor potrafił do tej pory zachować spokój. Jak na złość, wszystko układało się bez żadnych wybuchów, nie zaglądał do nas zupełnie ani Demon Gniewu, ani Demon Goryczy. Mimo woli zacząłem żałować tych dawnych dobrych czasów, kiedy to człowiek nie dospał, nie dojadł, niekiedy drżał nawet ze strachu, ale nie potrzebował przynajmniej narzekać na nudę.

Zastanawiałem się coraz bardziej, jak by to życie ułożyć nieco ciekawiej, gdy zaczęły spadać na mnie nieszczęścia. Któregoś dnia postanowiłem oczyścić jedną komórkę z mrówek, które uwiły tam sobie gniazdo. Wziąłem naręcz niegaszonego wapna, ale że było bardzo gorąco, więc ogarnęło mnie lenistwo i postanowiłem skrócić sobie drogę przez grządki. Jak to najczęściej bywa w takich przypadkach, natychmiast spotkała mnie kara. Potknąłem się, kawałki wapna rozleciały się naokoło, dwie łodygi tytoniu złamałem. Większe grudki podniosłem, ale na drobiazg machnąłem ręką. Zapomniałem o tym wkrótce, w południe bowiem, jak to zwykle u nas w Bogorze, spadł deszcz i rozpląnęło się wszystko. Za to w kilka dni później rozpętało się piekło. Tuan tam zajrzał i naraz zaczął kłąć po polsku, po niemiecku, po holendersku i jeszcze w wielu innych językach, o których dotąd nie miałem najmniejszego pojęcia. Przechyliłem się przez werandę i spojrzałem w dół. Nie mogę zaprzeczyć - miał powody do złości. Kilkanaście roślin leżało martwych.

- Nong_nong - wrzasnął z wściekłością - a to co? Wskazywał na białe plamy, które deszcz wprawdzie rozmył, ale nie zdołał ukryć wszystkiego pod ziemią.

- Wapno - odparłem dość obojętnie, bo nareszcie zaczęło coś się dziać w tym domu. - Wypadło mi z rąk.

Tuan wymyślał jeszcze przez chwilę, lecz widząc, że nie zdoła zniweczyć mojego kamiennego spokoju, odszedł zdenerwowany do Instytutu. Za to następnego dnia wyprowadziłem go z równowagi na dobre. Słój, który chciałem mu właśnie podać, wypadł mi nagle z rąk i płyn znajdujący się wewnątrz zapryskał jedną z hodowli.

- Nong_nong - wybuchnął - co się z tobą dzieje? Niszczysz pracę wielu miesięcy!

Urągał tak jeszcze przez długi czas, a mnie naraz zrobiło się wstyd. Nie dlatego, że kłął, bo potrafiłem sobie przecież świetnie radzić z Demonem Złości. Nie wypadało jednak, abym ja, Nong_nong, syn mądrego Paidana, zachowywał się tak niezgrabnie. Byłem na siebie zły.

Na dobitkę zaś ojciec wezwał mnie wieczorem do siebie. Ktoś mu musiał donieść o wszystkim.

- Źle się zachowujesz, mój synu - skarcił mnie ostro. - Osiągnąłeś w czasie współpracy z tuanem wspaniały skarb - Elmu Wytrwania. Teraz tracisz go bezpowrotnie.

To był dla mnie potężny cios. Przeraziłem się nie na żarty. Stracić elmu, i to Elmu Wytrwania!... To przecież klęska. Mój bunt i nuda przedstawiły mi się naraz w zupełnie odmiennym świetle. Postanowiłem wziąć się porządnie w garść.

Od tego dnia stałem się znowu uważny i pracowity jak dawniej. Niestety, nie mogłem już odrodzić tytoniu, który zmarniał na grządkach. Gineła także w oczach spryskana przeze mnie hodowla. Siadywałem teraz przy niej często i wpatrywałem się w nią z przejęciem, jak gdyby moje serdeczne myśli mogły ją przywrócić do życia.

Tuan zauważył widocznie to przygnębienie, gdyż któregoś dnia przybliżył się do mnie i łagodnym ruchem położył rękę na moim ramieniu.

- Zmęczyła cię ta żmudna robota - przemówił ciepło. - No cóż, trzeba mieć dużo cierpliwości, jeśli chce się uzyskać wyniki. Nie wszystko udaje się szybko.

Zwiesiłem smętnie głowę. Cóż mogłem mu odpowiedzieć? Miał rację.

- Wierz mi, Nong_nong, że i mnie jest nieraz niełatwo... - w głosie tuana wyczułem po raz pierwszy wielkie zmęczenie. - Człowiek chciałby niekiedy rzucić to wszystko, a jednak trzyma mnie obowiązek. Czy można zrezygnować z walki, gdy tam padają całe plantacje?

Podniosłem głowę wzburzony. Nie można! Pierwszy bym go powstrzymał, gdyby chciał tę pracę porzucić!

- Nie, panie - przemówiłem z mocą. - Musimy wytrwać. Musimy zwyciężyć!

Uśmiechnął się życzliwie, jak to on tylko potrafił.

- Wobec tego przestań się martwić - powiedział już zupełnie normalnie. - Przygotuj pajong i chłopców. Jutro wybierzemy się na wycieczkę. Dobrze ona zrobi i tobie, i mnie.

Od razu rozbłyły mi oczy.

- Szukamy grzybów? - spytałem szybko. - Bardzo zaniedbaliśmy ostatnio naszą kolekcję.

- To prawda. Nie powinieneś jednak zapominać, że Phytophthora to również grzyb.

- Ale ma nazwę! Nam zaś zależy przede wszystkim na tych demonach, których nikt jeszcze nie odkrył!

Widziałem, że ucieszył się szczerze z mego zapału. Wiadomo - grzyby były nie tylko moją słabostką.

- A nie zapomnij o parasolu - dodał poważnie, chociaż czułem, że za tymi słowami kryje się żart.

Uśmiechnąłem się chytrze. Rozumiałem, że pajong należy zabrać. Nie znajdowaliśmy się przecież w Kagoku, ale w Bogorze, gdzie mieszkał dyrektor Treub i generalny gubernator. Tu przykładano wiele wagi do zewnętrznych pozorów.

- Dobrze - odpowiedziałem. - Będzie śliczny pajong, odpowiadający wysokiej godności tuana.

Było nas ośmiu. Szliśmy, jak zwykle, gęsiego, ja niosłem za tuanem parasol. Część chłopców brała już dawniej udział w naszych wycieczkach. Na innych, chociaż szli po raz pierwszy, mogłem również polegać. Byłem spokojny. Niejeden będzie się dziwił, ale nie ma między nimi żadnego, którego mógłby opętać paskudny Demon Głupoty.

Przechodziliśmy wówczas koło miejsca, gdzie obecnie siedzimy. Właśnie gdy znaleźliśmy się tutaj, pierwszy promień słońca uderzył w wierzchołek Salaku. Tam, trochę wyżej, zaczynał się wtedy las. Ledwie do niego wkroczyliśmy, tuan natychmiast przystanął.

- Rzuć! - oświadczył krótko.

Wiedziałem doskonale, co to słowo oznacza, lecz tym razem nie wykonałem rozkazu.

- Panie - ostrzegłem go - tuan dyrektor wybiera się również dziś na wycieczkę. Możemy go spotkać.

Doktor zastanowił się. Chociaż był buntownikiem, potrafił postępować ostrożnie.

- Rzuć - powtórzył po chwili. - Salak jest wielki. Na pewno się nie spotkamy.

Nie potrzeba mnie było dłużej zachęcać, pajong bowiem był ciężki i niewygodny. Spojrzałem na nowych chłopców. Byli bardzo zdziwieni, lecz nic nie dali poznać po sobie. Wyszorowaliśmy się więc z tuanem na czoło pochodu, przemknęliśmy dróżką na zachód i tam zagłębiliśmy się w las.

Drzewa były jeszcze wilgotne, krople rosy spadały ciurkiem, toteż wkrótce przemokliśmy do nitki. Również pijawki ziemne dały o sobie znać, skacząc na nas znienacka. Nie przejmowaliśmy się tym, były to zjawiska normalne. Wreszcie przystanęliśmy. Wytłumaczyłem chłopcom, o co nam idzie, i rozpoczęliśmy robotę.

Koło południa mieliśmy już sporą gromadkę demonów, ale byli to przeważnie dobrzy znajomi. Dopiero gdy odpoczęliśmy i weszliśmy ponownie na drzewa, dopisało nam szczęście. To, co teraz pokazałem, wprawiło doktora w zdumienie.

- O la, la!... - zawołał w zachwycie. - Tego jeszcze nie mamy!

Byłem dumny z odkrycia, demonik bowiem był naprawdę śliczny, a czarne i czerwone gwiazdki dodawały mu wielkiego uroku.

Tuan zmarkotniał jednak po chwili.

- Że też człowiek nie potrafi malować - westchnął z żalem. Ile by zyskały na tym me prace!

To było rzeczywiście nieszczęście. Rysować nie umiał. Szlachetny Ardżuna zapomniał widocznie o tym darze, gdy go brał pod swoją opiekę. Zrobiło mi się go żal serdecznie, toteż mój mózg zaczął zaraz pracować. Taką już miałem naturę. Jeśli tylko trzeba było komuś pomóc, natychmiast napływało mi do głowy tysiące projektów.

- Jakoś na to poradzimy - oświadczyłem beztrąsko. - Istotnie brakuje w naszych książkach obrazków. Jakże wspaniale wyglądałyby wtedy nasze paprocie! Na przykład ta...

Wskazałem ręką na najbliższe drzewo, gdzie w załomie tkwiła piękna, rozłożysta roślina, osadzona w kępie zeschniętych liści jak w koszu. Ten widok jeszcze bardziej zmartwił doktora.

- Na to nic nie poradzisz - pokiwał głową. - W Bogorze nie ma rysowników, a jeśli nawet któryś botanik posiada talent w tym kierunku, nie oderwiesz go przecież od jego własnej roboty.

To też była racja, ale się uśmiechnąłem nieznacznie. Już wiedziałem, co robić! Pomysł był świetny, lecz na razie postanowiłem go nie ujawniać. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Nową zdobycz owinąłem starannie w mech i zamknąłem w puszcze, a potem powoli, bez pośpiechu, skierowaliśmy się w stronę Bogoru. Mogła być najwyżej trzecia, mieliśmy więc czas.

Kiedy znaleźliśmy się wreszcie na ścieżce, prowadzącej prosto do miasta, wydało mi się nagle, że gdzieś z dołu dochodzi jakiś cichy, nierówny stuk. Zupełnie, jakby ktoś od czasu do czasu uderzał nogą o kamień. Nasłuchiwałem uważnie. Nie mogło być wątpliwości. Szedł przed nami Europejczyk. Tak samo jak mój doktor zaważał niekiedy o skałę, uderzenia butów były wtedy wyraźne.

- Panie - ostrzegłem przezornie - ktoś idzie przed nami...

- A niech idzie. Co to nam może przeszkodzić?

Nie zrozumiał, o co mi chodzi.

- To nie krajowiec - wyjaśniłem ostrożnie. - My przecież chodzimy boso, więc nas nie słychać. To obcy...

Doktor popatrzył na mnie uważnie.

- Sądysz - zapytał - że to dyrektor Treub?

Skinąłem głową w milczeniu. Byłem nawet tego pewny. Któż inny mógł się włóczyć o tej porze po górach? Tylko naukowiec, a wiedziałem, że dziś nikt nie wybierał się na wycieczkę poza nami i dyrektorem.

Tuan zwolnił kroku, jakby się wahał. Miał już raz przeprawę z powodu pocziwego Mijuna. Nie chciał się ponownie narażać.

Wzdrygnąłem się w tym momencie, tamci bowiem musieli nas także usłyszeć. Człowiek w butach zatrzymał się nagle.

- Panie - szepnąłem w trwodze - czekają na nas!...

- Ech, zdaje ci się! - mruknął doktor zdenerwowany. - Zatrzymali się pewnie przed jakąś przeszkodą.

To było możliwe, gdyż po chwili znowu usłyszałem stąpania. Nie wyzbyłem się jednak niepokoju i starałem się jak najbardziej opóźnić marsz. Ścieżka wiła się kręto, ale prostowała się powoli i wreszcie pobiegła równo. Wiedziałem, że zaraz zakręci i opadnie zakosem w przeciwnym kierunku. Uszliśmy jeszcze kilkadziesiąt kroków, a wtedy zerknąłem w bok. Zmartwiałem. Niżej, pod nami, przesuwiała się długa kolumna. Wiedziałem, kogo tam ujrzę, ale mimo to zrobiło mi się zimno, gdy zobaczyłem wreszcie poprzez gałęzie słomkowy kapelusz naszego dyrektora z Bogoru. Nie wiem dlaczego, wydało mi się, że to on przed nami ucieka. Zachowywał się jakoś nienaturalnie. Sadził wielkimi krokami na czele swoich tragarzy, ci z trudem starali się za nim nadążyć. Doktor też na to zwrócił uwagę.

- Hm... - mruknął tak jakoś pogodnie, że to od razu dodało mi ducha. - Nong_nong, biegiem!

Skoczył pierwszy, a ja i inni, chcąc nie chcąc, musieliśmy go naśladować w tym niezrozumiałym szaleństwie. W miarę jednak jak się do siebie przybliżaliśmy, zaczęło mi się przejaśniać w głowie. Dyrektor też nie miał przy sobie pajonga! Prawdopodobnie połamał go gdzieś na wąskich ścieżynach, co się nieraz zdarzało. Tuan widocznie sądził, że mu sprawa ujdzie teraz na sucho.

Tamci zniknęli poza zakrętem, ale zaraz ich dopadliśmy. Dyrektor zatrzymał pochód. Był mocno zafrasowany.

- A, to pan, doktorze - przemówił, starając się zdobyć na uśmiech, chociaż wyszło to bardzo niezdarnie. - No, to chodźmy razem...

Widać było, że wcale nie był zadowolony z tego spotkania. Dziwiłem się nawet w duchu, bo uchodzili za parę dobrych przyjaciół, ale że nie przyszło mi do głowy żadne rozsądne wyjaśnienie tej sprawy, więc w końcu zająłem się innymi myślami. Ostatecznie to teraz ich sprawa, nie moja.

Profesor szedł na przedzie, nie odzywając się słowem. Za nim, również w milczeniu, kroczył doktor. Był osowiały, widocznie wyczuł, że nie przedstawia się to wszystko różowo. Spojrzałem na naszych ludzi. Orientowali się niewątpliwie, że burza czai się obok nas.

Ścieżka wyprostowała się ostatecznie, las kończył się niedaleko. Ujrzałem miejsce, z którego do was w tej chwili przemawiam, a niżej rozjaśnioną słońcem, zieloną kopułę Bogoru. Profesor przystanął. Doktor zatrzymał się również. Serce mi uderzyło nierówno. Tak, w tym właśnie miejscu pozostawiliśmy swój nieszczęsny parasol.

- Zabierz go - rozkazał. Patrzył w ziemię. Nic dziwnego, nie była to sytuacja przyjemna. Bez słowa wdarłem się w krzaki i wydobyłem z wielkimi ostrożnościami przedmiot, który narobił nam tyle kłopotu. Spojrzałem na dyrektora. Jego twarz, zazwyczaj pełna skupienia, teraz drgała nerwowo, spod ściągniętych brwi patrzyły żalobnie zamglone oczy. Skinął głową na jednego ze swoich ludzi.

- Przynieś go... - mruknął.

Człowiek zniknął na chwilę w krzakach. Gdy się znowu pojawił, unosił wysoko piękny pajong dyrektora, oznakę jego wysokiej godności i władzy.

Byliśmy wszyscy zdumieni. A więc to tak!... Spojrzałem spod oka na swojego tuana. Świsnął lekko przez zęby i wywinął z rozmachem laską, na jego twarzy nie było już śladów zmieszania. Profesor wyprostował w całej okazałości swoją wysoką postać, jakby chciał go zgromić za ten brak szacunku wobec jego osoby, ale nie zdążył, bo naraz obaj parsknęli śmiechem.

Wśród nas rozległ się cichy, stłumiony gwar. Dyrektor zmarszczył brwi.

- Chłopcy - przemówił surowo - ani słowa na ten temat w Bogorze!

Naokoło zapadła od razu cisza, gdyż poczuliśmy się głęboko dotknięci. Takie upomnienie musiało stanowić dla nas obrazę. Cóż to, nie orientował się, że między nami nie ma żadnego Mijuna? Nabrałem w płuca powietrza.

- Panie - wypaliłem ostro - nie jesteś dziećmi. Nie godzi się przypominać nam takich spraw!

Mój tuan mrugnął na mnie filuternie, więc nie zdołałem utrzymać dłużej powagi. Dyrektor dobrodusznie pogroził mi palcem, spod binokli rozbłyły iskry humoru.

- Powiedziałem to niepotrzebnie - przyznał uczciwie. - Oczywiście przy tuanie Borskim nie może być miejsca dla Demona Głupoty.

Przyjacielskim ruchem ujął mojego doktora pod rękę i ruszyli przodem. Obserwowałem ich czujnie. Dopiero teraz spostrzegłem, że mimo różnicy wzrostu byli bardzo do siebie podobni.

Ta wycieczka dobrze nam obu zrobiła. Ja nie tylko odetchnąłem, ale nabrałem nowej ochoty do życia. Nareszcie mogłem wrócić do swoich grzybów, a chociaż i przy tytoniu roboty było niemało, to jednak starczyło czasu, aby zająć się tym, co lubiłem najbardziej.

Zaraz po powrocie wyjąłem z puszki naszej trofea i rozłożyłem je ostrożnie na stołach. Następnego zaś dnia udałem się do drukarenki przy naszym zakładzie. Należało zrealizować plan, który tak niespodziewanie zrodził się w czasie wędrówki. Doktor nie umiał rysować. Trzeba więc za niego wykonać tę pracę.

Drukarnia była wprawdzie niewielka, lecz bardzo solidnie prowadził ją jakiś Niemiec, którego nazwiska dziś nie pamiętam. Właściwie była to litografia, w której wykonywano różne ilustracje do naszych wydawnictw. Pracował tam mój przyjaciel Sudermadia. Postanowiłem z nim teraz pogadać.

- Mój drogi - rzekłem wywoławszy go do Ogrodu - mam wielkie zmartwienie. Potrzebujemy kilku obrazków do naszej pracy o grzybach, a nie mam do tego zdolności. Mógłbyś mi pomóc?

- A twój tuan też nie potrafi? - zdziwił się mój przyjaciel.

Wy tłumaczyłem mu, że szlachetny Ardżuna właśnie o tym darze zapomniał. Pokiwał głową ze zrozumieniem. Zdarzały się takie wypadki.

- Dobrze, pomogę ci chętnie - zgodził się bez trudności.

Umówiliśmy się. Następnego dnia, zaraz po południu, Sudermadia zjawił się u nas w domu. Pokazałem mu demonika z czarnymi gwiazdkami.

- Mógłbyś go namalować? - spytałem trochę niepewnie.

Sudermadia przyjrzał się grzybowi uważnie. Jemu też się spodobał.

- Spróbuję - rzekł w zamyśleniu. Rozłożył farby i papier.

Obserwowałem przez pewien czas, jak rysuje, a potem skoczyłem do kuchni i przyniosłem butelkę piwa.

- Napij się - grzecznie podsunąłem mu szklanę, bo upał bardzo dokuczał.

Wypiliśmy. Sudermadia zaczął pracować z jeszcze większym zapałem. Po godzinie widziałem już nie tylko mojego demona, ale nawet liście, na których przebywał. Zapowiadało się świetnie.

- Napij się - zachęciłem go otwierając drugą butelkę.

Wypiliśmy znowu. Sudermadia rozrobił farby. Teraz malował. Tam, za oknami, deszcz lał jak z cebra, jak zwykle o tej godzinie. W pokoju zrobiło się parno.

- Napij się - przyniosłem trzecią butelkę, bo zaczęło mnie męczyć pragnienie.

Gdy i tę wykończyliśmy, mój demonik wyglądał jak żywy. Zatarłem ręce z uciechy.

- Zapal - przysunąłem przyjacielowi cygara. - Świetna robota!

Zapaliliśmy. Sudermadia jeszcze kilka razy pociągnął pędzelkiem i skończył.

- Chyba wyszło nieźle? - popatrzył ze znanstwem, podnosząc arkusz do góry.

Byłem tego samego zdania.

Widziałem wprawdzie w książkach ładniejsze obrazki, ale przecież Sudermadia nie uczył się nigdy tej sztuki. Za to jedno było pewne: grzyb nam już nie ucieknie. Ktokolwiek choć raz spojrzy na ten rysunek, nie zapomni go nigdy. I kształty, i kolory były oddane świetnie. To niesłychanie ważne w walce z Demonami Zniszczenia. Z wielkiej radości postawiłem czwartą butelkę. Uporaliśmy się z nią szybko, a potem pokazałem mu inne grzyby.

- Tych nie da się odmalować - pokręcił głową markotnie. - Nie żyją. Straciły barwy... Początkowo zmartwiłem się, ale ponieważ nie brakowało mi nigdy sprytu, więc zaraz znalazłem wyjście.

- Na to też się poradzi - oświadczyłem pogodnie. - Zbiorę nowe okazy. Byłem zaskoczony, gdy Sudermadia pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Nie pojedziesz przecież po nie ani do Tegal, ani do Garut - zauważył rozsądnie. Tak, to prawda, nie wziąłem pod uwagę tej pozornej drobnostki. Wiele z nich nie pochodziło z tej okolicy. No cóż, na to nic nie można było poradzić.

- Namalujemy więc tylko te, które znajdziemy - odparłem dość obojętnie, bo nie lubiłem zaprzętać sobie głowy sprawami niemożliwymi do wykonania. - Przyjdiesz jutro?

Miałem jeszcze dwa okazy, które przynieśliśmy z wycieczki, a którymi można było zastąpić stare. Umówiliśmy się co do godziny i Sudermadia odszedł, ja zaś zabrałem się do uprzątnięcia pokoju. Nie zakończyłem jeszcze tej pracy, gdy usłyszałem kroki. Wyjrzałem zdziwiony przez okno, doktor! Skąd on się tu wziął o tej porze? To nigdy się nie zdarzało!...

Schowałem z pośpiechem rysunek do szafy i wyszedłem naprzeciw.

- Ale duszno! - tuan otarł pot z czoła. - Daj mi coś pić.

Skoczyłem do kuchni. Gdy obejrzałem półki, serce nagle we mnie zamarło. Znajdowało się tam kiedyś piwo, ale, niestety, było to dawno... Teraz stały tylko puste butelki.

Przez chwilę nie mogłem ruszyć się z miejsca, tak mnie oszołomiło to wszystko. Nie szło już nawet o to, że wypiliśmy, bo tuan na takie drobiazgi nie zwracał uwagi. Natomiast na pewno nie wybaczy, że piwa zabrakło. Nie zdarzyło się to jeszcze w tym domu. Ale po co on przyszedł tak wcześnie? Gdyby zjawił się o właściwej godzinie, zdążyłbym kupić nowe!...

Poniosła mnie trochę złość. Domyśliłem się jednak zaraz przyczyny tego nieszczęścia. Jak zawsze - robota demona. Zemścił się za to, że go uwięziliśmy w rysunku. Przestałem się więc martwić, bo to mi mogło tylko zaszkodzić. Wiedziałem zresztą, co robić. Zajrzałem do rondla. Zapachniało przyjemnie. Oczywiście kawa. Przełałem w szklankę i zaniósłem do naszej pracowni. Tuan chodził wielkimi krokami po izbie.

- A piwa nie masz? - zapytał nie patrząc na mnie. Nasrożyłem się. Demon znów atakował.

- Zabrakło - odparłem z flegmą. - Tuan przyszedł za wcześnie.

Nie zaprzeczył, był bowiem zawsze sprawiedliwym człowiekiem. Wypił kawę i poczuł się raźniej, gdyż była rzeczywiście dobra i zimna. Zaczął znów spacerować. Obserwowałem go czujnie, gotując się do odparcia nowego ataku. Jeśli demon sprowadził go o tej porze, można się jeszcze niejednego spodziewać.

I rzeczywiście tak się stało. Przystanął niespodziewanie przy biurku i sięgnął do cygar.

- Miałeś gości? - zapytał przeciągle.

Cóż mogłem mu odpowiedzieć? Posiadał świetną pamięć, a demon potrafił to wykorzystać.

- Miałem - przytaknąłem z godnością.

Pokiwał głową ze zrozumieniem i zapalił, a potem usiadł w fotelu. Był bardzo zamyślony. Coś go dzisiaj męczyło.

- Słuchaj no, Nong_nong... - odezwał się wreszcie. - Czy pamiętasz dobrze, jaki to słój rozbiłeś wtedy w laboratorium?

Tego było jeszcze potrzeba.

Przeklęty demon! Ależ się mści! Porwała mnie wściekłość i o mało nie zakląłem w duchu po polsku, bo innych przekleństw nie znałem. Opanowałem się jednak i wyjaśniłem grzecznie. Ja też miałem cudowną pamięć, a doktor potrafił to należycie ocenić. Twarz mu się rozpozodziła od razu.

- Hm... - mruknął tak jakoś przyjemnie, że odetchnąłem z ulgą. - Kto wie? Kto wie?... Przez dłuższy czas coś tam obliczał w myśli, a potem zaczął mi się przyglądać uważnie. W oczach rozbłysły mu iskry przekory.

- Tak czy owak - przemówił bez żadnej urazy - piwo powinno być w kuchni. O ile mnie pamięć nie myli, znajdowały się tam rano cztery butelki. Wypiłeś?

Pamięć go nie myliła. Nie mogłem jednak wspomnieć o Sudermadii, bo chciałem sprawić mu niespodziankę.

- Wypiłem - potwierdziłem bez zająknięcia. - Było dziś bardzo parno...
Tuan roześmiał się.

- W takim razie skocz po nowe butelki. Przydadzą się one wieczorem...

XXVII

Wkrótce wybraliśmy się na nową wycieczkę. Tym razem nie pozwoliłem odrzucić żadnego grzyba, mimo że wiele było takich, które mieliśmy już w swojej kolekcji. Doktor dziwił się temu początkowo, lecz uspokoiłem go chytrze: - Tamte zmarniały. Musimy je wymienić. Zbiór będzie świeższy i przyjemniejszy.

Nie zorientował się, o co mi idzie, a jednak pozyskałem go całkowicie dla sprawy. Sudermadia miał więc wspaniałe modele, a że był porządnym człowiekiem, pracował rzetelnie. Po dwóch tygodniach mieliśmy kilkanaście gotowych rysunków. Postanowiłem wreszcie wtajemniczyć w tę sprawę tuana.

Był już najwyższy czas, bo doktor, chociaż do drobiazgów nie przywiązywał wagi, chodził coraz bardziej pochmurny. Zląłem się, że zaniepokoiło go piwo. Po każdej wizycie Sudermadii rzeczywiście powstawały poważne braki. Pracowaliśmy przecież w godzinach największego upału, a zresztą czy mogłem czegoś żałować takiemu przyjacielowi i wielkiemu artyście?

Któregoś więc dnia porozstawiałem w pracowni na widocznych miejscach wszystkie rysunki, a potem udałem się do klubu, gdzie doktor spędzał zazwyczaj popołudniowe godziny. Nie zastałem go tam ku swemu wielkiemu zdziwieniu. Obszedłem następnie cały Ogród, zajrzałem do herbarium, do biblioteki i nawet do profesora Treuba. Powłókłem się wreszcie zmęczony do laboratorium, będąc przekonany, że robię to niepotrzebnie. A jednak tam się właśnie znajdował! Mile mnie to zaskoczyło, jeśli bowiem doktor zmienił swoje

dotychczasowe zwyczaje i zaczyna pracować bez przerwy, to znaczy, że wступujemy na dobrą drogę, która powiedzie nas do zwycięstwa.

Mój pogodny nastrój przysł, gdy znalazłem się w środku. Doktor stał nad tą nieszczęsną hodowlą, nad którą niegdyś rozbiłem butlę.

To mógł być bardzo niedobry znak. Nabrałem powietrza w płuca i zbliżyłem się do niego odważnie. Tuan był zamyślony. Nie mogło być zresztą inaczej. Hodowla wyglądała smętnie, ogarnęła ją całkowita martwota.

- A, to ty, Nong_nong... - spojrział na mnie z ukosa. - Pokaż no jeszcze raz ten płyn, który wtedy rozlałeś.

Przemawiał powoli, miękko, jakby dręczyła go jakaś natarczywa, ukryta myśl, a mnie zrobiło się bardzo nieswojo. Paskudna sprawa! Dlaczego tak się przyczepił do tej jednej butli? Zdarzyło mi się to raz w życiu, a ten nie może o tym zapomnieć. Też trafiłem!... Chciałem zrobić niespodziankę, a tu mnie witają w ten sposób...

Byłem bardzo rozgoryczony. Niechętnie podszedłem do szafy i wśród różnych chemikaliów od razu odnalazłem, co mi było potrzebne.

Nie mogło być wątpliwości, napis był przecież wyraźny:

„Siarczan amonu - 20%”

- No tak... - bąknął tuan jakby do siebie. - Tu nie ma błędu...

Zastanowiły mnie te słowa. Wynikało z nich, że nie idzie o rozbitą butlę, ale o błąd. A więc niepokoję się niepotrzebnie. Raz jeszcze utkwiałem wzrok w Phytosphorze. Tak, ona już nie żyje... Podniosłem głowę. Doktor patrzył na mnie jakoś dziwnie, ale nie czuło się złości.

Niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

- Ależ z ciebie ziółko! - przemówił z humorem. - Żłopiesz tego piwa więcej niż ja, trzeba jednak przyznać, że ci to wychodzi na dobre. Jeśli nawet palniesz niekiedy głupstwo, zawsze jest z tego pożytek!

Skłoniłem się grzecznie, bo to była niewątpliwie pochwała. Co prawda, nic z tego nie rozumiałem, lecz natychmiast wróciła moja zwykła energia. Przypomniałem sobie, po co przybyłem do laboratorium. Postanowiłem realizować swój plan.

- Czy tuan jest teraz bardzo zajęty? - zapytałem ostrożnie.

- No, nie... - odparł po chwili zastanowienia. - Tymczasem nie zdołam tutaj wymyślić nic ciekawszego. A co tam kryjesz w zanadrzu?

Popatrzył na mnie spod oka, jak to miał w zwyczaju, gdy był w doskonałym nastroju.

- Nic specjalnego - odparłem obojętnie. - Chciałem pokazać tuanowi coś ciekawego.

Jeśli chcecie, moi mili, sprawić komuś wielką niespodziankę, starajcie się zachować tajemnicę do końca. Ja tak właśnie zrobiłem. Doktor był jednak bardzo przebiegły. Ja znałem go świetnie, lecz i on mnie przenikał na wskroś. Wiedział z doświadczenia, że jeśli przemawiam w ten sposób, sprawa nie może być błaha. Zaczął więc ciągnąć mnie podstępnie za język, ale że i ze mnie był spryciarz nie lada, udało mi się uniknąć każdej zasadzki. W najlepszej zgodzie udaliśmy się do domu, chociaż widziałem, że moja tajemniczość uczyniła na nim wielkie wrażenie.

Doktor nie wszedł od razu na werandę. Gdy zamykałem furtkę, on skierował się do naszego ogródka. Udałem się za nim, rysunki nam nie uciekną. Nie byliśmy tu dawno. Od czasu wypadku z wapnem straciłem serce dla tego biednego tytoniu. Teraz też mi nie dodał otuchy.

Phytophthora działała wszędzie, śmierć zaglądała do każdego zakątka. Zaledwie kilka krzaków pięło się pięknie w górę, jakby kpiło sobie publicznie z tego straszego demona. Tuan przy nich przystanął.

- O la, la!... - wykrzyknął zdumiony.

Przysiadł szybko, a potem gorączkowo zaczął oglądać łodygę i liście. Wreszcie rozgrzebał ziemię. Bieliło się naokoło. Tak, niestety, właśnie tutaj wyrócił mnie ten złośliwy Demon Zniszczenia...

Poczułem się znowu nieswojo, bo to zawsze przykro wspominać takie nieszczęsne chwile. Aż tu nagle, patrzę - mój doktor powstaje. Jest jakiś niezwykły, promienny. Czuję, braterskim ruchem kładzie ręce na moich barkach. Serce uderzyło we mnie jak dzwon. Tuan, mój tuan, pochyla się nade mną, oczy błyszczą mu szczęściem...

Przyjaciele mili! Wy wszyscy, którzy tu, na stokach Salaku, słuchacie teraz tej opowieści!... Nie dziwcie się starcowi, stojącemu nad grobem, że płacze. Wspominam bowiem cudne chwile, jakie przeżywa się rzadko. Spływają na mnie drogie, pełne tkliwości wspomnienia. Widzę go tak, jakbym dotykał go ręką. Stoi naprzeciw mnie, tam w naszym ogródku przy ulicy Pocztowej, i patrzy serdecznie, jakby w tym spojrzeniu chciał przekazać wszystkie swoje najlepsze uczucia. Czy domyślacie się, co się tam wtedy stało? Otóż ja, człowiek skromny, syn skromnego Paidana, stałem się narzędziem w rękach szlachetnego Ardżuny! Gdy Demon Zniszczenia chciał mi dokuczyć, on pokrzyżował mu szyki. Gdzie niegaszone wapno padło w nadmiernej ilości, wypaliło rośliny. Gdzie jednak obsypało bruzdy tylko nieznacznie, zamknęło drogę Phytophthorze i uniemożliwiło jej mordowanie następnych...

Tak, bracia, była to wielka chwila i dla niego, i dla mnie... Ja byłem tylko narzędziem. On, któremu Ardżuna złożył wspaniałe dary przy urodzeniu, potrafił odczytać z drobnych okruchów nieznane dotychczas tajemnice wielkiej Matki Przyrody. Kochał ją głęboko, toteż bronił przed śmiercią nawet najskromniejszą roślinę, a jasny Ardżuna wskazywał mu drogę...

Nie dziwcie się więc, przyjaciele, że płaczę. Ja przecież na to wszystko patrzyłem...

XXVIII

O przyjaciele!

Uderzam w gong, aby przerwać chwilę wzruszenia. Dalsze bowiem wypadki potoczyły się bardzo radośnie. Doktor zebrał próbki ziemi, zerwał kilka liści i udaliśmy się na werandę. Dopiero teraz przemówił:

- I tyś tak długo ukrywał!...

Człowieku, przecież ja czekam na to od wielu miesięcy!... W jego głosie brzmiał wyrzut, lecz był to wyrzut przyjaciela, który ma żal, że nie zdradziłeś mu wcześniej tajemnicy

przyszłości. Opuściłem głowę, stałem się bowiem nagle bezradny. On, oczywiście, nie orientował się wcale, że w tej sprawie ja byłem tylko narzędziem i nie po to sprowadziłem go teraz do domu. Czy jednak mogłem odkryć mu prawdę? Czy miałem prawo zepsuć nastrój, który zapanował w tym uroczystym momencie?... Nie zrobiłem tego, i bynajmniej nie dlatego, że zależało mi na przypisywaniu sobie nie swojej zasługi. Uczucie ludzkie jest bowiem jak piękny, ale lękliwy ptak. Nie wolno go płoszyć. Niech raduje się szczęściem, a jeśli wasze słowa miałyby to szczęście osłabić, wtedy zamilczcie. Ja właśnie tak postąpiłem. I nigdy z tego powodu nie miałem do siebie pretensji.

Zachowywałem się więc cicho i nie przypominałem nawet sprawy, która leżała u początku tych niezwykłych wypadków. Tuan usiadł na werandzie i w zamyśleniu przyglądał się ogródkowi. Postanowiłem mu nie przeszkadzać. Przyniosłem pudełko z cygarami, położyłem je na stoliku i wyszedłem do kuchni.

Tu czekała mnie nowa niespodzianka. Zaraz przy drzwiach, w kącie, siedział jakiś starszy, zupełnie nie znany mi człowiek. Na mój widok zerwał się na równe nogi. Spojrzałem mu w twarz. Była chuda, czarniawa, smutna, w oczach czaiła się głęboka pokora. Słowem - nędzarz, jakich można spotkać tysiące.

- Proszę mi wybaczyć, że wszedłem bez zezwolenia - odezwał się grzecznie. - Nie chciałem, aby zobaczył mnie tuan. Może byłby z tego niezadowolony...

W pierwszej chwili chciałem go zganić, bo to przecież bardzo nieładnie wchodzić do cudzego mieszkania, gdy nie ma w nim gospodarza, ale że wyglądał na przyzwoitego człowieka, więc dałem spokój. Nawet odkłoniłem się bardzo uprzejmie. Ujął mnie skromnością, która biła z całej jego postaci.

- Mów dalej - zachęciłem. - Dlaczego lękałeś się mojego tuana?

- Bo przecież... - zająknął się w odpowiedzi - biali niechętnie widzą u siebie obcych... A ja musiałem zobaczyć się z tobą. Szukam Dutura z Rajskiego Ogrodu. Podobno możesz wskazać do niego drogę...

Stałem się jeszcze bardziej uprzejmy.

- Usiądź - zaprosiłem wskazując krzesło. - Przybywasz pewnie z daleka?

Wyglądał rzeczywiście na zmęczonego. Widać było, że usiłował zetrzeć kurz ze swej półnagiej, wynędzniałej postaci, lecz jeszcze bardziej rozmazał go w pocie. Należało jednak ocenić jego dobre chęci i szacunek, który chciał mi w ten sposób okazać.

- Napij się - nalałem mu usłużnie piwa do szklanki. - Dobrze ci zrobi.

Zawahał się, ponieważ wierzył w proroka tak samo jak ja, lecz gdy mu wyjaśniłem, jaka jest różnica między piwem a winem, i że nic o nim nie ma mowy w Koranie, wypił już bez wahania.

- Dobry z ciebie człowiek - pochwalił z wdzięcznością. - Sądzę więc, że zaprowadzisz mnie do dutura...

Zacząłem go wypytywać. Okazało się, że przybył pieszo aż spod Tjikalongu, który przecież znajduje się niedaleko Bandungu. Słyszał od dawna o Duturze z Rajskiego Ogrodu, lecz postanowił dopiero teraz odszukać go, gdyż dotknęła go klęska. Miał trzy palmy kokosowe, a obecnie marnieją wszystkie.

- Był to mój cały majątek - kończył żałośnie. - Dziś nie mam co jeść...

Zrobiło mi się go żal. Musiał być bardzo biednym człowiekiem, jeśli nie miał nic więcej.

- Widzisz, pozostałem sam - wyjaśnił, gdy go o to spytałem.

- Żona zmarła dawno, córki wyszły za mąż, a syna nie miałem. Wójt nie przydzielił mi ziemi...

Westchnąłem. Cóż, tak się nieraz zdarzało... Podsunąłem mu miskę ryżu. Musiał być bardzo głodny, wyraźnie mówiły o tym zapadnięte głęboko policzki.

- Będziesz mi mógł pomóc? - zapytał, gdy zjadł. - Nie wiem tylko, czy dutur do mnie przyjdzie... Czy zechce ze mną rozmawiać? I czy dla niego wystarczy tyle pieniędzy?

Wyjął zza pasa pół guldena i spojrzał na mnie ze smutkiem. Rozumiałem ten ból. Było to wszystko, czego dorobił się w życiu.

- Nie martw się - pocieszyłem go zaraz. - Schowaj tę monetę i kup sobie za nią żywności. Dutur z Rajskiego Ogrodu nic nie bierze za pomoc.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem i zacisnął wargi. Z pewnością był przekonany, że z niego żartuję.

- Postaram się załatwić tę sprawę - dodałem szybko. - Możesz wracać spokojnie do domu. Przyjadę do ciebie z duturem.

Starzec wstał powoli. Twarz mu stężała i pokryła się gęstymi zmarszczkami. W oczach zarysowała się ta przerażająca martwota, która towarzyszy zwykle ludziom znajdującym się u progu rozpacz.

- Więc nie chcesz pokazać mi tego dutura - westchnął ciężko, lecz w jego głosie nie wyczuwałem bynajmniej żalu. - Cóż, pewnie masz rację, synu... Jestem zbyt ubogim człowiekiem...

Skierował się do drzwi.

Zatrzymałem go, gdyż serce mi się krajało z bólu. Bezradny starzec wygląda tak samo nieszczęśliwie, jak dziecko pozostawione samotnie.

- Nie martw się - powtórzyłem starając się mu dodać otuchy. - Powiedziałem, że przybędziemy do ciebie, więc czekaj. Możesz polegać na moim słowie. Z duturem nie potrzebujesz się widzieć. Ja to załatwię znacznie lepiej niż ty.

Zdawało mi się, że w jego oczach zauważyłem iskierki nadziei. Uśmiechnąłem się, starając się temu uśmiechowi dodać jak najwięcej uczucia. Rzeczywiście pomogło.

- Naprawdę załatwisz? - zapytał raźniej. - Wyświadczyłbyś mi wielką usługę, mój synu...

Zrobiło mi się bardzo przyjemnie, gdyż w tym starczym głosie rozbrzmiała nuta ufności, a to zawsze dodaje sił. Przygotowałem mu na poczekaniu okazałe zawiniątko na drogę, a potem dodałem jeszcze pięćdziesiąt centów. Kto wie, co mu się może wydarzyć? Do Tjikalongu jest bardzo daleko.

Przerwałem mu, gdy chciał mi dziękować, ponieważ tak samo jak mój tuan nie lubiłem głośnych wyrazów wdzięczności. Nie robiłem przecież tego na pokaz. Otworzyłem mu drzwi i odprowadziłem do furtki.

- Kto to był? - zapytał doktor, gdy znalazłem się znów na werandzie.

- Biedny człowiek - odparłem wymijająco.

- Dałeś mu jeść?

- Dałem. I pół guldena.

Tuan pogodnie pokiwał głową.

- To dobrze - pochwalił. - Została ci reszta od piwa?

- Nie. Dałem ze swoich.

Doktor pochylił się naprzód i przyjrzał mi się badawczo.

- To musiał być bardzo biedny człowiek? - zapytał miękko.

Potwierdziłem bez słowa. Tuan sięgnął do kieszeni i wyjął dziesięć guldenów.

- Dogoń go - rozkazał. - Jeśli ty dałeś mu pięćdziesiąt centów, należy mu się znacznie więcej ode mnie...

To mnie nie zaskoczyło. Był zawsze bardzo sprawiedliwym człowiekiem. Dał dużo, bo zarabiał przecież więcej niż ja.

XXIX

Oddałem starcowi, co mu się należało, i wróciłem znów na werandę. Tuan siedział jak przedtem, obserwując w zamyśleniu grządkę z tytoniem.

- Dogoniłeś? - zapytał, nie patrząc na mnie.

- Dogoniłem.

Wyminałem go i wszedłem do naszej pracowni. Rysunki były rozmieszczone ślicznie, pod każdym leżał demon w swej naturalnej postaci. Obok znajdowały się kartki z opisem. Podszedłem do jednej z nich. Tak, nie myliła mnie pamięć. To tu. Sudermadia pięknie odmalował tego szkodnika, znaliśmy go zresztą świetnie. Obok znajdowała się palma kokosowa, aby nikt nie wątpił, że on właśnie na niej grasuje. Mój przyjaciel był bardzo dokładny.

Stałem tak dość długo, zastanawiając się, czy nie mylą mnie moje przeczucia. Z tego, co starzec opowiadał, wynikało niezbicie, że to ten grzyb usiłuje zamordować mu palmy. Jeśli tak jest istotnie, nie będzie z nim większego zachodu.

Zapadł zmrok, zapaliłem lampę. Doktor wszedł i zamknął za sobą powoli drzwi.

- Nad czym tak medytujesz? - zapytał jakby od niechcienia i naraz oniemiał na widok tego, co ujrzał. Oczy mu rozbłysły, rozplomieniły się gwałtownie policzki. - Nong_nong, człowieku! - wykrzyknął, oglądając w gorączce całą naszą wystawę. - Kto to malował?

Śmiałem się. Ciężko to szło, ale nareszcie dobiłem do celu. Wiedziałem z góry, co z tego wyniknie. Tak, mój doktor wpadł w zachwyty. Brał po kolei rysunki do ręki, patrzył na nie z daleka i z bliska, porównywał z grzybami. Gdyby nawet szukał, nie mógłby wynaleźć żadnych usterek. Sudermadia wprawdzie nie malował, jak ci, którzy ilustrują książki, ale w jego pracy nie mogło być błędu. Wiadomo - to był przecież mój wielki przyjaciel.

- Powiedz mi wreszcie, kto to zrobił - przynaglił mnie tuan radośnie. - Chyba nie ty?...

Machnąłem ręką. Jeśli idzie o uzdolnienia w tym kierunku, byliśmy podobni do siebie jak dwie krople wody. Wyjaśniłem mu wszystko.

- Kto by się tego spodziewał! - wykrzyknął. - Sudermadia!... No, w takim razie będę miał nareszcie współpracownika. Ale dlaczego ukrywałeś tak długo przede mną?

- Aby sprawić tuanowi większą przyjemność - wyjaśniłem mu szczerze.

To go rozczuliło na dobre. Mieliśmy niemało niespodzianek tego dnia, toteż ta nowa kropla przepełniła miarę wzruszenia. Założył ręce w tył i zaczął się przechadzać po izbie.

- Jak sądzisz - zapytał zatrzymawszy się nagle - ile należałoby mu za to zapłacić?
Szeroko otworzyłem oczy. Nie spodziewałem się takiego pytania. Sudermadia robił po przyjaźni. Jakże można było proponować mu za to zapłatę!

Doktor widocznie wyczytał wyrzut, widniejący na mojej twarzy, bo zmienił natychmiast ton.

- Człowiek tak się przyzwyczaił w tej Europie do płacenia za wszystko – przemówił markotnie w poczuciu swej winy - że tutaj ciągle popełnia głupstwa... Jasne: ludzkiej życzliwości nie zdobywa się siłą ani nie wynagradza pieniędzmi...

Przytaknąłem gorąco. Oczywiście rozumiał sprawę, a tylko w podnieceniu o tym zapomniał.

- Wiesz co, Nong_nong - dodał po chwili - sprowadź tu Sudermadię. Zastanowimy się razem nad naszą dalszą współpracą.

To był dobry pomysł. Uwinąłem się szybko i w pół godziny później wprowadziłem przyjaciela do pracowni. Doktor podał mu rękę.

- Dziękuję ci - powiedział ciepło. - Bardzo to ładnie zrobiłeś.

Sudermadia uklonił się trochę niezgrabnie, po raz pierwszy bowiem w życiu spotkał go taki zaszczyt. Byłem jednak spokojny. Na pewno nie miał do niego dostępu Demon Głupoty.

- Siadajcie - zaprosił tuan, grzecznie wskazując nam krzesła.

- Jak tam, Nong_nong - dodał z humorem - nie zabraknie nam dzisiaj piwa?

Zatarłem ręce z uciechy. No, nareszcie zrozumiał, dlaczego ono zniknęło! Pobiegłem do kuchni. Zapasy obecnie były bardzo duże, tuan nie mógł mnie niczym zaskoczyć. Człowiek, jeśli tylko chce, może się wielu rzeczy nauczyć. Przyniosłem do pracowni całe narzędzie butelek.

Doktor był bardzo miły. Sudermadia nabrał szybko wigoru i zaczął zachowywać się normalnie, gdyż naprawdę nie miał nic wspólnego z Demonem Głupoty. Potoczyła się rozmowa pełna z naszej strony szacunku, ale pogodna i żywa.

W pewnej chwili tuan wstał i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Gdy wrócił stamtąd, trzymał w ręku dwa krysy.

- To dla ciebie - rzekł wręczając jeden z nich Sudermadii. - Oby ci służył tak samo dobrze jak ołówek i pędzel.

Pochyliłem głowę w uznaniu dla jego zręczności. Tak, on też się wiele u nas nauczył. Nie wiem, czy nawet nasz dyrektor potrafiłby tak ładnie postąpić. Oceniał życzliwość, ale za nią nie płacił, bo podarunek jest tylko dowodem wdzięczności.

- A to dla ciebie - po chwili podał mi drugi. - Przyda ci się w dalszej walce z Demonami Zniszczenia.

Jak on to pięknie wyraził!... Wstałem wzruszony. Krysy były śliczne, jego główka była cudnie rzeźbiona. Już chciałem go wziąć, gdy naraz przypomniał mi się ten biedny staruszek. Ręka mi opadła bezwładnie.

- Panie - rzekłem pochylając się w pełnym powagi ukłonie - jestem niezmiernie wdzięczny za ten dar, ale jeśli panu nie zrobiłoby to różnicy, chciałbym prosić o inny.

Doktor zdziwił się, wiedział bowiem, że marzyłem o krysie od dawna. Nie miał jednak zamiaru robić mi jakichkolwiek trudności.

- Mów więc, o co ci chodzi - zachęcił, spoglądając na mnie przyjaźnie. - Z pewnością ci nie odmówię.

Podszedłem do palmy, którą Sudermadia tak wspaniale oddał na jednym z naszych rysunków.

- O ile sobie przypominam - przemówiłem, wskazując na znajdujący się pod nim grzyb - kiedyś zwalczyliśmy tego demona...

Doktor przybliżył się do mnie.

Zdziwienie jego rosło.

- Tak - potwierdził. - Na niego jest prosty sposób. Nie warto się nim zajmować.

Tym razem nie miał racji. Jeśli sposób jest prosty, tym lepiej. Szło przecież o uratowanie palm mojego staruszka. Postanowiłem jasno postawić sprawę. Opowiedziałem mu wszystko.

- Trzeba mu pomóc - oświadczyłem takim tonem, jakiego używałem w Kagoku. Chciałem prosić tuana, aby wyjechał ze mną do Tjikalongu.

Doktor przyjrzał mi się badawczo.

- I za spełnienie tej prośby chcesz oddać kryś?

Westchnąłem lekko. Broń była śliczna, pewnie nigdy w życiu nie będę mógł się takiej dorobić. Ale czy mogłem inaczej postąpić? Tam czekał na nas bezradny staruszek, a wiedziałem, że niełatwo będzie wyciągnąć mojego tuana. Pracy miał bardzo dużo, goniły go najrozmaitsze terminy.

- Tak - potwierdziłem, przełamując siłą wewnętrzne opory. - To bardzo biedny człowiek...

Tuan w zamyśleniu pokiwał głową.

- No, dobrze - wyraził po chwili zgodę - pojedziemy...

W jego oczach pojawiły się jakieś podejrzane ogniki. Znałem go dobrze, toteż nasrożyłem się momentalnie. Gdy tak na mnie spoglądał, krył zawsze jakiś kawał w zanadru. A tu przecież szło o mojego staruszka. Nie mogłem dopuścić do żartów!

Zamierzałem już otworzyć usta, aby wypowiedzieć to głośno, gdy niespodziewanie zmienił się zupełnie na twarzy. Czyżbym się pomylił? Ależ tak, nie mogło być wątpliwości! Wyraźnie z niej wygląda niepokój i troska!...

- Co tobie, Nong_nong? - wykrzyknął kładąc mi rękę na czole. - Człowieku, tyś chory! Straciłem od razu fantazję.

Istotnie bolała mnie głowa. Początkowo sądziłem, że to z nadmiaru wrażeń, ale teraz zwątpiłem. Licho wie, co tam się mogło przyplątać...

- Ech, dobrze się czuję! - zaprzeczyłem jednak, siląc się na wesołość. - Nic mi nie będzie... Doktor frasobliwie pokręcił głową.

- Kto to może wiedzieć? - wzruszył ramionami bezradnie. - Malaria nie wybiera. Jednakowo zabija wszystkich...

To była niestety prawda. Nie mogłem temu zaprzeczyć.

- A i Sudermadia ma na twarzy wypieki - Tuan przeniósł na mojego przyjaciela zmartwiony wzrok. - No, nic dziwnego, pracowaliście przecież w taką dusznotę...

Sudermadia poruszył się niespokojnie. Dopiero teraz spostrzegłem, że wygląda on na chorego. Co się stało z tym do niedawna pełnym werwy człowiekiem? Jeszcze wczoraj był zdrowy jak bawół! Czyżby naprawdę malaria? Ona istotnie zwala z nóg błyskawicznie...

- Nie, tak was nie można zostawić - tuan zupełnie osowiał. - I to wszystko przeze mnie... Chcieliśmy zaprzeczyć, ale byliśmy tak przerażeni, że nam zabrakło słów.

- Nie ma innej rady - doktor wyprostował się. - Trzeba uprzedzić chorobę. Nong_nong, przynieś natychmiast lekarstwo!

Wstałem ociężale i poszedłem do kuchni. Byłem kompletnie rozbity. Cóż by zrobił biedny doktor, gdyby mnie nagle zabrakło?... Co by pomyślał o mnie kochany staruszek?... Ręce mi

drżały, gdy zdejmowałem z półki butelkę, bo wiadomo, że wino jest w takich przypadkach najlepsze. Gdy je postawiłem na stole, tuan obejrzał uważnie markę. Był zawsze bardzo dokładny.

- No tak - pochwalił zadowolony. - Znasz się już na tym. To rzeczywiście najlepsze. Zaczął nalewać, ja natomiast podszedłem do okna. Ulica była jasno oświetlona, tłum Europejczyków, jak zwykle o tej porze, zażywał wieczornego spaceru. Mężczyźni chodzili zazwyczaj z odkrytymi głowami, bo u nas na brak ciepła nie można nigdy narzekać. Dziś jednak wszyscy byli w kapeluszach. Nic dziwnego, księżyc był w pełni, wiedzieli więc, że jego światło może im bardzo zaszkodzić. Nauczyli się od nas niejednego na Jawie.

Zasunąłem szczelnie firanki. Ten i ów podnosił niekiedy głowę i obserwował nasz dom. Po co nas mieli zobaczyć? Żaden z nich nie pozwoliłby usiąść nam koło siebie, a już nie piłby w żadnym wypadku razem z nami lekarstwa.

Takie wówczas panowały zwyczaje, toteż mój doktor popełniał przestępstwo. Nie należało go narażać na niepotrzebne przykrości.

Gdy się upewniłem, że żadne oko ludzkie nie dojrzy, co teraz robimy, podszedłem do stołu i zająłem miejsce w fotelu. Doktor już ponalewał w kielichy.

- Za wasze zdrowie! - zachęcił. - Trzeba odpędzić malarię.

- Piję jako lekarstwo! - zastrzegłem się wyraźnie.

- Piję jako lekarstwo! -

Sudermadia powtórzył za mną jak echo.

Ręka mu trochę drżała z wielkiego przejęcia, ale się jakoś przełamał. Doktor nalał powtórnie.

- Ten kryś należy do ciebie - wskazał głową swój piękny dar, którego nie przyjąłem poprzednio. - Zasłużyłeś na niego.

Zrobiło mi się bardzo gorąco. Nie dziwcie się, moi mili. Kryś był cudowny, ja zaś już pogodziłem się z myślą, że nie będzie on nigdy moją własnością. Ze wzruszenia rozlałem wino, gdy je niosłem do ust.

Doktor napełnił naczynia ponownie, wino bowiem zapobiega malarii tylko wtedy, gdy użyje się go trzykrotnie. On miał wspaniałe recepty!

- A co do tego staruszka - rzekł zamyślając się nagle - sam będziesz mógł załatwić tę sprawę. To jest łatwa robota, a mnie trudno będzie stąd się wydostać w ciągu najbliższych tygodni. Przygotuję ci wszystko, co potrzebne do zlikwidowania tego Demona Zniszczenia.

Żachnąłem się. A więc do tego zmierzał! Dlatego podarował mi kryś. Zaczyna prowadzić podstępą grę. Nie, nic z tego nie wyjdzie!...

Wstałem i skłoniłem się z głęboką powagą.

- Tuan przyrzekł pojechać ze mną - oświadczyłem grzecznie, ale stanowczo. - Kryś jest piękny, to prawda, lecz nie mogę go wymienić za mojego staruszka. Proszę więc go zatrzymać. Musimy pojechać razem do Tjikalongu.

Doktor wziął bardzo do serca tę ostrą przemowę.

- Nie przejmuj się, Nong_nong - zaczął mnie uspokajać serdecznie. - Pojadę, oczywiście pojadę... Czyżbym mógł ci czegokolwiek odmówić?...

Usiadłem zadowolony. Przepadł kryś, lecz osiągnąłem swój cel. Prawdę mówiąc, szło mi już nie tyle o te palmy, bo z nimi mógłbym sam sobie poradzić, ile o to, aby ludzie z Tjikalongu poznali Dutura z Rajskiego Ogrodu. Przecież on tu nie pozostanie na stałe, a wart był, żeby zachowano go w pamięci na zawsze.

Doktor zaś stał się jeszcze bardziej uprzejmy. I wtedy to, przyjaciele mili, wypłem po raz czwarty. Ten kielich niepokoi mnie dziś jeszcze, mimo że jestem bardzo starym człowiekiem. Na chorobę to niewątpliwie pomogło. Nie jestem jednak pewien, czy zastrzegłem wówczas, że piję wino jako lekarstwo. A to, bracia, stanowiłoby bardzo poważne naruszenie przepisów Koranu.

Chyba jednak zastrzegłem. Rozmawiałem kiedyś na ten temat z tuanem Arabem. Był on bardzo mądrym człowiekiem i hadzi. Twierdził, że musiałem to zrobić, bo inaczej zabiłaby mnie od razu malaria...

XXX

Przez następne trzy dni tuan tylko myślał. Spacerował po laboratorium, spacerował po domu, a gdy niekiedy usiadł, palił cygaro jedno po drugim.

Jak mogłem, ułatwiałem mu życie, wiedziałem bowiem, że z takiego myślenia na pewno coś dobrego wyniknie.

Tak się też stało. Czwartego dnia, znajdowaliśmy się wtedy akurat naprzeciw tej martwej hodowli, która swego czasu narobiła mi tyle przykrości, tuan przystanął raptownie i spojrzał na mnie.

- Już wiem! - zawołał podnosząc palec do góry. - Nong_nong, bierzmy się do roboty. Zatarłem ręce z uciechy. Nareszcie coś dla mnie! Tam gdzie zaczyna się porządna robota, nie potrzeba mnie było do niej naganiać. Poleciały z półek słoje i butle, poszły w ruch wagi, cylindry i miarki. Przygotowywaliśmy teraz naszą najwspanialszą miksturę. Właśnie ta rozbita przeze mnie butla dała wszystkiemu początek. Przedtem zabiła nieszczęsną hodowlę. Obecnie, zmieszana z innymi chemikaliami, miała nam oddać wielkie usługi w polu.

Po południu wszystko było przygotowane do akcji. Przenieśliśmy się teraz do naszego ogródka. Część martwych roślin powyrywaliśmy, skopaliśmy na nowo ziemię i wtedy rozpoczęła się dopiero właściwa praca. Doktor był podniecony.

- Nong_nong - rzucił rozkaz niespodziewanie - niegaszone wapno!

Lubiłem ten głos trochę ostry, stanowczy, przypominający wojskową komendę. Nic dziwnego, my też prowadziliśmy tu wojnę. Uwijałem się więc jak w ukropie, a i ruchy tuana, aczkolwiek uważne, były sprężyste i szybkie.

Gdy przyniosłem wapno, doktor ułożył je osobiście w głębokich brzdach, rozmieszczając starannie niewielkie grudki w najrozmaitszych odstępach. Potem podziałaliśmy na nie przygotowaną rano miksturką.

Uniosły się lekkie opary, zakręciło mi się w nosie.

- Zasypuj! - przynaglił mnie zaraz doktor i sam chwycił za szpadel. - Zginie czy nie?... - zapytał zamyślając się, kiedy ukończyliśmy robotę.

Szło o tę Phytophtorę, która ciągle siedziała w ziemi. Machnąłem ręką lekceważąco. Na pewno zabiją ją te cudowne opary, które nasycają tam teraz glebę. Czy mogło być zresztą inaczej? Nie znałem dotąd wypadku, aby po trzech dniach tak intensywnego myślenia nie udało się coś w naszej dotychczasowej praktyce. Nowe wywołuje jednak zawsze na początku niepewność. Zmarszczki na czole tuana rosły.

- Zginie! - potwierdziłem głośno, pragnąc mu dodać ducha.

Ucieszył się z mojej pewności, toteż ten wieczór przeszedł nam bardzo przyjemnie. Potem, przez kilka następnych dni, porządkowaliśmy nasze doświadczenia nad suszeniem i fermentacją liści, aby mieć spokojną głowę w czasie podróży. Po tygodniu i te prace zostały skończone. Z kolei w miejscach wypalonych wapnem posadziliśmy świeżą, nie dotkniętą jeszcze zarazą rozsadę.

- W porządku - odsapnął doktor, kiedy i to było za nami. - Niech sobie rosną. Możemy jechać. Albo coś z tego wyrośnie, albo wszystko zmarnieje. Lepiej na to nie patrzeć.

Przytaknąłem gorliwie, bo to były bardzo rozsądne słowa. Albo będzie, albo nie będzie. Po co się martwić z góry, kiedy i tak niczego zmienić nie można. Na zmartwienie zawsze jest czas.

Spakowaliśmy się więc, a następnego dnia, najpierw koleją, a potem dylizansem dotarliśmy do Tjikalongu. Stąd było tylko dziesięć kilometrów do celu, toteż ten ostatni odcinek przeszliśmy pieszo.

Staruszek w pierwszej chwili nie wierzył oczom. Zdziwił go jeszcze bardziej widok doktora. Skłonił mu się do ziemi.

- To i twój tuan przyjechał... - szepnął wyraźnie zmartwiony tą niespodziewaną wizytą. - Gdzie ja go posadzę? Mój dom jest bardzo ubogi...

Istotnie z każdego kąta biła tu nędza. Udałem jednak, że tego nie widzę.

- Przecież chciałeś - mruknąłem obojętnie na pozór - abym ci sprowadził dutura...

Staruszek skulił się w sobie. W takie szczęście trudno mu było uwierzyć.

- To jest... zaczął się jąkać - to jest dutur?

Skinąłem poważnie głową. Gdy był u mnie, widział wprawdzie tuana, ale nie przyszło mu wtedy do głowy, że ma przed sobą Dutura z Rajskiego Ogrodu. Teraz patrzył na niego jak urzeczony.

Nie pozwoliłem mu zbyt długo rozmyślać, czas naglił. Gdy szło o walkę z demonami, nie lubiłem odkładać pracy do jutra. Obejrzeliśmy więc zaraz palmy, a potem wspiąłem się wysoko, w koronę. Rzeczywiście demonik uwił tam sobie gniazdko i harcował bezkarnie. Zacisnąłem zęby. Wybiła jego ostatnia godzina! Przyniesione przez nas chemikalia poszły w ruch, zakażone owoce wyciąłem, grzyb powędrował na pamiątkę do naszej kolekcji.

W tym czasie naokoło gromadził się tłum. Poczułem się w swoim żywiole. Niech patrz! Po to sprowadziłem tu Dutura z Rajskiego Ogrodu, aby go wszyscy poznali. Pracowałem więc z coraz większym zapałem. Ludzie zachowywali się grzecznie i cicho. Gdy jednak uporałem się z ostatnią palmą i zszedłem na dół, naokoło rozległ się głuchy, błagalny gwar:

- Prosimy i do nas!... Nam też niszczą plony Demony Zniszczenia!...

Tego nie przewidziałem, chociaż byłem z natury człowiekiem przezornym. Spojrzałem na niebo. Na szczęście słońce opadło nisko, nie mogło być mowy o dalszej robocie. Przynajmniej na dziś. Udało mi się więc załagodzić chwilowo sprawę. Ludzie rozeszli się powoli do domów.

Przenocowaliśmy u wójta. Gdy obudziłem się rano, przeszły mnie ciarki. Przed oknem stał olbrzymi tłum, ludzie zgromadzili się tu chyba z połowy Jawy. Nikt nie ruszał się, cisza panowała kompletna. Domyśliłem się od razu, na co ci ludzie czekają. Tak, niestety, każdemu była potrzebna pomoc... Każdemu z nich groził jakiś Demon Zniszczenia...

- No i co teraz? - doktor stanął obok i śmiał się. - Widzisz, do czego doprowadziłeś? Gdybyśmy poświęcili nawet całe życie tej pracy, też działalibyśmy niewiele. Tu potrzebna jest olbrzymia armia. A nie jednostki.

Pokiwał głową, na jego czole zarysowała się ostra zmarszczka. Znałem ją dobrze, była oznaką buntu. Z czymś się nie mógł pogodzić.

- No i co teraz? - powtórzył.

- Chyba ci ludzie nie wypuszczą nas dobrowolnie.

Potarłem czoło. Rzeczywiście coś trzeba było wymyślić. Nie obawiałem się, aby wyrządzono nam krzywdę, my bowiem, Jawajczycy, jesteśmy dobrze wychowanym narodem. Przerazały mnie jednak te twarze, na które obecnie patrzyłem. Były smutne, a przy tym przeraźliwie cierpliwe i ufne. Ci ludzie byli pewni, że im udzielimy pomocy. I to właśnie było najgorsze.

Gdy tak zastanawiałem się nad sytuacją, naraz przysła mi do głowy zbawienna myśl.

- Czy musimy dziś wracać do domu? - zapytałem tuana.

- No, niekoniecznie. Możemy odejść jutro, a nic też się nie stanie, jeśli wrócimy za tydzień czy dwa. Tytoń rośnie doskonale i bez naszej opieki.

To od razu dodało mi ducha. Czułem, jak powraca moja zwykła energia. Miałem już plan!

- Wobec tego - rzekłem - możemy się powłóczyć po górach...

- Oczywiście - tuan wpadł mi w słowa, bo bardzo mu się spodobała ta myśl. - Jeszcze nigdy nie byłem w tych okolicach.

- W takim razie poradzę sobie - uśmiechnąłem się wreszcie. - Zaraz załatwimy tę sprawę!

Wszedłem przed dom. Ludzie pochyłili się w kornym ukłonie, jak łan przygięty nagle gwałtownym podmuchem wiatru. Nic dziwnego, cenili wysoko pomocnika Wielkiego Dutura. Wypytywałem ich grzecznie. Dopiero tam, o moi mili, pod Tjikalongiem, dowiedziałem się, jakie klęski sprowadzają na nasz kraj straszne Demony Zniszczenia.

- Bardzo to wszystko bolesne - przemówiłem, gdy tylko niewielka część tych skarg dotarła do moich uszu. - Zdajecie sobie jednak sprawę sami, że jeden datur tu nie wystarczy...

Smętnie pokiwali głowami. Rozumieli dobrze; jesteśmy przecież mądrym narodem.

- Datur z Rajskiego Ogrodu - odezwałem się znowu po chwili - pomoże wam chętnie, lecz tym razem zajmie się tylko lijerem. Do kogo więc zakradł się ten demon, niechaj teraz wystąpi!

W tłumie rozległ się cichy gwar. Niektórzy cofnęli się, inni wysunęli się naprzód. Plan okazał się doskonały. Ilość próśb bardzo zmalała. Co zaś najważniejsze - tym, którzy przysunęli się do mnie, rzeczywiście mogliśmy pomóc, bo do walki z lijerem nie potrzebowaliśmy żadnych środków, których przecież nie mieliśmy przy sobie. Kazałem więc im ustalić między sobą plan naszej wędrówki, a potem wszedłem z powrotem do domu.

Tuan, który przez cały czas obserwował wszystko z uwagą, był bardzo zadowolony z wyników. Zjedliśmy śniadanie, a potem w asyście kilkunastu ludzi udaliśmy się do najbliższego osiedla. Uwinęliśmy się tu szybko, w walce bowiem z lijerem mieliśmy już ogromną praktykę. Ledwie daliśmy ostatnie wskazówki, natychmiast następna delegacja wzięła nas pod swoją opiekę.

Od tego dnia wędrowaliśmy tak od kampongu do kampongu, a drewniane tongi_tongi uprzedzały całą okolicę o naszej podróży. Najpierw skierowaliśmy się w dolinę Tjitarum. Potem zaczęliśmy skręcać w górę ku szczytowi wulkanu Tangkuban Prah, utworzonego z rozbitej łodzi, na której, jak to wiecie z prastarych legend jawajskich, nieszczęsny książę Sankurianga płynął do swej oblubienicy. Niespodziewanie zawróciliśmy na zachód i wdarliśmy się wysoko na zbocza wulkanu Gedeh. A potem...

No, a gdzie byliśmy potem, przez jakie przechodziliśmy miejscowości, jakimi szliśmy drogami, nie mam do tej pory najmniejszego pojęcia. I tuan, i ja zagubiliśmy się wtedy w zielonych kępach kamponarów, w polach ryżowych, w ścieżynach leśnych i w tych dziesiątkach nazw, których nie sposób było spamiętać. Wędrowaliśmy na ślepo, prowadzeni kolejno przez delegacje. Ten pochód prezentował się coraz poważniej.

Bagaze rosły, gdyż uzupełnialiśmy po drodze nasze zbiory, gromadząc nie tylko paprocie i grzyby, ale i wiele innych roślin, które mogły się przydać do badań w Bogorze, w Monachium i nawet w Krakowie. Z dźwiganiem ciężarów nie było zresztą żadnych kłopotów. Wsie dawały samorzutnie tragarzy i odprowadzały nas nieraz bardzo daleko.

Któregoś dnia wkroczyliśmy w okolicę bardziej górzystą, bezludną, pokrytą przeważnie puszcza, o wyglądających tu i ówdzie spod zieleni nagich, jałowych skaliznach. Byliśmy uprzedzeni, że do celu będzie tym razem daleko. Nie zmartwiliśmy się tym. Ostatecznie było nam wszystko jedno, jaką drogą idziemy. Dopiero gdy ciężkie chmury zaczęły się gromadzić nad naszymi głowami, sytuacja stała się nieprzyjemna. Zmoknąć - to drobiazg, ale poruszać się po oślizłej ścieżynie to nie lada wysiłek. A tu, jak na złość, nie było gdzie ukryć głowy.

Już wtedy zaczęły mnie nawiedzać przykre przeczucia. Cóż jednak można było zrobić mądrego w tej sytuacji? Bliżej mieliśmy do celu aniżeli do kampongu, z którego wyszliśmy. Nasz przewodnik rozumiał to doskonale, toteż natychmiast przyspieszył kroku. Wiele to nie pomogło, po chwili bowiem lunął deszcz - taki nasz zwykły, jawajski deszcz, walący się z góry straszliwą płynną lawiną.

Przewodnik przystanął.

- Może skryjemy się pod drzewami? - zapytał tuana. - Zawsze to trochę pomoże, a ulewa pewnie zaraz przeminie...

Doktor zgodził się, ukryliśmy się więc przy pniach, gdzie było najsuszej. Minęła jedna godzina i druga, aż wreszcie przemokły i drzewa. Deszcz nie ustawał. Tuan wysunął się na ścieżkę i dał rozkaz do dalszej podróży.

Było to najlepsze wyjście, bo nic nie zapowiadało wypogodzenia. Pobiegliśmy ochoczo. Po dwóch godzinach uciążliwego marszu las urwał się nagle. W dali ukazała się ciemna kępa zieleni, zamglona deszczem.

- Jesteśmy na miejscu! - wykrzyknął uradowany przewodnik.

- Kampong przed nami!

Skoczył naprzód, zsuwając się zręcznie między nielicznymi w tym miejscu krzakami, a i nam zrobiło się raźniej. Twarze czerwieńiały z wysiłku, nogi rozsuwały się w błocie, lecz nie zwracaliśmy na to uwagi. Byliśmy przekonani, że jesteśmy u kresu tej nieprzyjemnej wędrowki i że za chwilę będziemy mogli ogrzać się i osuszyć pod dachem.

Znajdowaliśmy się już tak blisko kampongu, że można by dorzucić do niego kamieniem, gdy niespodziewanie przewodnik przystanął i wydał okrzyk rozpacz. Podbiegliśmy do niego. Niżej, pod naszymi nogami, rwał potężny strumień i zagradzał nam drogę.

- Nie ma go!... - jęknął przewodnik.

- Nie ma go!... - westchnęli ciężko tragarze.

- Czego nie ma? - tuan zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, o co im chodzi.

- Mostu! - zawołałem starając się przekrzyczeć ulewę. - Most został zerwany!...

Zdarzają się u nas często takie wypadki, więc w pierwszej chwili nie uczyniło to na mnie szczególnego wrażenia. Dopiero pod wpływem dochodzących zewsząd głosów zacząłem uprzytamniać sobie cały tragizm tej sytuacji. Kampong - miły, przytulny, nęcący ciepłem i wypoczynkiem kampond - znajdował się tuż, lecz był niedostępny. Nie mogło być mowy o przeprawieniu się na drugi brzeg, osiedle zaś, z którego wyszliśmy, znajdowało się przynajmniej o dziesięć kilometrów za nami.

- No, cóż - mruknąłem, zbliżając się do tuana - musimy poczekać, aż woda opadnie.

Miałem jeszcze wtedy nadzieję. Nie odpowiedział od razu. Był zasepiony, poważny, dziwnie w tej chwili surowy.

- Gdzie jest najbliższy most? - odezwał się wreszcie.

- W dole rzeki - odparł przewodnik. - Naprzeciw drugiego kampongu. Godzina drogi...

- Prowadź!

Ruszyliśmy bez szemrania, lepiej bowiem w takich warunkach wędrować nawet bez celu aniżeli siedzieć beczynnie. Za nami zaś, o bracia, ruszyły w ślad wszystkie demony, którym daliśmy się tak strasznie we znaki w ciągu ostatnich lat. Nad tuanem unosił się już Demon Złości, a nade mną, o dziwo, ohydny Demon Rozpaczy! Za nimi zaś gnały rozchichotanym tłumem nieprzeliczone szeregi mniejszych i większych diabełków, wśród których nie brakowało znanych nam dobrze, rozbestwionych Demonów Zniszczenia. Czaiły się widocznie od dawna, aż wreszcie zapędziły nas w pułapkę i teraz postanowiły się mścić.

Deszcz lał strumieniami. Gęstniał mrok, gromy przewalały się z hukiem.

Szliśmy jak cienie. Coraz wolniej i coraz posępniej...

XXXI

U nas, w Bogorze, deszcz pada codziennie, ale tylko w południowych godzinach. Przedtem i potem pogoda jest piękna, niebo słoneczne i czyste. Istnieją okolice, gdzie jest znacznie więcej wilgoci, lecz są i takie, gdzie deszcz w miesiącach letnich jest zupełnie wyjątkowym zjawiskiem. Tam, gdzie wędrowaliśmy obecnie, nie mogliśmy narzekać na brak deszczu, ale też nie zdarzyło się dotąd, aby nie było dłuższych przejaśnień.

To więc, co działo się teraz, zaskoczyło nas swą niezwykłością. Czas mijał, a ulewa szalała, nie zmniejszając wcale swej zaciętości. Wszystko zszarzało; wzgórza, doliny i las straciły swe ostre kształty, zamazały się we mgle nawet szczyty wulkanów. Ziemia rozmiękła, ścieżyny zamieniły się w zimne potoki, woda spływała ze zboczy, w każdym zagłębieniu tworzyły się mętne kałuże. Brnęliśmy przez nie z trudem. Wyciągaliśmy nogi z błota z coraz większym wysiłkiem, ale w końcu stanęliśmy naprzeciw drugiego kampongu. Niestety, most też był tutaj zerwany. Tragarze osunęli się ciężko na ziemię.

Spojrzałem na tuana. Spoglądał w zamyśleniu na spieniony nurt, brwi miał silnie ściągnięte. Mokre ubranie przylegało szczelnie do ciała.

- Panie, nie mamy wyjścia... -

Przewodnik zbliżył się do niego i smutnie pokiwał głową. - Trzeba poczekać...

Tuan milczał. Ważył coś w myślach.

- Chcesz tu nocować? - zapytał po chwili.

Przewodnik obejrzał się bojaźliwie. Za rzeką widać było pola ryżowe, z tej jednak strony rozciągała się tylko puszca. Gdzie tu nocować? W tej wodzie, która spływała ze wszystkich stron?

- A gdybyśmy poszli dalej, wzdłuż rzeki - doktor przemówił znowu - dojdziemy gdzieś do kampongu?

Przewodnik ożywił się.

- Tak, tak, dojdziemy! - wykrzyknął. - Teren zacznie się zaraz obniżać. Kampongi są niedaleko!

Tuan popatrzył na niego gniewnie. Czułem, że chwyta go Demon Złości, który od tak dawna nie miał do niego dostępu.

- Na co więc czekasz? - zawołał. - Prowadź!

Przewodnik, chociaż z ociąganiem, wykonał jednak rozkaz posłusznie. Rozumiałem go dobrze. On nie chciał oddalać się od swojego osiedla. Nie rozumiał, że w tej sytuacji nie ma nic gorszego aniżeli czekanie. Zrównałem się z nim i zacząłem mu dodawać otuchy. Tuan przecież miał rację. Trzeba było dotrzeć do jakiegokolwiek ludzkiej siedziby, bo zbliżała się noc.

Jeśli ktoś z was, moi mili, znalazłby się kiedy w tak trudnych warunkach i gdyby zaatakował go Demon Rozpaczy, niech stara się pobudzać odwagę innych. Ja tak wtedy postąpiłem i od razu poczułem się raźniej. Zachęcałem również tragarzy, ukazując im co chwila pogodną twarz. To rzeczywiście pomogło. Nasze ruchy stały się szybsze, rozbłysła we wszystkich oczach energia.

Wkrótce jednak dobry nastrój rozprysł się ostatecznie. Schodziliśmy w dolinę. Gdy zaś znaleźliśmy się na jej dnie, Demon Rozpaczy chwycił mnie ze straszliwą siłą w swoje objęcia i już nie wypuścił. O bracia, tam również płynęła rzeka! Była szeroka, rozlana, rwąca, przerażająca furją, z jaką niosła na grzbiecie połamane gałęzie i pnie!

- No cóż... - mruknął doktor.

- Chcąc nie chcąc, musimy pozostać tutaj. Wracajmy na górę, pod drzewa.

Niestety nie było innego wyboru. Mrok zgęstniał, zbliżała się noc. Wędrówka w ciemnościach mogła sprowadzić na nasze głowy jeszcze większe nieszczęścia. Zaszliśmy się więc w gąszczu.

Lało tu tak samo jak i na otwartym terenie, ale woda nie biła przynajmniej wprost w zmordowane ciała. Próbowaliśmy rozpalić ogniska, ale nic z tego nie wyszło. Poprzestaliśmy więc na zbudowaniu lichych szałasów, a potem sięgnąłem do naszych podręcznych bagaży. Nic nie jedliśmy od chwili opuszczenia kampongu. Należało się teraz posilić.

Było tego niewiele, nie spodziewaliśmy się bowiem takiej przygody, lecz i z tych skąpych zapasów doktor zjadł tylko połowę.

- Panie, zjedzmy wszystko - zachęciłem go, gdyż wiedziałem, że jeszcze jest głodny.

- Głupstwa gadasz - odpowiedział niechętnie. - A co będziesz jadł jutro? Czy sądzisz, że przedostaniemy się rano przez rzekę?

Zrozumiałe, o tym nie mogło być mowy. W tym wypadku nie miało to jednak żadnego znaczenia.

- Panie - ostrzegłem, przypominając sobie mądre słowa Udiana - co można zjeść dziś, nie należy odkładać do jutra. Może się zepsuć.

Burknął coś tam niegrzecznie, bo opanował go już Demon Złości, i nie posłuchał. Pełen złych przeczuc, odsunąłem również swoją porcję, gdyż nie mógłbym jej przełknąć, wiedząc, że doktor jest głodny. Nazajutrz tego pożałowałem. W parnym, przesyconym wilgocią powietrzu wszystko zgniło, trzeba było wyrzucić...

Z ciężkim sercem wyszedłem z szałas. Ranek wstawał smutny, szary, zamglony, deszcz walił z taką samą siłą jak wczoraj. Zeszliśmy na dół, do rzeki. Nic się tu nie zmieniło, sytuacja zaczęła się zarysowywać tragicznie.

- Nie ma tu nigdzie większego mostu? - zapytał tuan przewodnika, gdy znaleźliśmy się znowu na górze.

- Nie ma, panie...

Doktor zastanawiał się nad czymś przez pewien czas.

- Co więc radzisz? - odezwał się wreszcie. - Musimy jakoś przedostać się do ludzi. Inaczej zginiemy z głodu.

To była prawda. Znajdowaliśmy się w widłach dwóch rzek, gdzie nie było żadnego kampongu. A przy tym nie mieliśmy co jeść. Upłynie wiele dni, zanim wody opadną.

Przewodnik był bardzo zgnębiony. O śnie w nocy nie mogło być mowy, nie było ognia, nie było żywności. A przy tym czuł się z pewnością odpowiedzialny za zdrowie tuana.

- Tutaj rozciąga się wszędzie puszcza - rzekł po namyśle. - W dół się nie przedostaniemy, to pewne. Nad nami wierzchołki gór.

Pozostaje jedyna możliwość: musimy wrócić do kampongu, z którego wyszliśmy.

- Sądzisz, że tam będziemy się mogli przedostać?

Przewodnik schylił głowę zrezygnowany.

- Kto wie? - odpowiedział bez entuzjazmu. - Trzeba spróbować. Tu wszędzie teren bezludny.

Ruszyliśmy więc w drogę powrotną, ale koło południa, gdy zdawało się nam już, że wydobyliśmy się z matni, inny potok zagroził drogę. Wczoraj, gdy tędy przechodziliśmy, był tak mały, że nie zwróciliśmy na niego uwagi. Dziś huczał groźnie i rwał z taką siłą, że lęk człowieka ogarniał, gdy się na niego patrzyło.

Doktor zaklął kilka razy siarczyście, po polsku. Demon Złości zadomowił się w nim na dobre. Nawet specjalnie się nie zdziwiłem, był bowiem wycieńczony i głodny. Czulem, jak we mnie, dla odmiany, wpija się Demon Rozpaczy. Tragarze nie mieli sił, przewodnik stracił zupełnie głowę. Wokoło unosiły się Demony Zniszczenia, zawodząc żałobne pieśni. Męczyły wszystkich, podrywały nogi, myliły krok, uderzały smugami wody, mściły się strasznie na nas i na tych nieszczęśliwcach, którzy odważyli się wezwać nas do siebie na pomoc. Gdy to nareszcie zrozumiałem, jak zwykle w takich przypadkach opanowała mnie dzika zaciętość. Trzeba było zerwać z dotychczasową słabością. Należało wrogowi przeciwstawić natychmiast silną wolę, śmiałość i plan, bo tylko tym można go było zwyciężyć.

- Panie - zwróciłem się do doktora - czas już skończyć z tą beznadziejną włóczęgą!

Tuan zaklął i spojrzał na mnie gniewnie, ale nie dałem wyprowadzić się z równowagi. Wiadomo - Demon Złości próbował przeciwstawić się atakowi.

- Panie - przemówiłem bardziej stanowczo - jest tylko jedna droga: przez szczyty gór! Z tej strony jesteście odcięci od ludzi.

Demon Rozpaczy odskoczył ode mnie z jękiem, porażony moją odwagą. Za to Demon Złości uderzył silniej w tuana. W jego oczach pojawiły się niedobre ogniki. Już nawet otworzył

usta, aby coś tam brzydkiego powiedzieć, gdy niespodziewanie wargi mu opadły, czoło pokryło się gęsto zmarszczkami. Odetchnąłem z ulgą. Chwycił się w garść! Tak, tak, teraz myślał intensywnie, jak to nieraz bywało w pracowni. No, z tego musi coś dobrego wyniknąć!...

- Panie - kułem żelazo, póki gorące - tam, w górze, rzeki się kończą. Zamiast kręcić się w kółko idźmy naprzód, dopóki nie dotrzemy do źródeł. Musimy obecnie polegać tylko na sobie. Usta doktora zacisnęły się silniej, bruzdy na czole stały się bardzo głębokie. Naokoło rozległ się świst przeraźliwy: to demony wycofywały się z lękiem. Teraz, gdy obaj połączyliśmy swe siły, staliśmy się dla nich groźni. Poczułem w sobie ogromną moc.

Tuan też się wyprężył, rozglądając się czujnie. Pobiegłem za jego wzrokiem. Staliśmy na wysokim wzniesieniu, układ terenu doskonale był stąd widoczny. Pod nami ciemna masa zieleni opadała falisto i kończyła się gdzieś tam w dole, pewnie nad rzeką, nad którą spędziliśmy dzisiejszą noc. Po prawej ręce znajdował się kampong, do którego nie mogliśmy się dostać. Po lewej wiała się dróżka do wsi, której chcieliśmy udzielić pomocy. Za nami wyrastały ostre, pokryte gąszczem stromizny, pnące się ostro w górę.

- Idziemy! - doktor dał rozkaz niespodziewanie. - Nong_nong, zbieraj tragarzy!

Zacząłem zwijać się tak, jakby ubył mi lat. Popędzałem ludzi ostro, aby odegnać Demona Rozpaczy, który atakował ich jeszcze gwałtowniej niż mnie, i to rzeczywiście pomogło. Nawet upadki zdarzały się teraz rzadziej.

Doktor szedł pierwszy, uderzał z rozmachem butami w kałuże, chlapał błotem, ale to właśnie dodawało mi sił. Naśladowałem go doskonale. Demony i demoniki szalały z furii, lecz stawały się coraz bardziej bezradne. Tragarze bowiem, zagrzani naszą fantazją, też otrząsnęli się z przygnębienia i szli coraz równiej, uginając w takt swoje bambusy. Staliśmy się naraz jednym ciałem, które ma jedną wolę i jeden mózg, a to stwarza zawsze niezwalczoną potęgę.

Nie mogę powiedzieć, że wtedy nie zakradły się do mnie niepokój i wątpliwości. Tuan nie skierował się w górę, jak mu radziłem. Po raz trzeci szedł drogą do rodzinnego osiedla tragarzy, toteż nawiedzał mnie od czasu do czasu Demon Rozpaczy.

Starał się wbić mi w głowę, że doktor popełnia głupstwo. „Po co idziecie znowu w tym samym kierunku? - szeptał podstępnie do ucha. - Przecież tam także jest rzeka. Widziałeś jej gwałtowny nurt. Znajdziesz tam śmierć, ale do ocalenia nie tędy droga...”

Starałem się kpić z niego, bo wierzyłem w swego tuana, odpędzałem go zaciekłe, nawet - wybaczenie mi, przyjaciele - kłamałem go z cicha, więc wreszcie zdołałem się wyswobodzić z jego morderczych uścisków. Byłem znowu spokojny. Mój tuan myślał, więc koniec będzie szczęśliwy. A on istotnie nie miał zamiaru błąkać się dalej bez celu.

Do rzeki nie doszliśmy. W połowie drogi skręciliśmy raptownie w lewo, w wąską, ledwie widoczną ścieżynę. Przewodnik zawahał się, tragarze zgubili rytm.

- Naprzód! - ryknąłem ujrawszy ten nieporządek. - Chcecie umierać czy żyć?

O przyjaciele! Wtedy to po raz pierwszy ja, Nong_nong, syn mądrego Paidana, zaprząłem do roboty Demona Złości! Tak, bracia, każdy demon może być pożyteczny, jeśli ktoś potrafi użyć go umiejętnie. Trzeba być jednak bardzo ostrożnym. Demon Złości jest szczególnie podstępny i zanim się spostrzeżecie, możecie stać się jego ofiarą, siejącą dokoła krzywdę. Ja już wówczas umiałem się z nim obchodzić. Gdy tylko ludzie zaczęli mruzczyć, on wspaniale wypełnił mą wolę. Tragarze i przewodnik skoczyli naprzód jak podcięci biczem. Przybyło im z miejsca energii.

Ścieżyna pięła się stromo w górę, często trzeba było przytrzymywać się krzaków. Po dwóch godzinach marszu usłyszeliśmy z boku szum, który wkrótce przemienił się w straszliwy, gwałtowny huk.

- Rzeka - przewodnik dogonił mnie i mrucał teraz posępnie. - Ta sama rzeka, która przepływa koło naszego kampongu. Też się tędy nie przedostaniemy...

- Milcz! - ofuknąłem go groźnie i spuściłem ze smyczy Demona Złości. - Jeśli prowadzi nas Dutur z Rajskiego Ogrodu, musimy się stąd wydostać!

Przycichł od razu, bo zrozumiał wreszcie, że nie może być inaczej, gdy idzie się obok tak wielkiego człowieka. Moje słowa musiały i na innych uczynić doskonałe wrażenie. Usłyszałem za sobą głośnie westchnienie ulgi.

Tuan przystanął. Nasłuchiwał przez pewien czas. Huk stał się tak donośny, że aż dźwięczało w uszach.

- Rąb! - rozkazał twardo, wskazując mi zwarty gąszcz. - Musimy się dostać do rzeki.

Nie wahałem się ani chwili. Golok zaświstał, gałęzie posypały się w dół. Zrobiło mi się gorąco, pot razem z deszczem zalewał mi twarz. Przewodnik dopomógł. Wgryźliśmy się ostro i torowaliśmy drogę. Za nami posuwała się powoli cała kolumna.

Na szczęście do rzeki nie było daleko. Drzewa zrzedły, potem zniknęły krzaki.

Stanęliśmy na progu skalnym. Spojrzałem w dół. Ujrzałem potworny nurt, ściśnięty między dwiema ścianami. Wył, ryczał, wzbijał się w górę i przewalał gwałtownie, przypominając swoim wyglądem śmiertelne zapasy dawnych, legendarnych mocarzy. Przysiadłem ciężko na ziemi. Demon Rozpaczy raz jeszcze spróbował swych sił i ścisnął mnie teraz za gardło.

Gdy odetchnąłem nieco, poszukałem wzrokiem tuana. Spacerował właśnie i z wielką uwagą obserwował przeciwległy brzeg. Potem jego oczy spoczęły na wysmukłym drzewie, które rosło w pobliżu samotnie.

- Co o tym sądzisz?- spytał przybliżywszy się do mnie.

Wstałem, demon ode mnie odskoczył. Obejrzałem uważnie kamienne ściany, oceniłem na oko odległość i wielkość pnia.

- Sięgnie - odpowiedziałem raźnie, zacząłem się bowiem domyślać, do czego zmierza mój doktor.

- Wobec tego należy je zrywać.

Nie wiem tylko, czy wasze goloki wytrzymają taką robotę...

Zafrasowałem się również, bo drzewo rzeczywiście było olbrzymie, a przy tym zaatakował mnie znowu Demon Rozpaczy. Strząsnąłem go energicznie.

Przywołałem do siebie ludzi.

- Musimy ściąć to drzewo - oświadczyłem zwięźle. - Pracują wszyscy.

Najpierw stanąłem sam do roboty z naszym przewodnikiem, aby dać dobry przykład. Gdy się zmęczyliśmy, zastąpili nas inni. Ociągali się początkowo, wszyscy bowiem byli bardzo znużeni i głodni, ale od czego miałem pod ręką Demona Złości? Pozwoliłem mu teraz pohulać. Ludzie zlekli się, praca poszła szybciej, wióry sypały się z trzaskiem. Nie dobiliśmy jednak do końca, gdy zapadł zmrok.

- Trzeba będzie poczekać do rana - mruknął doktor niechętnie. - Jeśli drzewo źle upadnie, cała robota na nic...

Przyznałem mu rację, przenocowaliśmy więc znowu pod naprędce skleconym szałasem. Chociaż deszcz lał ciągle, a woda płynęła pod naszymi plecami, zmorzył nas jednak sen. Za to,

gdy wstaliśmy, byliśmy kompletnie zmarznięci. Tuan wyjął proszki przeciwko malarii i rozdzielił je między wszystkich, a potem stanął pierwszy do pracy.

Rozgrzaliśmy się po kolei robotą, aż wreszcie drzewo zaczęło trzeszczeć.

Odsunąłem się trochę, wydając ostatnie wskazówki tym, którzy jeszcze rąbali. Drzewo trzasnęło głośniejsze.

- Pchać! - zawołałem donośnie.

Kilku ludzi wsparło się z tyłu o pień. Korona zachwiała się, pochyliła i zaczęła się walić w dół. Rozległ się huk tak straszny, że zagłuszył nawet grzmot, który wydawała pod nami rzeka. Westchnąłem ze szczęścia, wszyscy wydali głośny okrzyk radości. Drzewo padło dokładnie w takim kierunku, jaki mu wyznaczyłem. Oba brzegi zostały połączone. Zbudowaliśmy wspólnie most!

- Kto pierwszy na ochotnika? - wykrzyknął doktor wesoło.

- Panie - rzekłem poważnie - to nie jest prosta sprawa. Ja muszę iść pierwszy.

Zrozumiałe: nikt inny nie mógł się na to odważyć. Wiedziałem doskonale, że jesteśmy otoczeni demonami ze wszystkich stron i że teraz wybiła ich ostatnia godzina. Z pewnością spróbują zaatakować nas przy tej przeprawie, bo to była dla nich jedyna szansa. Okazało się zaraz, że miałem rację. Gdy już byłem pośrodku, skorzystały, że pień jest oślizły i gładki, i pchnęły mnie silnie. Na szczęście byłem na to przygotowany. Przewróciłem się wprawdzie, zmierzwiony nurt skoczył na mnie tak, że aż zrobiło mi się mdło, lecz upadłem zręcznie, wzdłuż pnia. Potem jednak nie było więcej kłopotów. Bez przygód wylądowałem na drugiej stronie.

Tragarze, którzy jako rdzenni Jawajczycy też musieli się zorientować, że kręcą się koło nas jakieś nieczyste siły, przechodzili czujnie, toteż nic im się złego nie stało. Za to zaniepokoiłem się, gdy tuan miał wstąpić na kładkę.

- Proszę poczekać! - krzyknąłem w trwodze. - Zaraz tam będę!...

Zanim się zorientował, o co mi chodzi, znajdowałem się obok niego.

- Proszę zdjąć buty! - oświadczyłem stanowczo.

Rozumiecie? On chciał przechodzić w butach po gładkim pniu! Jak to Europejczyk... Po jego twarzy nawet prześliznął się bunt, ale zaraz zniknął. Wiedział z doświadczenia, że jeśli ja przemawiam takim tonem, należy mnie słuchać. Zastosował się więc do mego zlecenia, a reszta poszła już gładko.

Potem przebiliśmy się do innej ścieżyny. Wkrótce zaczęły wyrastać przed nami kampongi.

- Dokąd idziemy? - spytałem tuana, nie skierował się bowiem do wsi, która leżała najbliżej.

- Jak to dokąd? - przemówił zdziwiony. - Do tych ludzi, którzy nas prosili o pomoc...

Cofnąłem się szybko, aby ukryć zawstydzenie, jakie spadło na mnie znienacka. Jakże mogłem zapomnieć o celu naszej podróży! Wprawdzie byłem zmęczony, trapił mnie głód, trzeci dzień użerałem się z demonami, ale to mnie nie mogło tłumaczyć...

Za to przewodnik i tragarze byli zachwyceni decyzją doktora. Deszcz lał jak z cebra, ale oni patrzyli w niego jak w tęczę. Maszerowali raźnie, jakby wcale nie mieli za sobą tej tragicznej wędrówki.

Nic dziwnego, siedł przeciw z nimi Wielki Dutur - prawdziwy Dutur z Rajskiego Ogrodu. Wbrew złym siłom i potędze demonów mieli go wprowadzić do swojego osiedla.

O przyjaciele, uderzam w gong! Były to piękne chwile. Nie wspominam ich nigdy bez żalu...

XXXII

Kiedy znaleźliśmy się znowu w Bogorze, najpierw obejrzelśmy ogródek. Zasepiłem się w pierwszej chwili. Rośliny, które uratowały się dzięki mej niezgrabności, teraz nie żyły.

- Nie przejmuj się - pocieszył mnie doktor. - To zrozumiałe. Wapno chroniło je przez pewien czas, lecz samo nie mogło powstrzymać dalszego rozprzestrzeniania się Phytophtory. Za to teraz nie będzie ona już zabijała tytoniu. Spójrz, jak doskonale trzymają się nasze sadzonki.

Istotnie z tymi powiodło się świetnie. Z prawdziwą przyjemnością obserwowałem odtąd, jak naszym wychowankom przybywa ciała. Rosły pięknie, szybko przybierały na tuszy, coraz szerzej wykładały liście. Któregoś dnia w maju tuan przyjrzał się im dokładnie.

- Nong_nong - odezwał się wreszcie po długim namyśle - zwijaj manatki. Jedziemy do Wedi Koto. Wszystko wypadło dobrze. Należy obecnie udowodnić w polu, że nasz sposób może ocalić plantacje.

Tym razem nie likwidowaliśmy domu, więc roboty było niewiele. Spakowałem grzyby, wajang, mikroskop profesora Rostafińskiego i nasz notes. To były najważniejsze rzeczy, nie licząc oczywiście „scyzoryka”, który zawsze miałem pod ręką. W tydzień później wsiedliśmy do pociągu, przenocowaliśmy w Maos, a nazajutrz znaleźliśmy się w Klaten. Stąd udaliśmy się konikami do naszej siedziby.

Okolica była śliczna, zamożna, naokoło rozciągały się, tak samo zresztą jak dziś, olbrzymie plantacje trzciny cukrowej, tytoniu i kukurydzy. Na północy wzbijał się w niebo wspaniały wulkan Merapi. Oglądałem ten kraj z pewnym wzruszeniem.

Znajdowaliśmy się w na pół niezależnych państwach sułtańskich, gdzie zachowały się dotąd w najczystszej formie nasze pradawne zwyczaje. I Djokjakarta, którą mineliśmy niedawno, i Solo, które znajdowało się stąd niedaleko - to były miejscowości, które przypominały zawsze każdemu z nas przeszłość kraju i naszą wielką historię. W tej okolicy znajdują się najpiękniejsze świątynie z czasów, gdy nasi bracia Hindusi pomagali nam tworzyć wielkie państwo o wspanialej kulturze. Tu, u stóp Merapi, zakłete są dzieje naszego narodu. Z tych stron wypływa do dnia dzisiejszego ożywcze hasło jedności...

Doktor był tu kilkakrotnie, lecz widziałem, że i teraz pociąga go ta okolica, tak samo jak mnie. Rozglądał się z zaciekawieniem i co chwila robił interesujące uwagi. Znał naszą ziemię wcale nie gorzej niż my. Może dlatego tak dobrze układała się nasza współpraca. O Bromie, o Ardżunie, o demonach i dobrych duchach, zamieszkujących nasze domy, pola, rzeki i puszcze, mogłem z nim rozmawiać jak z każdym z was, a nie było wypadku, aby mnie nie mógł zrozumieć. Krótko mówiąc - był naszym człowiekiem. Nie potrzeba było mieć przed nim tajemnic.

Nasz nowy dom był bardzo obszerny. Pracownie były urządzone, bo tuan zrobił to w czasie swych poprzednich podróży. Służba liczna, pola rozległe. Następnego dnia obejrzeliliśmy je szczegółowo.

Wszędzie rósł tytoń, lecz płakać się chciało, gdy się na niego patrzyło. Szalała tu Phytophthora, niszczyła liście choroba mozaikowa. Trapiło rośliny wiele innych szkodników, z których nie każdy wyglądał groźnie, lecz w sumie czynione przez nie spustoszenia były ogromne. Mniej więcej co trzecia roślina leżała martwa, a te, które jeszcze żyły, też nie wyglądały normalnie.

- Źle - mruknął tuan, gdy to wszystko zobaczył. - Czekaj nas ciężka robota.

Kazał oczyścić duży kawałek pola przed domem. Wyrwane rośliny spaliliśmy, a potem po swojemu przygotowaliśmy grunt. Po tygodniu powysadzaliśmy z inspektów młode roślinki.

- Teraz przeprowadzimy tę samą próbę w innych warunkach - oświadczył, gdy zakończyliśmy tę pracę. - Musimy przygotować nową rozsadę.

Zaczęła się bardzo ciekawa praca. Tym razem zabraliśmy się do inspektów. Wyrzuciliśmy starą ziemię, nową przygotowaliśmy bardzo starannie pod osobistą kontrolą tuana. Potem rozrzuciliśmy ją cienką warstwą na płachtach.

- Niech nam i słońce pomoże - powiedział głośno. - To też doskonały dutur.

Zauważyłem, że otaczający nas ludzie spojrzeli na tuana z wielkim szacunkiem. Nic dziwnego - ktoś lepiej rozumie cudowne właściwości słonecznego promienia niż my? Zaczęli pracować gorliwiej, troska - ten wielki przyjaciel dobrej roboty - przebijała z każdego ich ruchu. Zrozumieli od razu, o co mu idzie. Każda grudka rozpadała się w drobne pyłki, ich palce rozsuwały delikatnie ziemię i układały ją równo.

Pogoda była piękna, niebo zupełnie bez chmur. Tam, na Jawie środkowej, od maja do listopada nie ma prawie zupełnie deszczu. Ziemia więc wyschła już po kilku godzinach, ale doktor zajął się nią poważnie dopiero po czterech dniach. Kazał wypełnić nią jeden z inspektów, a potem wysiał nasiona. Następnego dnia wypełnił drugi, i tak po kolei, aż wyczerpało się wszystko.

- Niech rosną - pokiwał głową, gdy się ta praca skończyła. - Możemy się zająć czym innym.

Ale tej innej roboty też mieliśmy niemało. Doktor, tak samo jak ja, nie znosił nieróbstwa. Nie wystarczało mu tylko dłubanie w ziemi. Nie lubił przy tym tajemnic, gdy więc miał wolną chwilę, natychmiast sięgał do spraw, które nie były znane nauce.

Teraz męczył go nowy problem: rozgałęzianie. Jak to się dzieje, że rośliny, w miarę wzrostu, otrzymują ramiona, a na ich wierzchołkach tworzą się tak piękne korony? Co jest przyczyną tych regularnych załamaniań, jakie prawa decydują o ich rozwoju?

A że nie wyobrażaliśmy sobie życia bez laboratoryjnych hodowli, więc i tutaj, w Wedi Koto, należało je także urządzić. Tym razem poszły na warsztat nasiona tytoniu.

- Jeśli chcesz chronić dobrze roślinę - mawiał często tuan przy różnych okazjach - musisz poznać dokładnie jej życie od urodzenia do śmierci...

Tytoń znaliśmy już nie najgorzej, ale obserwowaliśmy go dotąd jedynie w czasie, gdy rośnie. O tym, co się dzieje w łodydze, w korzeniach i w liściu, mógłbym przygotować całą opowieść. Za to jego początek był dla nas niejasny. W jakich warunkach nasienie najlepiej kiełkuje? Czy już wtedy nie zakrada się do niego jakiś Demon Zniszczenia? Ile potrzeba mu słońca, a ile wilgoci?

To były wielkie problemy, które należało rozwiązać. Ja byłem szczególnie szczęśliwy, bo - jak wiecie, moi mili - hodowle to, obok grzybów, moja wielka specjalność. Miałem przy tym własne, godne uwagi zajęcie i dzięki temu życie stało się dla mnie weselsze. Poszły w ruch

preparaty, nasz notes wypełniał się szybko, mikroskop profesora Rostafińskiego zaczął znowu oddawać nieocenione usługi.

Któregoś dnia, gdy byłem zajęty tą ulubioną robotą, przed dom zajechało sado, a zaraz potem rozległy się jakieś czupurne głosy. Drgnąłem. Musieli to być Europejczycy, żaden bowiem z naszych ludzi nie zachowywałby się tak beztrosko i głośno, ale nie to mnie zaskoczyło. Co innego wprowadziło mnie w głębokie zdumienie. Ci ludzie rozmawiali po polsku!

Wybiegłem na werandę. Sado właśnie odjeżdżało, dwóch zaś ludzi skierowało się w stronę domu. Jeden był tęgi, zażywny, twarz mu błyszczała rumieńcem. Drugi, znacznie wyższy, prawie olbrzym, coś tamtemu klarował i z rozmachem rozkładał ręce. Skłoniłem się grzecznie.

- Tu mieszka tuan Raciborski? - zapytał ten niższy.

Głos miał potężny, tubalny.

Przytaknąłem w milczeniu.

- A dlaczego do nas nie wychodzi? - zawołał drugi. - Nie słyszy, że przybyli do niego rodacy?

Obaj byli w doskonałych humorach. Skłoniłem się znowu uprzejmie, pamiętałem bowiem doskonale tego konduktora z Surabai i nie wątpiłem, że ci ludzie muszą być tak samo mili jak tamten.

- Tuan wyszedł gdzieś na plantację - odparłem. - Panowie pozwolą na werandę. Zaraz poszukam doktora.

Podsunałem im krzesła, przyniosłem kilka butelek piwa i cygara, a potem zacząłem schodzić ze stopni werandy.

- Powiedz mu - wykrzyknął za mną ten tęgi - że przyjechał Tomaszewski i Danielewski.

- Daniel_whisky! - poprawił go natychmiast ten wyższy. - Nie zapominaj: Daniel_whisky!...

Ukłoniłem się raz jeszcze, bo przecież byłem dobrze wychowanym człowiekiem, i skoczyłem między zagony tytoniu. Dość długo musiałem szukać doktora. Przeglądał właśnie rośliny na jednej z dalszych plantacji.

- Przyjechali jacyś panowie - poinformowałem go głosem zdyszonym. - Polacy.

Tuan spojrział na mnie z niedowierzaniem..

- Polacy?... - zastanowił się. - Chyba się pomyliłeś. Skąd by się tutaj wzięli? Co za jedni?

- Nie wiem. Jeden nazywa się Tomaszewski, a drugi Daniel_whisky.

Starąłem się powtórzyć jak najbardziej dokładnie. Tuan uśmiechnął się.

- To jednak chyba Polacy - powiedział żartem i ruszył pospiesznie do domu.

Domyśliłem się, że w tym ostatnim nazwisku musiało być coś komicznego. Potwierdziło się to zresztą, gdy tylko doszliśmy do domu. Ten tęgi, którego kazano mi nazywać Danielem_whisky, wystąpił naprzód i wygłosił wielką przemowę w tym obcym, mało mi znanym języku. Musiała ona być bardzo wesoła. Wszyscy trzej aż się pokładali ze śmiechu.

Stałem z boku i przyglądałem się z zaciekawieniem tym nieznanym przybyszom. Nie ulegało wątpliwości, byli to mili ludzie. Twarze pogodne, szczere, przypadające człowiekowi do serca. Mimo to było w nich coś, co wzbudzało we mnie niepokój. Nie wiem dlaczego, uczułem naraz, że ci ludzie nie przyniosą nam szczęścia.

XXXIII

Cóż to za wielki cień przemknął tam w górze, nad nami?... Ach tak, to kalong! Jaki on cichy, prawie nie porusza skrzydłami. Spływa powoli w dół jak smutny zwiastun nieszczęścia. To przecież znany nam doskonale zwierz i nieszkodliwy, a jednak nie lubię na niego patrzeć...

Tak, przyjaciele, istnieją takie stworzenia i rzeczy, które odpychają od pierwszego wejrzenia, często bez najmniejszego powodu. Ale są i inne. Cieszą one wzrok, radują duszę, a niespodziewanie zamieniają się w kielich goryczy. Właśnie tak stało się w Wedi Koto. Nie mogłem wcale narzekać na naszych gości. Zgrzeszyłem ciężko, gdybym powiedział, że to byli źli ludzie. Cieszyłem się z ich przybycia, wiedziałem bowiem, że doktor cierpi w skrytości, ponieważ nie słyszy nigdy rodzinnego języka. Sądziłem, że odsunie się od niego tęsknota. Niestety, stało się zupełnie inaczej.

Ten wyższy, Tomaszewski, był dyrektorem kopalni nafty pod Surabają. Ten drugi, Danielewski, pracował jako chemik na wschodzie Jawy. Daniel_whisky to było tylko przezwisko. Ten człowiek pił niemożliwie. Mimo to, rzecz dziwna, uchodził za wybitnego fachowca. Miał jeszcze jedną zaletę. Nawet gdy był już na pół przytomny, najdrobniejszej istocie nie potrafił wyrządzić krzywdy. Pamiętam, jak w przystępie dobrego humoru schwycił mnie w pól i podrzucił w górę jak piłkę. Gdybyście zobaczyli, jak przeproszał mnie, gdy wydałem okrzyk przestachu! Długo musiałem go uspokajać i tłumaczyć, że na szczęście, nie stało się nic złego i niepotrzebnie się martwi.

Widzicie więc, moi mili, że byli to dobrzy ludzie i nic nie zapowiadało kłopotów. Bawili u nas trzy dni, tuan był w siódmym niebie. Ledwie jednak wyjechali, jego dobry humor zniknął bez śladu. Zamknął się w sobie, stał się mrukiwy, odpowiadał niechętnie.

Zaniepokoiłem się poważnie, bo prowadziliśmy właśnie jedną z naszych najcięższych walk z demonami tytoniu. Próbowałem starych sposobów, aby go trochę rozruszać. Wycieczki dały jednak niewiele, nie pomógł wajang. Przestał nawet zaglądać do „Pana Tadeusza”, chociaż tak bardzo go lubił. Za to zagłębił się znowu w Słowackim, a to było najgorsze.

Głowiłem się dzień i noc, co by tu nowego wymyślić. Niestety, nie znałem przyczyn tej nagłej przemiany, toteż nic mądrego z tego nie wyszło. W połowie zaś czerwca zaszedł wypadek, który załamał mnie ostatecznie.

- Nong_nong - przemówił do mnie tuan któregoś dnia - udasz się do Bogoru. Potrzebne są nowe chemikalia. Przywieziesz je tutaj.

Wręczył mi listę. Gdy ją brałem, ręce mi drżały. Nie zdarzyło się jeszcze, aby wydał mi kiedykolwiek takie zlecenie. Sprawy z Ogrodem zawsze załatwiał sam i jeździł tam chętnie. Jeśli obecnie nie nęciła go ta podróż, musiało być bardzo źle.

W pierwszej chwili zamierzałem odmówić, ale się rozmyśliłem. Mogłem niepotrzebnie wywołać Demona Złości, to zaś pogorszyłoby sytuację. Postanowiłem więc pojechać, lecz działać z jak największym pośpiechem, aby tu, w czasie mojej nieobecności, nie zdarzyło się jakieś nieszczęście.

W Bogorze zabawiłem krótko, szybko pozłatwiałem sprawy i już się wybierałem na pociąg, gdy przywołał mnie do siebie pan Wigman, naczelny ogrodnik.

- Po drodze wysiądziesz w Tjipannas - rzekł świdrując mnie nieprzychylnie oczyma, nie mógł bowiem zapomnieć, że ongiś przy opisywaniu paproci potraktowałem go dość niegrzecznie. - Zgłosisz się tam do profesora Treuba i zabierzesz pismo do swojego tuana. Nie jestem tylko pewien, czy trafisz...

Krew mi uderzyła do głowy, bo przyzwyczałem się już do tego, że ludzie mnie traktują poważnie. A ten ze mnie wyraźnie kpił! Cóż on sobie myśli? Ja miałbym nie trafić? Ja, Nong_nong, który wędrowałem ze swoim doktorem po całej Jawie?

- Proszę się nie martwić - odparłem szorstko. - Mnie nie potrzeba prowadzić za rękę! Zląkłem się nagle. Jak na owe czasy, ton tych słów był pełen buntu, ale widocznie pan Wigman zorientował się, że popełnił nietakt, więc się tylko uśmiechnął zakłopotany. W gruncie rzeczy był to bardzo porządny chłop, tylko nieco zgryźliwy.

W Tjipannas znalazłem się koło południa. Było to wówczas niewielkie osiedle, gdzie wśród naszych chat znajdowały się piękne wille generalnego gubernatora i wielu wyższych urzędników z Bogoru. Miejscowość była urocza, słynna ze swych źródeł leczniczych. Dom, którego szukałem, znalazłem bez trudu. Któż by tu nie znał dyrektora naszego Ogrodu! Ogromnie się ucieszył z mojego przybycia.

- Świetnie! - wykrzyknął na mój widok. - Bardzo mi byłeś potrzebny. Miałem wystać pocztą, lecz tak dojdzie szybciej. Wręczysz to doktorowi.

Podał mi zaklejoną kopertę, a potem zaczął wypytywać o nasze prace.

Opowiedziałem mu szczegółowo, gdy zaś wspomniałem o słońcu, które doktor zaprzągnął do badań, profesor aż klasnął w ręce z wielkiej uciechy.

- Co za człowiek! - wykrzyknął. - Nie zaniedba niczego. Ale ty, Nong_nong - dodał wpatrując się we mnie uważnie - dużo się nauczyłeś. Tak opowiadasz, jakbyś sam prowadził te prace...

Tak, nasz dyrektor umiał chwytać człowieka za serce. W jego słowach czuło się uznanie i podziw, troskę i wielką życzliwość. Skłoniłem się uprzejmie w podzięce.

- Gdybyś popracował z nim jeszcze przez kilka lat - profesor bardzo spoważniał - mógłbyś zastąpić w przyszłości swego ojca Paidana. Niestety, doktor nie zabawi tu pewnie długo. Ptaki o takim wspaniałym locie nie lubią zbyt długo zagrzewać miejsca.

Zmartwiałem. A więc to, czego się obawiałem od dawna, rzeczywiście mogło nastąpić?...

- Wyjedzie? - zacząłem bąkać zmieszany. - Doktor odjedzie?...

Profesor pokiwał głową. Widać było, że i dla niego ta myśl wcale nie była przyjemna.

- Co robić? - westchnął. - Każdy ciągnie do swego kraju. Píše mi właśnie profesor Goebel - dyrektor położył rękę na leżącym na stole liście - że na pewno zabierze go wkrótce któraś z polskich uczelni.

Te słowa wytrąciły mnie z równowagi. Musiałem wyglądać podle, gdy znalazłem się wreszcie w domu, tuan bowiem od razu zwrócił na to uwagę.

- Chory jesteś? - zapytał.

Z miejsca poczułem się raźniej. W jego głosie czuło się wiele troski, a to zawsze wpływa na człowieka kojąco.

- Ech, nie! - zbagatelizowałem tę sprawę. - Zmęczyłem się trochę podróżą.

Pokazałem mu listę sprowadzonych chemikaliów, a potem wyjąłem list. Doktor zaklął, gdy tylko rozerwał kopertę.

- Znow ten dongkellan! - wykrzyknął. - Tym razem aż w Probolingo...

Zerknąłem na pismo. Była to zwykła, znana mi dobrze umowa w dwóch egzemplarzach. „Deleguje się pana w celu przeprowadzenia badań nad epidemią...” itd. Na dole widniał podpis profesora Treuba.

- No cóż - westchnął tuan zaczynając spacerować po izbie - trzeba będzie pojechać. Dopilnujesz tu tymczasem wszystkiego w czasie mojej nieobecności.

Usiadł przy stole, podpisał umowę, a potem włożył ją w inną kopertę.

- Oddaj jutro na pocztę - rzekł w zamyśleniu, gdy umieścił adres. - Tak, trzeba tam jechać natychmiast - dodał jakby do siebie. - Wkrótce może zabraknąć czasu...

Przyglądałem mu się uważnie. Powiedział dziś więcej niż przez cały ubiegły tydzień. To było dobrze. Smutek nie zniknął jednak z jego oblicza, ani razu się nie uśmiechnął. A co najgorsze - widniały ciągle w kącikach ust podejrzone fałdy, które nie dawały mi spokoju od wielu dni. Wydawały mi się dziwnie znajome...

Zadrżałem nagle, gdyż je wreszcie poznałem. Tak, przyjaciele, to było wstrząsające odkrycie. W naszym domu zjawił się powtórnie straszliwy Demon Goryczy!

XXXIV

Znowu jakiś kalong przepłynął nad nami. Syty i zadowolony, opuszcza las. Widocznie do świtu już niedaleko... Rzeczywiście, księżyc też przesunął się znacznie w stronę wulkanu Gedeh, jego blask stał się jeszcze jaskrawszy. Widzę teraz wyraźnie wasze twarze, o moi mili...

Tak, tak, - ogarnia mnie smutek, bo gdy tuan powrócił z tej podróży, kąciki ust nie tylko nie zwarły się, lecz jeszcze bardziej opadły. Był bardzo milczący. Z największym trudem wyciągnąłem z niego wiadomość, że z dongkellanem nie ma żadnego kłopotu. Sprawa była znana, a tylko ludzie nie potrafili tam wykorzystać umiejętnie zdobytych wiedzy i dopuścili do klęski.

W dwa dni później wyjechaliśmy na zaproszenie sułtana do Solo, aby wziąć udział w uroczystościach dworskich. To, co zobaczyłem, przekroczyło moje najśmielsze marzenia. Przepych był ogromny, ministrowie podchodzili na klęczkach do władcy, jak tego wymagały starodawne przepisy. Oczarowały mnie tańce w naszych strojach narodowych - tak piękne, że gdy raz się je zobaczy, nie zapomni się nigdy. Na zakończenie zaś urządzono zabawę z tygrysem. Ludzie stłoczyli się w ogromnym kole, na front wysunęły się dwa szeregi wojowników z lancami. Tygrys znajdował się w klatce, pośrodku. Gdy go wypuszczono, najpierw przyjrzał się uważnie tłumowi, a potem skoczył, chcąc się wydostać na wolność. Odepchnięto go natychmiast włóczniami. Odskoczył wściekły, przyczał się chwilę i nagle runął jak burza. Ludzie krzyknęli z trwogi, lecz i tym razem nic z tego nie wyszło. Zwierz został przekłuty włóczniami i padł.

Doktor w powrotnej drodze wspominał z ożywieniem to wszystko, gdy jednak znaleźliśmy się w domu, zmarkotniał. Swoim zwyczajem zaczął krążyć po izbie. Próbowałem go kilka razy wciągnąć w rozmowę. Początkowo coś tam burknął niechętnie, później zaś w ogóle się nie odzywał. Dałem wreszcie spokój i zająłem się nowymi aktorami, których sporo dokupiliśmy w Solo do naszego wajangu.

Niespodziewanie tuan przybliżył się do mnie i usiadł naprzeciw.

- Słuchaj no, Nong_nong - przemówił powoli - dlaczego wy, Jawajczycy, jesteście tak bardzo głupi?

Żachnąłem się w pierwszej chwili, bo w tym pytaniu kryła się ciężka obraza. Co się z nim stało? Pracowaliśmy razem już trzeci rok, ale jeszcze się nie zdarzyło, aby na nasz naród powiedział choć jedno złe słowo. Przyjrzałem mu się badawczo. Co tam przez niego przemawia? Demon Głupoty? Ależ skąd by - to zupełnie niepodobne do mojego doktora! Więc Demon Złości? Też nie, zmarszczki na czole ułożyły się zupełnie inaczej. Może Demon Goryczy?... Wykluczone. Kąciki ust były zwarte jak dawniej, lecz nie było w nich jeszcze tego bólu, który znałem tak dobrze z czasów Kagoku. Zatem Demon Rozpaczy?...

Odrzuciłem i jego, przewertowałem w myśli kilka innych nieprzyjemnych typów z tego świata podłości, ale żaden z nich nie pasował.

Targnęła mną irytacja.

- Nie rozumiałem pytania... - odparłem powoli, starając się zyskać na czasie. Doktor poprawił się nerwowo w fotelu.

- Wszyscy was grabią - przemówił w zdenerwowaniu - a wy żyjecie w nędzy i patrzycie na to cierpliwie. Właśnie tego nie mogę zrozumieć.

Rozbłyły mi oczy. Nareszcie schwyciłem, co mi było potrzebne! Przemawiał przez niego bunt. Rzeczywiście te uroczystości w Solo musiały bardzo drogo kosztować. Ileż to byłoby pożytku, gdyby te pieniądze rozdać ubogim!

Poczułem się trochę nieswojo. Bunt udziela się szybko, więc i mną trochę zatargał.

- Panie - przemówiłem uroczyście, usiłując się przed nim bronić - tak musi być. Gdyby nie te zwyczaje, moglibyśmy zapomnieć, że jesteśmy wielkim narodem. Tymczasem są one na pewno potrzebne.

To go trochę uspokoiło. Argument istotnie był dobry, a on prawdopodobnie o nim nie wiedział. Zastanawiał się przez pewien czas, twarz jego stała się bardziej pogodna. Powstał i zbliżył się powoli do okna. Stałem obok. Widok był nader przyjemny. Nasz tytoń rósł pięknie. Phytophthora, jak dotychczas, nie miała do niego dostępu.

Przypomniały mi się słowa dyrektora Treuba i podziały na mnie jak iskra. Co się z tym wszystkim stanie, gdy on odjedzie? Zaniepokoiłem się. Były przecież jeszcze ważniejsze sprawy niż tytoń...

Spojrzałem na niego spod oka. Stał zamyślony, nie ulegało wątpliwości, że ciągle kręci się koło niego Demon Goryczy. Trzeba było działać natychmiast i wykorzystać do końca chwilową zmianę nastroju.

- Panie - odezwałem się grzecznie - zaniedbaliśmy ostatnio naszą najważniejszą robotę. Odwrócił się powoli. Wydawał się mocno zdziwiony.

- Jaką robotę? - zapytał nie rozumiawszy, o co mi chodzi. - Przecież tytoń rośnie, badania prowadzimy normalnie.

Uśmiechnąłem się w duchu. Szczęśliwie udało mi się odwrócić jego uwagę od rzeczy smutnych. Tak, tak, znałem go przecież na wskroś. Umiejętnie użyte słowo jest często

silniejsze niż najostrzejsza broń. Skorzystałem z zaskoczenia i zastosowałem zaraz inną taktykę.

- Tytoń tytoniem - przemówiłem z werwą - z nim jakoś będzie. Jego atakuje tylko dziewięć Demonów Zniszczenia. A co z resztą? Co z tymi, które ściągnęliśmy z całej Jawy do naszej wspaniałej kolekcji? Wiele z nich - zakończyłem z wyrzutem - nie ma nawet dotychczas nazwy!

Czoło tuana pokryło się gęsto zmarszczkami.

- Na to jest czas - mruknął niechętnie. - Z pewnością nie mamy wszystkich...

Wahał się - to było już wiele. Należało uderzyć silniej. Ha, spróbujemy wykorzystać bunt, który czaił się w nim przed chwilą!

- Gdybyśmy szukali do końca życia, nie wysledzilibyśmy wszystkich - przemówiłem z głęboką powagą. - Demony boją się nas, więc coraz głębiej kryją się w puszczy. Toteż nie można odwlekać sprawy. Trzeba opisać tymczasem te, które trzymamy w niewoli. Gdy je poznają inni, łatwiej będzie można prowadzić walkę. Jeśli tuan tego nie robi, to kto?

Pytanie było bardzo bojowe. Zmarszczki na czole doktora opadły na moment, ale zaraz wróciły.

- Hm... - mruknął znacznie pogodniej - dużo w tym racji. Tylko te nazwy...

Zrobiło mi się gorąco. Czułem, że w połowie wygrałem sprawę. Z nazwami rzeczywiście był kłopot, musiały być bowiem bardzo wymyślne i naukowe, a mój tuan już się przemęczył łaciną. Klął nieraz, gdy nadawał je paprotnikom, a w tym przypadku szło nie tylko o nowe gatunki, ale i o całe rodzaje. Myślałem o tym od dawna, toteż miałem gotową receptę. Postanowiłem teraz upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Grzyby zostaną oznaczone, a przy okazji utracę raz na zawsze ohydny Demona Goryczy.

- Panie - rzekłem uśmiechając się dobrodusznie - nazwy mamy gotowe. Trzeba tylko wyciągnąć po nie rękę.

Doktor z powątpiewaniem wywinął wargi. Nie speszyłem się wcale. Podszedłem do szafy, wyjąłem „Pana Tadeusza” i rzuciłem okiem na przypadkowo otworzoną stronicę.

- Oto jest pierwsza - pokiwałem wesoło głową na widok imienia, które spostrzegłem pośrodku. - Telimena!...

Doktor poruszył powiekami, jakby spadło na niego olśnienie. Policzki mu poczerwieniały, szczęki zaczęły drgać podejrzenie.

- Brzmi to świetnie - dodałem z pośpiechem, aby przełamać ostatecznie wszelkie możliwe opory. - Zupełnie jak po łacinie. A pani Telimena jest przy tym zupełnie miłą kobietą. Warto takie imię uwiecznić...

Przemawiałem miękko, życzliwie i to czyniło na tuanie coraz większe wrażenie.

- Albo na przykład taki pan Gerwazy - był to jeden z bohaterów „Pana Tadeusza”, który mi się bardzo podobał. - Dlaczego i on nie może pozostać u nas na Jawie?

Doktor nie odzywał się.

Uczułem naraz niepokój. Najwidoczniej coś mu nie odpowiadało w moim projekcie.

- Rzeczywiście dobry pomysł - rzekł po chwili - ale ma jedną wadę. Grzyby to przecież Demony Zniszczenia. Nie wypada więc nadawać im nazw tych postaci, które w oczach mojego narodu uchodzą za sympatyczne.

O mało się nie roześmiałem.

Martwił się o taką drobnostkę! Przecież ja też bardzo lubiłem tych ludzi, a mimo to nie miałem żadnych skrupułów.

- Panie - odparowałem natychmiast te zastrzeżenia - nic nie szkodzi. Złym duchom należy nadawać dobre nazwy, aby je w ten sposób odmienić.

Przekonałem go ostatecznie, rozumiał bowiem tak samo dobrze, jak my, że z demonami walczy się nie tylko chemikaliami, ale także podstępem. Z podniecenia rozbłysły mu oczy.

- Świetnie! - wykrzyknął. - Polskie nazwy dla jawajskich Demonów Zniszczenia!

- Panie - wtrąciłem z szacunkiem - to nie tylko nazwy. To spory okres historii pańskiego narodu. Gdy opuszczą Jawę nasi starsi bracia, Holendrzy, pracę przejmą nasi uczeni. A wtedy... - głos mój rozbrzmiał entuzjastycznie, bo w walce z Demonami Zniszczenia człowiek unosi się łatwo - a wtedy odkryją oni prawdę. Zrozumieją, co się kryje pod tymi nazwami!

Doktor spoglądał na mnie jak urzeczony. Obserwowałem go czujnie. Kąciki ust rozluźniły się, a więc niebezpieczeństwo minęło. Odetchnąłem z ulgą. Czar, rzucony przez tych dwóch Polaków, którzy nam niedawno złożyli wizytę, pryskał, przyszłość zaczęła się zapowiadać pomyślnie.

Chciałem właśnie otworzyć usta, aby powiedzieć coś wesołego, gdy tuan niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

- Kapitalne! Sydow chyba się wścieknie! Ależ będzie uciecha!...

Uśmiechnąłem się również, zrozumiałem bowiem komizm tej sytuacji. Profesor Sydow był niemieckim uczonym, który wydawał atlasy grzybów rosnących na całym świecie. W przeciwieństwie do profesora Goebła bardzo nie lubił Polaków.

Zatarłem ręce z radości, za jednym bowiem zamachem ubiłem dwie sprawy. Demon Goryczy wyleciał z naszego domu jak z procy i pewnie na zawsze połamał kości, a przy tym wykorzystałem z pożytkiem Demony Zniszczenia.

Uderzą one teraz we wroga polskiego narodu. To sprawiedliwie.

Tak to, przyjaciele mili, można nawet demony zaprząć do szlachetnej pracy, jeśli tylko człowiek jest mądry i dostatecznie nabierze wprawy.

XXXV

Zapaliłem się do tego projektu, im dłużej bowiem zastanawiałem się nad nim, tym bardziej mi się podobał. Nie mogliśmy jednak przystąpić natychmiast do jego realizacji, gdyż przez kilka najbliższych dni trzeba się było zająć tytoniem. Phytophthora nie pokazała się nigdzie, za to Demon Mozaikowy zakradł się na młode plantacje i zaczął czynić tak straszne spustoszenia, że aż się chwyciłem za głowę. Natomiast tuan zaskoczył mnie swoim spokojem.

- Nie martw się - próbował mnie nawet pocieszyć - to należało przewidzieć. Zdaje się, że i z tego wybrniemy.

Zerwał liść chorej rośliny, obcinając go paznokciem, a potem zrobił nim rysę na zdrowej.

- Zajrzymy tu za tydzień - mruknął. - Zobaczymy, czy moje podejrzenia są słuszne... Zapomniałem o tym wkrótce, ponieważ przeszliśmy z kolei na jedyne pole, do którego mozaika nie miała dostępu.

- Widzisz - doktor był bardzo zadowolony z tego widoku. - Tu wszystko trzyma się dobrze. Słońce pomogło. A więc potrzeba przynajmniej sześciu dni.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, co ma na myśli, ale mi zaraz wyjaśnił:

- Należy nasłonecznić ziemię inspektową przynajmniej w ciągu sześciu dni. W tym czasie ginie zarazek mozaikowy.

Tak, teraz było to jasne. A więc rzeczywiście udało nam się wykorzystać słońce do pracy. No, po tym odkryciu wiele się zmieni na Jawie i na Sumatrze!

Uradowałem się ogromnie i z podwójną energią zabrałem się do roboty, toteż tydzień zleciał jak z płatka. Wtedy znalazłem się znowu przed tą rośliną, którą tuan przeorał paznokciem. Przeraziłem się, gdy na nią spojrzałem. Dolne liście wyglądały normalnie. Górne jednak, które ledwie wyrosły, już żółkły albo miały rozliczne plamy.

Doktor i tym razem był bardzo zadowolony.

- Tak - mruknął do siebie - najmniejsze zadrażnienie przenosi chorobę. Ludzie muszą myć ręce przed rozsadzaniem. Powinni uważać przy tym, aby nie uszkodzić rośliny.

No cóż, nasz dyrektor miał rację... Ten człowiek nie zapominał o niczym i może dlatego osiągał znacznie lepsze wyniki niż inni. Myć ręce przed rozsadzaniem... Nikt tego do tej pory nie robił, a skutki były straszne; przykład miałem przed sobą. Teraz, gdy na niego patrzyłem, sprawa wydawała się prosta. Spróbujcie rozerwać skórę brudnym paznokciem. Na pewno ranka zacznie się jątrzyć i boleć, a przecież z roślinami jest podobnie.

Przez pewien czas snułem rozważania na temat podobieństwa ludzkiego ciała do ciała rośliny, ale gdy tylko zakończyliśmy najważniejsze roboty, zabrałem się do naszych Demonów Zniszczenia. Któregoś dnia, gdy tuan był zajęty przy nowych inspektach, wyłożyłem wszystkie na stoły i posegregowałem tak, jak to niegdyś zrobiliśmy z paprotnikami w Bogorze.

- A, już czyhasz na mnie!... - doktor roześmiał się, gdy to zobaczył. - No, dobrze. Rzeczywiście mamy dziś czas. Trzeba jednak ułożyć trochę inaczej.

Zmartwiłem się, bo w tę pracę włożyłem dużo serca, ale cóż, trzeba było ustąpić. On znał się lepiej na tym niż ja. Rozejrzał się uważnie, odczytał kartki z opisami i z wynikami badań, a potem wydzielił sporą grupkę demonów.

- Tak, to jeden rodzaj - rzekł w zamyśleniu. - Nie ma jeszcze nazwy. Co proponujesz? Zastanowiłem się. Grzyby były ładne, barwne, ale znajdował się między nimi i lijer, i Phytophthora, z którymi mieliśmy tyle kłopotów. Podłe to było, niewdzięczne, człowiekowi spływał nieraz pot z czoła, gdy z nimi walczył, lecz czy wolno mi było teraz o tym pamiętać? Przecież to obecnie nieszkodliwe stworzonka. Nawet nad demonami trzeba mieć litość, gdy odniosło się nad nimi zwycięstwo. Rozczuliłem się, toteż zaraz przyszła mi na myśl postać z „Pana Tadeusza” - bardzo nieszczęśliwa, ale i bardzo dzielna. Mogła ona tu nie tylko doskonale pasować, ale i nawrócić te ładne demony na dobrą drogę.

- Sopllica - odpowiedziałem uroczyście. - Wspaniały ksiądz, który tak samo dobrze włada Biblią, jak szablą. Dobrze się stanie, jeśli on będzie panował nad tak drapieżną gromadką.

Tuan posmutniał nagle. W pierwszej chwili sądziłem, że może obraziłem jego religijne uczucia, mimo że moje argumenty wydawały się bardzo rozsądne.

- Wiesz co Nong_nong? - przemówił powoli. - Bardzo kocham „Pana Tadeusza”, ale czy wolno nam zapomnieć o Słowackim? Mickiewicz jest sławny bez tego...

Zrobiło mi się nieswojo, lecz nie mogłem zaprzeczyć. W tym była racja. Jeśli ten biedny Słowacki został uznany przez własny naród za wielkiego poetę dopiero w wiele lat po śmierci, należało dać mu zadośćuczynienie. Musiałem być bezstronny. Żał mi jednak było dzielnego księdza, który z tego powodu nie pozostanie u nas na Jawie.

- Co tuan radzi?... - spytałem.

- Weneda.

Westchnąłem. No cóż, niech będzie Weneda... To od „Lilli Wenedy”. Słowacki napisał utwór pod tym tytułem i, trzeba mu oddać sprawiedliwość, napisał pięknie.

- Bardzo smutna postać... - próbowałem się jeszcze opierać, gdyż niełatwo było mi się pogodzić z utratą Soplicy.

Tuan pokiwał głową.

- Smutna, to prawda - potwierdził. - Czy jednak nie pasuje lepiej do tych szkodników?

Niestety, też miał rację i znowu nie mogłem zaprzeczyć. Patrzyłem więc spokojnie, gdy zabrał się do pisania i uzupełniania karteczek. Byłem przekonany, że mój Sopllica dojdzie jeszcze do głosu. Materiał był olbrzymi i w większości bez nazw.

W kilka dni później wzięliśmy na warsztat inny rodzaj. Dyskusja była zacięta, lecz i tym razem przegrałem. Doktor stawał się coraz smutniejszy, zwyciężył więc nieodwołalnie Słowacki. Wyłynęła piękna Elsinoe z kilkorgiem dzieci, których, o ile sobie przypominam, wcale nie miała w dramacie. To zresztą nie było dziwne. Jeśli przeniosła się na Jawę, mogła przecież założyć rodzinę.

Kiedy jednak sięgnąłem do demonika, którego znaleźliśmy w czasie jednej z ostatnich wycieczek na stoku wulkanu Merapi, postanowiłem wystąpić bardziej stanowczo.

- Panie, to musi być Telimena! - przemówiłem, wskazując elegancki grzyb, który dziwnie mi przypominał sympatyczną postać kobiecą z „Pana Tadeusza”. - Proszę zobaczyć, jak jest doskonale ubrana.

Doktor pochylił się, twarz mu się rozjaśniła uśmiechem.

- Masz dobre oko - pochwalił wesoło. - Co za suknia, z jakim smakiem dobrane kolory!...

- Świetnie! - uderzył ręką w stół z wielkiej uciechy - niech będzie z niej Telimena!

Niestety, była ona samotna. Trochę żał mi się zrobiło, ale cóż można było doraźnie poradzić? W „Panu Tadeuszu” było zresztą tak samo. W każdym razie tu, w Wedi Koto, daliśmy jej wielkie szanse, stawiając ją na czele nowego rodzaju. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że doczeka się szybko rodziny.

Tuan był w doskonałym humorze, toteż jeszcze tego samego dnia zarobił mój ulubiony Mickiewicz. Od imienia jednej z bohaterek jego utworów nadaliśmy innemu rodzajowi nazwę Aldona. Ale to było wszystko. Przez kilka następných dni zajmowaliśmy się wyłącznie tytoniem, gdy zaś wróciliśmy do naszej najważniejszej roboty - zmieniły się radykalnie nastroje. Słowacki był górą, jego duch unosił się bez przerwy w pokoju.

- Nowy rodzaj - mrucał tuan coraz posepniej, pochylając się leniwie nad biurkiem. - Niech będzie Balladyna...

Przysiadłem w kącie i przeżywałem w milczeniu klęskę. Czułem, że nic nie wyjdzie z Soplipy. Wszelkie moje wysiłki zawiodły. Nawet nie radził się mnie, jak to robił poprzednio. Było mi bardzo przykro, zamknąłem się w sobie. Dobrze, niech sam decyduje... Palcem się do tego więcej nie dotknę!

Dom zamieniał się szybko w grobowiec, pogoda, która tu niegdyś panowała, zniknęła teraz bez śladu. Wkrótce pojawił się tragiczny rodzaj Anhellia, potem straszliwy Lambro. Dopiero gdy tuan ogłosił Goplanę, poczułem się nieco lepiej. Ona też, jak wszystkie poematy

Słowackiego, tchnęła bólem i melancholią, lecz zakłęty był w tym słowie przynajmniej podmuch wielkiej legendy. Rozweseliłem się zaś na dobre, gdy następnego dnia ukazał się Skierka, wesoły chochlik, który może rozbawić człowieka do łez. Były to jednak tylko krótkie chwile oddechu. Zaraz bowiem wystąpił potężny Kordian z dwoma synami, a potem Beniowski, który wprawdzie miał tylko jedną córkę, lecz za to bardzo liczną bliższą i dalszą rodzinę.

Doktor musiał spostrzec, że coś nie jest ze mną w porządku, bo opowiedział mi przy okazji pocieszającą historię o Lelum i w uniesieniu nazwał natychmiast jeden z rodzajów jego imieniem. Chciał mnie rozruszać, ale to właśnie dołało oliwy do ognia. Miałem dość Słowackiego i tego przygnębienia, które unosiło się w izbie. Cóż to, nie było weselszych postaci? Jeśli już nie Sopllica, dlaczego na przykład nie Gerwazy albo Protazy, którzy występowali z takim powodzeniem w moim wajangu. Cóż on sobie myśli? Żadnego z nich nie chce mi tutaj zostawić?

I wtedy to, przyjaciele mili, wypełził z zakamarków ohydny Demon Goryczy. Tym razem nie zaatakował bynajmniej tuana. Zanim się spostrzegłem, mnie usidlił podstępnie, objął tysiącem macek, wpił się w ciało, nadwątlił siły i sączył trujący jad, aż wreszcie zalała mnie żółć.

Zbrzydło mi naraz wszystko - i doktor, i ten dom, demony, i tytoń. Palił mnie żal, wściekłość zamąciła mi mózg, wkraść się bunt, który rozrywał serce na strzępy.

- Panie - odezwałem się cicho któregoś wieczoru - odchodzę...

Doktor nawet nie podniósł głowy znad biurka. Z rozmachem uzupełniał swoje notatki do pupilów ze Słowackiego, ponieważ przygotowywał je już do druku.

- Panie - przemówiłem głośniejszym głosem, sądząc, że mnie nie usłyszał - odchodzę na zawsze. Jeszcze dziś wyruszam do domu!

Doktor odłożył pióro i spojrzał na mnie uważnie.

- Co za giez cię ugryzł? - mruknął, ale roześmiał się zaraz. - Dziś nie zdążysz na pociąg - dodał z humorem. - Poczekaj do jutra. Dam ci sado. Przecież do stacji daleko.

Pokiwał głową, jakby się nade mną litował, a to mnie jeszcze bardziej ubodło. Pochylił się potem nad biurkiem i pisał dalej. Ja natomiast podszedłem do szafy. Wyjąłem wajang i zacząłem ustawiać cudne, przywiezione z Solo, postaci. Byłem przekonany, że ożywią je po raz ostatni.

Demon Goryczy zaś sączył coraz groźniejszy jad. Ścisnął mi gardło, rozplómił policzki, zmuszał serce do drżenia. Potrafił świetnie wykorzystywać każdą chwilę słabości.

Następnego dnia, gdy tuan spał jeszcze w najlepsze, zabrałem jedynie krysy i ruszyłem pieszo do stacji. Miałem zdrowe nogi i wspaniałe Elmu Wytrwania. Mogłem się obejść bez sada...

Jeszcze jeden kalong! Skąd ich się tyle nabrało?... Wszystkie spływają w stronę Bogoru, chociaż nie słyszałem dotąd, aby gdzieś tam miały swoje kryjówki. Dlaczego ja ich nie lubię?...

Kocham przecież serdecznie ludzi i zwierzęta, i kwiaty. Nie zrobiłbym krzywdy nawet najdrobniejszej istocie i im też nie zrobię, lecz nie chcę mieć ich koło siebie. Kto wie, może dlatego, że przypominają dziwnie demony?... Ich lot jest miękki i bezszelestny, nie zamają nigdy ciszy ani ruchem skrzydeł, ani żadnym okrzykiem. Unoszą się w powietrzu jak cienie i siadają jak cienie. Tak właśnie, jak to robią demony.

Tak, moi mili, to pewnie to... Wówczas, gdy opuściłem nasz dom w Wedi Koto, nie zdawałem sobie sprawy, że jestem osaczony ze wszystkich stron, mimo iż zwała się na mnie cała falanga tych ciemnych sił. Ja, który potrafiłem nie tylko radzić sobie z nimi skutecznie, ale coraz śmielej zaczynałem je wodzić za nos i nawet zmuszać do pożytecznej roboty, sam im w końcu uległem. Tak to, niestety, bywa, gdy człowiek zapomni na chwilę o ich istnieniu. Nie przyszło mi do głowy, aby je odpędzić, gdy w chłodzie poranka dążyłem szybko do stacji. Męczyły mnie zaciekłe na dworcu, gdy siedziałem na ławce, oczekując na pociąg. Uderzyły na mnie hurmem, tamowały oddech, wyciskały łzy z oczu, burzyły krew.

Było pusto, pociąg bowiem miał nadejść dopiero koło południa. Spoglądałem przed siebie tępo. Przeszedł obok jakiś kolejarz, rzucił na mnie obojętnie okiem i zniknął w najbliższych drzwiach. W dali, za torami, pracowało w polu kilka kobiet, jakiś dzieciak prowadził bawołu. Naokoło panowała kompletna cisza. Nie wpływała ona jednak na mnie kojąco. Nie ma nic gorszego w chwilach klęski jak zupełna samotność. Demony przejmują wówczas na siebie rolę doradców.

Siedziałem tak chyba z godzinę, gdy gdzieś za budynkiem stacyjnym rozległo się stąpanie konika i skrzypienie sada, Poruszyłem się niespokojnie; demony, hulając dotąd bezkarnie, z miejsca zwietrzyły niebezpieczeństwo. Skuliłem się w sobie i pod ich dyktando zakryłem rękami twarz. Ktoś tam nadchodził, zazgrzytał żwir. Zerknąłem między palcami, demony bowiem nie mają władzy nad ciekawością. Nasrożyłem się nagle, targnął mną bunt. Przedemną stał tuan we własnej osobie!... Był surowy i gniewny.

- Nong_nong! - wykrzyknął. Co ty wyprawiasz?

Przyznam się wam ze wstydem, o bracia, że zapomniałem wtedy nawet o uprzejmości. Nie wstałem. Zatrząśł mną Demon Gorczy, Demon Złości nakazał mi obojętność. Było mi wszystko jedno.

- Odjeżdżam, panie - odpowiedziałem powoli. - Uprzedziłem wczoraj wieczorem. Czekam właśnie na pociąg.

Szczęki doktora zadrgały nerwowo. Znałem to dobrze. Usiłował ukryć wzruszenie.

- Nong_nong - przemówił cicho - o co ci chodzi? Chcesz więcej pieniędzy?

Żachnąłem się, Demon Złości aż zaryczał z uciechy. Podszeptował mi pośpiesznie słowa najwyższej pogardy.

- Dziękuję - mruknąłem szorstko. - Mam dość swoich. Nie wzięłem nawet ostatniej pensji.

Doktor poczerwieniał. Zrozumiał na pewno, że takie pytanie było nietaktem. Z rozliczeniami między sobą nie mieliśmy nigdy kłopotów.

- Widzisz, do czego doprowadzasz... - w jego głosie czuło się teraz wyrzut i żal. - Przestaję nad sobą panować. Powiedzże w takim razie sam, dlaczego uciekłeś? Jaki cię demon opętał?

Tak, bracia, on właśnie w ten sposób przemawiał! Znał się na tym nie gorzej niż ja, więc od razu odkrył przyczynę. Drgnąłem, gdy o tym wspomniał, tknęło mnie niejasne przecucie. Zaatakował mnie gwałtownie Demon Gorczy.

- Panie - odezwałem się uroczyście, nareszcie podnosząc się z miejsca - nie było mi źle ani nie potrzebuję więcej pieniędzy. Nie mogłem się jednak pogodzić, że stracił pan serce dla księdza Soplidy. Któż mógł pewniej utrzymać w ryzach nasze demony niż on?

Zmienił się nagle na twarzy. Argument, chociaż już go słyszał przedtem, musiał wyrzucić na nim piorunujące wrażenie. Ja zaś, gdy raz uchyliłem rąbka swej tajemnicy, rozgadałem się teraz na dobre. Rozszalał się we mnie Demon Goryczy, pieniał się Demon Złości, wył nieludzko Demon Rozpaczy, a nie obyło się i bez tego, żeby nie wtrącił trzech groszy plugawy Demon Głupoty. Wylałem całą swą żołąć, wszystkie swe żale wygarnąłem mu wtedy do oczu. „To ładnie, że z całego „Pana Tadeusza” miała pozostać jedynie Telimena, i do tego bez dzieci?... Do czego to podobne, aby rządził niepodzielnie Słowacki i rzucał na naszą słoneczną wyspę powiew melancholii i smutku? Tu potrzeba mężczyzn, i to tęgich chłopów, którzy umieją władać orężem, a nie wiotkich postaci, które rozpląną się za lada podmuchem! Dlaczego nie mógł się pokazać Chrzyciel czy Rózczecka. Pokomorzy czy Wojski? Dlaczego nie oddano rządów Tadeuszowi albo nawet Hrabiemu, który w trudnej chwili też potrafił postawić się sztorcem...”

Rąbałem tak gorzką prawdę i unosiłem się coraz bardziej, bo przecież i mnie, i tym ludziom z „Pana Tadeusza” wyrządził straszną krzywdę, której nie da się już naprawić. „Co - można jeszcze zmienić nazwy? Nieprawda! Musi tak pozostać, jak jest. Każda zmiana - gotowe nieszczęście. Przepadło! Nic się nie da naprawić, a wszystko przez to, że tuan mnie nie słuchał, nie zwracał wcale uwagi na nasze jawajskie potrzeby! Należało się przedtem naradzić, a z kim, jeśli nie ze mną? Kto narażał swe życie, aby demony wysłedzić w puszczy, kto wędrował po wierzchołkach podniebnych drzew, kto...”

Zabrakło mi wreszcie słów z podniecenia i żalości, bo to była dla mnie wielka tragedia. Tak beznadziejnie zmarnować przepiękne imiona! Zaiste, bardzo trudno było wybaczyć...

Doktor przygarbił się, słysząc te oskarżenia, twarz mu pobladła, oczy zapadły się w głębi. Musiało to być dla niego wstrząsające przeżycie. Ujrzał po raz pierwszy Jawajczyka, którego opanował Demon Złości i bunt. Usłyszał przy tym bardzo przykrą prawdę, lecz tylko prawdę, i temu nie mógł zaprzeczyć.

- Po tym wszystkim - kończyłem swe oskarżenie - nie mogę pracować z tuanem dłużej. Nawet wróg nie postąpiłby w ten sposób, a to zrobił, niestety, człowiek, który nauczył mnie „Pana Tadeusza” na pamięć!

Spojrzałem na niego dziko, bo Demon Goryczy wsparł mnie silniej swoim podstępny ramieniem, on zaś pochylił się ciężko, głowa mu opadła bezwładnie. Wcale go nie żałowałem w tej chwili. Moje serce stwardniało na kamień. Gdy wyprostował się wreszcie, twarz jego była jeszcze bledsza, oczy zaczerwienione, napuchłe. Westchnąłem z zadowolenia.

Dobrze mu tak! Niech cierpi. Trzeba mu było już dawno wygarnąć!...

- No cóż - przemówił powoli, dobierając z trudem wyrazy - moja wina... We wszystkim masz rację. Więc odjeżdżasz? Nie możesz pozostać?

Zaniepokoiłem się. Byłem przygotowany na ostre słowa, choćby na jakąś próbę obrony, a ten przyznaje się od razu do winy, jest łagodny jak dziecko. Co się z nim dzieje? Czyżby przypadkiem nie zaplątał się tu znowu Demon Goryczy? Te kąciki ust...

Opanowałem się na czas. W tej sytuacji musiałem pozostać nieustępliwy.

- Nie, panie - odpowiedziałem z godnością. - Po tym, co się stało, nie możemy pracować razem.

Tuan pokiwał głową posepnie.

Był bardzo przybity.

- Co ja zrobię bez ciebie? - rzekł w zamyśleniu. - Mieliliśmy przynosić dzisiaj rozsądę, trzeba przygotować tabliczki na pola...

Poruszyłem się zakłopotany. To były ważne sprawy. Rzeczywiście, kto to wykona? Ludzi było wprawdzie sporo, ale oni nie nadają się do tak delikatnej roboty. Trzeba mieć do tego wyrobioną rękę i pewne oko.

- Albo te preparaty mikroskopowe - ciągnął dalej doktor, coraz bardziej ścisząc głos z wielkiego zmartwienia. - Obecnie trzeba ich bardzo dużo, bo nasionka kiełkują. No cóż, będę musiał robić to sam...

Westchnął, ja zaś przestąpiłem niepewnie z nogi na nogę. To też, niestety, była gorzka prawda, lecz prawda. Może wykonać sam, ale ile to zajmie mu czasu!... Ja zresztą robiłem lepiej i szybciej.

- A i te hodowle pewnie przepadną - tuan pokiwał głową z ubolewaniem. - Któż ich tak dopilnuje jak ty? Nie podleją ich na czas, nie będą wiedzieli, co dać. A człowiek przecież się nie rozdzieli...

Zmartwiałem nagle. Zapomniałem o nich zupełnie, wychodząc z domu. Jeśli tam nie zaopiekowano się nimi punktualnie o szóstej, wszystko pójdzie na marne!

- A czy dzisiaj zostały podlane? - wykrzyknąłem z przejęciem.

Zmęczone oczy tuana spoczęły na mojej twarzy. Widać było, że troska, którą wyczuł w moim głosie, zaskoczyła go mile.

- Na szczęście spostrzegłem się na czas - rzekł ciepło. - Wszystko tam jest w porządku. Zamyślił się znowu.

- Gorzej będzie za tydzień - przemówił po chwili. - Hodowle hodowlami, sam ich nie uratuję. Ale co będzie z Demonami Zniszczenia?

Nadstawiłem uszu. Co on krył jeszcze w zanadrzu? O jakie demony mu chodzi? Przecież te, które znajdowały się w naszej pracowni, nie potrzebowały żadnej opieki. Były opisane, szły już do druku. Czego mu jeszcze potrzeba?

- Jest ich dużo na zboczach

Merapi - doktor zaraz uzupełnił swą myśl, jakby się domyślił pytania. - Chciałem zrobić kilka wycieczek, aby wynaleźć nowe. Ale teraz nie warto - machnął ręką ze zniechęceniem. - Nie ma ciebie, nikt ich nie znajdzie. Na tym trzeba się znać...

Żal mi się go zrobiło. Gdy szło o Demony Zniszczenia, był beze mnie bezradny. Nie tylko trzeba się na tym znać, ale mieć nosa, jak to on lubił określać. Te stwory umiały się kryć. A na Merapi, to prawda, było ich bardzo dużo...

Zdjął mnie nagle strach, przyszło mi bowiem do głowy, że może uchować się tam jakaś poczwara, siejąca straszliwe nieszczęścia. I wtedy, przyjaciele mili, uczułem po raz pierwszy przykre wyrzuty sumienia. Jak to, ja, Nong_nong, syn mądrego Paidana, mam opuścić tego człowieka w tak trudnej chwili? Uciec, gdy może jesteśmy w przededniu jakiegoś wielkiego odkrycia? Pozostawić gdzieś w lesie jakiegoś szkodnika, na którego ludzie, jeśli nawet jeszcze nie narzekają, będą płakali w przyszłości? Kto go wynajdzie, jeśli nie my? Kto go unieszkodliwi, jeśli tuan wyjedzie wkrótce? Mogę go chwycić za łeb, a ja się od tego uchylam? Dlaczego? Aby ludzie przeklinali moje imię i uznali za niedołągę głupca? Zamrugalem powiekami, przeszło mnie mrowie. Przemknęły przed moimi oczyma złowieszcze obrazy. Jakiś Demon Zniszczenia, którego na Merapi nie pochwyliłem na czas, szaleje, sieje wokoło klęskę. Tłumy rzucają się na mnie i wymyślają. I mają rację, nie mogę powiedzieć słowa na moją obronę. Uciekam, kryję się w kąty. Ściga mnie lament, krzyk rozpaczliwy i gniew...

Były to bardzo przykre myśli, lecz nie odpędzałem ich, chociaż buntował się przeciwko nim przyczajony obok nędzny Demon Głupoty. Budziła się we mnie powoli uśpiona chwilowo wola działania, poczucie odpowiedzialności coraz mocniej dawało o sobie znać.

Doktor przyglądał mi się markotnie. Był zgębniony, bezradny, wyglądał tak biednie, że moje kamienne dotąd serce zaczęło się rozpląwać z żalu.

- Może się jednak rozmyślisz? - zapytał łagodnie. - Przecież mamy jeszcze dwa rodzaje bez nazwy. Można by trochę naprawić zło...

Nie, bracia, nie można się gniewać długo na człowieka, który przyznaje się tak szczerze do winy! Serce mi zmiękło do reszty i już chciałem otworzyć usta, aby wyrazić zgodę na powrót, gdy naraz Demon Goryczy spróbował po raz ostatni swych sił.

- To prawda, że mamy jeszcze dwa rodzaje - przemówiłem pod jego dyktando - ale pan już wynalazł dla nich z pewnością nazwy...

Wywinąłem wargi lekceważąco, jak to on robił niekiedy, i spojrzałem na niego ostro. Wszystko za podszeptem demona.

Doktor się spłoszył. Nie ulegało wątpliwości: trafiłem, niestety, w sedno...

- Rzeczywiście - przyznał ze skrucą. - Ale jeszcze ich nie nadałem. Możemy odmienić. To było wielkie ustępstwo z jego strony i należało je uszanować. Ze zniecierpliwieniem odepchnąłem od siebie Demona Goryczy.

- A co to miały być za nazwy? - spytałem starając się trzymać w ryzach, gdyż bałem się, że znowu wybuchnę, jeśli wystąpi Słowacki.

Doktor ożywił się.

- Znasz Mickiewicza - zaczął wyjaśniać szybko. - Wielki poeta. Również znasz Słowackiego...

Skinąłem głową. Znałem go aż za dobrze.

- To też wielki poeta - zgodziłem się bez zastrzeżeń, jestem bowiem sprawiedliwym człowiekiem. - Szkoda tylko, że taki smutny.

- Ale obok tych dwóch mistrzów - tuan już znacznie pogodniej kończył swoją myśl - jest trzeci. Tego nie znasz. Nazywa się on Krasieński. Widzisz - dodał gorąco - nie wypada mi o nim zapomnieć!

Tak, miał rację... Jeśli tamtych dwóch postawiło się na straży jawajskich demonów, byłoby wielkim nietaktem pominąć trzeciego. Argument był słuszny. Trudno, jeśli zrobiliśmy błąd na początku, nie należy teraz popełniać innych.

- Ha, niech więc zostanie - zgodziłem się grzecznie, bo dla wielkich poetów trzeba mieć zawsze wielki szacunek. - Jak się ten rodzaj będzie nazywał?

- Irydyonia. Od tytułu jednego z jego pięknych utworów.

Skinąłem głową przyzwalająco. To dobrze brzmiało i po malajsku, i po łacinie.

- A ten drugi? - spytałem.

Oblicze doktora pojaśniało.

- O, tym razem coś z Mickiewicza! - wykrzyknął. - Mendogia!...

Zastanowiłem się. Tak, to od Mendoga, czcigodnego starca, który tam, w Polsce, miał nawet własną górę, nazwaną jego imieniem.

- Ale jeśli się nie zgodzisz - tuan zafrasował się, źle widocznie zrozumiawszy moją powagę - nadamy mu inną nazwę.

- Nie, niech zostanie - uśmiechnąłem się do niego życzliwie, gdyż w tym przypadku istotnie dokonał świetnego wyboru. - Mendog da sobie radę. Taki czcigodny starzec, otoczony przy tym nimbem legendy, pasuje doskonale do naszych wulkanów.

Doktor ucieszył się nadzwyczajnie i zaraz odplącił mi serdecznym uśmiechem.

- Wobec tego wsiadajmy - rzekł biorąc mnie pod rękę po przyjacielsku. - Chciałbym dziś jeszcze przystąpić do rozmieszczenia tabliczek.

Pośpieszyłem się, gdyż naprawdę była to pilna robota, a tu zmarnowaliśmy dość dużo czasu. Wsiadliśmy więc zaraz do sady i ruszyliśmy w drogę. Spojrzałem na słońce. Zdjął mnie lęk. Dochodziło właśnie południe!

- Pognaj konia! - krzyknąłem na woźnicę. - Panie - dodałem wzburzony, zwracając się do tuana - powinienem zasłonić za chwilę tę hodowlę, którą wystawiliśmy na słońce! Nikt się tam nie domyśli. Wszystko pójdzie na marne!

Doktor położył rękę na mojej dłoni.

- Nie szkodzi - pocieszył mnie. - Od dziś będziemy zasłaniałi o drugiej. A na tę godzinę zdążymy.

XXXVII

I znowu odwróciła się karta... Prace poszły odtąd normalnie, ale w początkach listopada nadszedł od profesora Rostafińskiego list, który mną wstrząsnął do głębi. Nasz dyrektor miał rację. Mój tuan to był ptak przelotny, który musiał powrócić do swego gniazda. Szlachetny Ardżuna wydzielił z jego życia cztery lata na pobyt na Jawie, aby tu wykonał wielkie zadania, których nikt inny nie potrafił rozwiązać. Teraz zwalniał go z obowiązków. Dał mu sławę i świadczenie, pozwolił porównać florę tropikalną z europejską, związał go z nami głębokim uczuciem na zawsze, przy jego pomocy ujawnił kryjówki i obyczaje naszych Demonów Zniszczenia, więc mógł mu wreszcie pozwolić na odjazd do jego ukochanej ojczyzny. Tuan miał zostać profesorem Akademii Rolniczej w Dublanach. Tam również brakowało ludzi, a przecież jego kraj był wtedy bardziej nieszczęśliwy niż nasz i potrzebował większej pomocy.

Rozumiałem to doskonale, lecz trudno mi było pogodzić się z faktem, że go wkrótce zabraknie. Wpadałem więc często w zamyślenie i bezskutecznie szukałem sposobów, aby go tutaj zatrzymać. Tymczasem jednak, bardziej gorliwie niż kiedykolwiek, wypełniałem jego zlecenia. Pracy nam znacznie przybyło. Doktor zaczął gromadzić zbiory, które zamierzał zabrać ze sobą do Polski. Pomagałem mu chętnie.

Cóż, jeśli musiał odjechać, niech zabierze możliwie najwięcej. Będą mu one przypominały ciągle Jawę, nasz piękny Ogród i mnie...

W grudniu wróciliśmy do Bogoru. Tuan spędził święta w Djakarcie u miłej rodziny inżyniera Masłowskiego z Warszawy, również Polaka, którego poznaliśmy niedawno. Potem staliśmy się znowu wędrownikami, krążąc nieustannie między Bogorem i Wedi Koto. W

wolniejszych chwilach urządzaliśmy niezliczone wycieczki. Doktor kontrolował plantacje, dawał szczegółowe wskazówki, niszczył Phytosphorę, usuwał coraz radykalniej chorobę mozaikową, coraz lepiej radził sobie ze zgorzelą tytoniową, ulepszał fermentację liści i ich suszenie. Prace jego nabrały rozgłosu, a tam gdzie zastosowano jego recepty, osiągnano szybko doskonałe wyniki.

W maju zapędziliśmy się konno na południe Jawy, do wodospadów Tjigembok.

- Nie wypada, abym odjechał stąd - śmiał się tuan, gdy wjeżdżaliśmy w głęboką rozpadlinę, w której huczały wody strumienia - nie obojęzawszy roślin jawańskich, które znajdują się pod warstwami kamieni i skał...

Tak, przyjaciele, są u nas i takie rośliny. Rosły tu przed milionami lat, a potem wymarły. Na szczęście wulkany pokryły je popiołami i zachowały do naszych czasów, abyśmy wiedzieli, jak wyglądał świat, gdy na nim jeszcze nie było ludzi. Tuan oglądał z zaciekawieniem odciski liści, po pewnym zaś czasie wkroczyliśmy do znajdujących się wyżej, ciemnoszarych, prawie niebieskich parowów. Tu znaleźliśmy duży pokład martwicy.

- Dziwnie układa się życie człowiekowi - doktor zamyślił się. - Zazwyczaj botanicy zabierają się do badania roślin kopalnych pod koniec życia. Ja natomiast właśnie od tego zacząłem swoją naukową karierę.

Słyszałem o tym z jego opowiadań. Miał zresztą w swej bibliotece własne prace o florze kopalnej ziem polskich, które już przed laty, gdy był bardzo młodym człowiekiem, zwróciły na niego uwagę uczonych całego świata. Co jego dziwiło, mnie wydawało się naturalne. Przecież w naszej praktyce często obserwowałem, jak stawia całą sprawę na głowie i właśnie dlatego wygrywa. Niecodziennosc, moi mili, jest bowiem charakterystyczną cechą wielkości, o ile tylko wspiera się na rzetelnej pracy i głębokich wartościach moralnych. A to wszystko mój doktor posiadał.

W tydzień później znaleźliśmy się znowu w Bogorze. Nasze zbiory ogromnie wzrosły, brakowało dla nich miejsca w mieszkaniu. Dyrektor Treub, aczkolwiek bardzo zmartwiony wyjazdem tuana, okazał się jednak bardzo uprzejmy. Oddał do naszej dyspozycji jedną z sal laboratoryjnych, toteż wkrótce przenieśliśmy się tam z całą robotą. A było jej teraz niemało. Rósł zielnik, w setkach szklanych naczyń zatapiailiśmy w parafinie rośliny, których często nikt do tej pory nie badał.

- Pracy mi nie zabraknie - mruzczał tuan zadowolony, gdy na to patrzył. - Trzeba będzie w Polsce zainteresować tym młodych ludzi. Starczy roboty dla wielu...

Cieszył się coraz bardziej, ja natomiast coraz bardziej smutniałem. Jedyne gdy wieczorami siadywałem przy swoim wajangu, odzyskiwałem na krótko humor. Z ucznia stawałem się wówczas nauczycielem. Tak, moi mili, nie ma błędu w tym określeniu. Uczyłem obecnie tuana. Sadzałem go na miejscu dalonga, on zaś uderzał w gong i snuł opowieść za opowieścią. Akorzy poruszali się, walczyli z sobą, wypadały znieścacka demony, pojawiał się w srebrzystej zbroi szlachetny Ardżuna i gromił zaciekle zbrodniarzy. Ja zaś przygrywałem na dzwonkach. Były to piękne chwile. Początkowo szło trochę niezdarnie, ale tuan był zdolny. Wkrótce nabrał wprawy, któregoś zaś dnia zagrał tak piękny poemat o swej jęczącej w niewoli ojczyźnie, że obaj nad nią zapłakaliśmy. Zrozumiałem wtedy, że słusznie robi, jeśli do niej powraca. Matki nie pozostawia się samotnie w nieszczęściu.

Którejś nocy, gdy zakończyliśmy grę, doktor powstał ociężały, rozejrzał się niespokojnie po izbie, a potem jego oczy spoczęły na mnie. Były zamyślane i smutne.

- No cóż - przemówił powoli - wszystko się kończy... Trzeba, Nong_nong, zlikwidować jutro nasz dom...

Westchnąłem ciężko, a on zrobił to samo. Też mu było niełatwo.

- Moje rzeczy - przemówił po chwili przygnębiającego milczenia - przenieś do profesora Treuba. Zanieś tam również swój komplet waju. Pojutrze pojedziemy na Sumatrę.

Popatrzyłem z żalem na żaby, których była już spora gromadka. Stały sztywno pod ścianą, według wzrostu, od najstarszego - ojca rodziny - aż do najmłodszej pociechy. Radowało się serce, gdy się patrzyło na to ich przywiązanie do naszego domostwa i na panujący wśród nich, zawsze wzorowy porządek.

- Przykro im będzie bez nas - westchnąłem powtórnie, bo kto tam wie, jakiego dostaną pana...

Śmignął nad naszymi głowami gekko i zapiszczał cienko, powtarzając z zapalem dźwięki, których go nauczyła Natura. Tuan zakręcił się jakoś dziwnie i wyszedł.

Nazajutrz dokonałem ostatniej przeprowadzki, w kilka zaś dni później byliśmy już na Sumatrze. Wylądowaliśmy w Deli, a stąd udaliśmy się do stolicy plantacji tytoniowych - Rioun. Miasteczko było niewielkie, lecz śliczne, całe tonące w zieleni.

Na nasze spotkanie wyszła liczna delegacja. Ledwie doktor się pokazał, wybuchły naokoło gromkie powitalne okrzyki.

Byliśmy tym w pierwszej chwili zaskoczeni, bo dotychczas na każdej plantacji przyjmowano nas wprawdzie z szacunkiem, ale nigdzie nie urządzano tego rodzaju owacji. Rozpoczęły się przemówienia, a potem zgotowano nam niespodziankę jeszcze większą niż wszystkie poprzednie okrzyki. Przed front wystąpił młody, postawny Europejczyk i nieoczekiwanie odezwał się w ojczystym języku tuana - po polsku!

„Witam pana, panie profesorze - tak, tak on właśnie przemawiał. Niech mi wolno będzie złożyć panu gratulacje tu, na indonezyjskiej ziemi!”

Coś tam jeszcze tłumaczył, ale więcej nie zrozumiałem. Musiały to być słowa przyjemne, bo doktor pokraśniał. Okazało się później, że młody człowiek był synem dyrektora Akademii Rolniczej w Dublinach, Frommela. Przyjechał tu na praktykę. W dwa dni później spotkałem go przypadkowo na głównej ulicy, którą nazwano Polonia, aby w ten sposób uczcić mojego tuana i jego ojczyznę.

- Dzień dobry panu! - pozdrowiłem go grzecznie, po polsku, aby sprawić mu większą przyjemność. Polacy to bardzo lubili.

Młody człowiek zatrzymał się zaskoczony. Poznał mnie natychmiast i rozpląnął się w pełnym uznania uśmiechu.

- Ach, to ty - ucieszył się szczerze. - Nong_nong! To imię nie schodzi z ust profesora. Twierdzi, że nie wykonałby bez ciebie nawet połowy roboty!

Zrobiło mi się przyjemnie. Były to miłe słowa.

- Panie - odrzekłem skromnie - pracowaliśmy razem z doktorem trzy lata. Starałem się być pożyteczny, bo prace jego miały wielkie znaczenie.

- No, tak - młody człowiek wpadł w ton entuzjazmu - to były wspaniałe prace! Phytophthora zniszczona, bardzo poważnie ograniczona choroba mozaikowa, która tu, na Sumatrze, do niedawna pustoszyła ogromne przestrzenie. Plantatorzy szaleją z uciechy!

- Nic dziwnego - mruknąłem trochę niechętnie - dużo na tym zarobią. Frommel roześmiał się.

- Oczywiście - potwierdził wesoło. - Już wyliczyli nawet, że ten sezon da im nadwyżkę, która nie tylko pokryje całkowicie koszty dotychczasowych badań, ale pozwoli utrzymać profesora jeszcze przez dziesięć lat. Koniecznie chcą go zatrzymać.

Obiecują mu złote góry!

W moim sercu zrodziła się nagle nadzieja.

- Może więc doktor zostanie? - spytałem szybko. - Bardzo byłby tutaj potrzebny. Młody człowiek rozłożył ręce bezradnie.

- Niestety, nie chce - mruknął jakoś niechętnie. - Zupełnie go nie rozumiem. Tu ma świetne dochody, a porzuca je, nie wiadomo dlaczego, dla nędznej posady w Dublanach! Spojrzałem na niego bystro. Coś zaczęło mi się w nim nie podobać.

- Może dlatego - zastanowiłem się głośno - że pragnie on swą wiedzę i nabyte tu doświadczenie przekazać teraz ojczyźnie. Frommel wywinął wargi lekceważąco.

- Ech, ta ojczyzna! - mruknął dość opryskliwie. - Trzeba pilnować tego, co daje chleb. Błyskawicznie zamknąłem się w sobie. Zrozumiałem! Tego młodego człowieka zdołał już opanować Demon Chciwości. Przybył tu, aby się nauczyć, w jaki sposób można najłatwiej zdobywać pieniądze. Postanowiłem zakończyć rozmowę.

- Do widzenia panu! - pożegnałem go po malajsku. - Muszę się śpieszyć, bo tuan czeka. Frommel pokiwał głową życzliwie.

- Zajrzyj do mnie przy okazji - zaprosił. - Profesor twierdzi, że jesteś niezwykłym człowiekiem. Kto wie, może u mnie obejmiesz służbę?

Poufale poklepał mnie po ramieniu. Skłoniłem się bez uśmiechu. Nie ulega wątpliwości - był miłym człowiekiem, ale co mieliśmy z sobą wspólnego? Jakiś tam Frommel, chociaż miał nazwisko łatwe do wymawiania, nie mógł się przecież równać z Duturem z Rajskiego Ogrodu!

Nie odwiedziłem go. Zawsze patrzyłem niechętnie na ludzi, którzy ulegli Demonowi Chciwości.

XXXVIII

Księżyc już zniknął poza grzbietami wulkanów. Bledną cienie wajangu, zbliża się świt. Jaka przyjemna jest ta dzisiejsza noc!... Krople rosy staczają się z liścia na liść, zupełnie jak drobny deszcz.

Podmuch wiatru poruszył kępę bambusów i drzew. Coś tam one szepczą, wspominają pewnie o tych, co dawno odeszli. Ha, i piewiki uderzyły głośniej w swe instrumenty, czują też nowy dzień. Wzmoże się za chwilę radosny gwar. Życie popłynie dalej - raz lepsze, raz gorsze, takie właśnie jak zawsze...

O przyjaciele! Wybaczcie starcowi wzruszenie, zbliża się bowiem koniec mej opowieści. Ostatnie dni. Jesteśmy znowu w Bogorze. Pakujemy to, co ma być wysłane do Polski. Zabijam skrzynię za skrzynią. Ręce mi drżą.

- Uważaj - upomina mnie doktor. - Więcej waty do środka. To przecież szkło!

Rozumiem doskonale. Może nawet lepiej niż on. To nie tylko szkło. To wielki trud. To zamknięcie naszej kilkuletniej współpracy, to długa droga, po której szliśmy śmiało, odważnie i z ogromnym uporem. Nawet więcej... To dar ziemi jawajskiej, naszej słonecznej, szmaragdowej wyspy wulkanów, dla północnego kraju, który zimą spowija śnieg...

Układałem więc ostrożnie, starannie owijam każde naczynie, troszczę się o najmniejszy drobiazg jak o ukochane dziecko, które jest drobne i słabe, a trzeba oddać je jednak w obce ręce na czas długiej podróży. Nic nie mówię, przyjmuję w milczeniu wszelkie uwagi. Dopiero po zabiciu dwudziestej skrzynki, podnoszę powoli głowę. Jestem opanowany i chłodny. Mam niewiele nadziei, ale mimo to postanawiam rozegrać ostatnią walkę. Do tego potrzeba spokoju.

- Panie - odzywam się takim tonem, jakbym chciał rozpocząć obojętną rozmowę - czy te Dublany to duża miejscowość?

Doktor był zmęczony pracą, więc postanowił odpocząć. Podałem mu usłużnie cygaro.

- Ech - mruknął - dziura! Ale stamtąd jest blisko do Lwowa. To duże miasto. Przyjrzałem mu się uważnie.

Ten Lwów był dla mnie niewygodny, zacząłem więc z innej beczki.

- Z pewnością tam są wspaniałe laboratoria - przemówiłem podstępnie. - Co najmniej takie, jak u nas w Bogorze...

Tu go trafiłem! Zasepił się.

- Niestety - westchnął - tam jest bardzo ubogo. Licho wie, czy w ogóle istnieje jakieś laboratorium.

Poczułem się pewniej, wszedłem na dobry grunt. Trzeba uderzyć mocniej. Postanowiłem wypuścić na niego Demona Złości. Człowiek, na szczęście, czegoś się w życiu nauczył.

- W takim razie nie rozumiem, od czego są tam ci inni Polacy? - udałem zręczne wzburzenie. - Nie mogli tego jakoś urządzić? Jak tam pan będzie pracował? Żal im było pieniędzy?

Na czole tuana pojawiły się zmarszczki. Serce zakolało mi mocno, bo to był dobry znak. Demon Złości już robił swoje, teraz należało dać mu do pomocy Demona Goryczy.

- Do czego to podobne? - skrzywiłem się z wyraźnym niesmakiem. - Ściąga się wielkiego uczonego, który ma sławę światową, i umieszcza się go w jakichś nędznych Dublanach - przypomniały mi się słowa Frommela. - A dlaczego nie we Lwowie? Tam przecież jest również uniwersytet!

O mało nie podskoczyłem z uciechy. Demony spisywały się świetnie! To posłuszne stwory i chętne do roboty, aby tylko umiejętnie nimi kierować. Potrafiłem już wtedy kręcić nimi tak, jak robię teraz w wajongu. Policzki doktora drgnęły nerwowo, w kącikach ust powstały nieomyślne dołeczki. Tak, o tym Lwowie też coś niecoś słyszałem. Był tam podobno jakiś stary profesor botaniki, który uczył tylko jednego: co powiedział pewien ogrodnik francuski.

Doktor nieraz o nim wspominał i to zawsze z wielką niechęcią.

Należało to wykorzystać.

- W Krakowie jest profesor Rostafiński - przemówiłem czule, bo tego człowieka bardzo lubiłem za ten mikroskop, który dał mojemu doktorowi na drogę. - To rozumiem, poważny uczony. Ale ten we Lwowie... Po co tam siedzi? Czy to takie ważne, co mówił pewien ogrodnik francuski?

Chciałem jeszcze coś dodać, ale ugryzłem się w język. Zorientowałem się za późno, że palnąłem głupstwo. Tuan roześmiał się, demony odskoczyły z lękiem, bo tego nie lubią.

- To rzeczywiście nieważne - odparł wesoło - ale, niestety, tak musi być. Kto wie, czy ja, gdy się zestarzeję, nie będę tak samo wykladał.

Rozbawiło mnie to przypuszczenie, toteż cała moja misternie utkana sieć rozpadła się ostatecznie. Gdy się spostrzegłem, że poniosłem klęskę, nie było już możliwości odwrotu.

- Ale wrócić do kraju należy - doktor przemawiał obecnie bardzo poważnie, co było najgorsze. - Widzisz Nong_nong, jeśli tam jest źle, tym bardziej jestem potrzebny. Konieczne są młode siły. A ja przecież potrafię zrobić niejedno...

Pokiwałem głową. Któż mógł lepiej naprawiać zło, jeśli nie on? To było jasne i zrozumiałe.

Czułem, że wobec tych argumentów staję się zupełnie bezradny. Moi dotychczasowi współpracownicy nie nadawali się do dalszej roboty, ale jeszcze żał mi było ustąpić. A może spróbować innych?... No cóż, Demon Głupoty nie wchodził wcale w rachubę, bo tuan był dla niego za sprytny. Pozostawał jedynie w odwodzie Demon Chciwości. Nie lubiłem go nigdy, lecz gdy człowiek tonie, chwyta się nawet brzytwy. Złapałem go więc za kark, chociaż tym razem działałem bez przekonania. Zawsze mnie przyprawiał o wstręt.

- Ostatecznie na tego ogrodnika francuskiego - zacząłem zachodzić z boku - można by machnąć ręką. Nawet na te nie urządzone laboratoria, bo zdarzało się, że drzwi zastępowały nam stół i z tym wcale nie było źle. Ale - uderzyłem mocniej przy pomocy swego współpracownika - czy warto wyzbywać się takich dochodów? Za kilka lat tuan może zostać profesorem nie w jakichś tam Dublinach, ale w największych uniwersytetach Holandii!

Powiedziałem to gorąco, z wiarą, gdyż sam byłem o tym przekonany i tak samo zrestą twierdził profesor Treub. Na doktorze nie uczyniło to jednak większego wrażenia. Nie zdziwiłem się nawet specjalnie. Demon Chciwości nie miał nigdy do niego dostępu.

- No, bierzmy się do roboty - rzekł odrzucając cygaro. - Nie, mój drogi - dodał po chwili - nie takie to proste. Człowiek urodził się Polakiem, powinien więc nim pozostać do śmierci. Holandia nie może mi zastąpić ojczyzny.

Były to piękne słowa, odpędziłem więc natychmiast wszystkie demony. Dalsze korzystanie z ich usług byłoby świętokradztwem. Cóż, należało się pogodzić z faktem. Nie było wyjścia, on musiał odjechać...

Pochyliłem się nad skrzyniami. Zniknęły w nich wreszcie ostatnie słoje, a potem przyszła kolej na książki. Zaginał Mickiewicz, zapadł się smutny Słowacki, wśród najrozmaitszych czasopism i książek zatoneły nasze paprotniki i dziesiątki innych prac, które zostały napisane przez tuana w różnych miejscowościach na Jawie. Na wierzchu ułożyłem nasze Demony Zniszczenia. Trzy ładne tomiki, niewielkie wprawdzie, ale ileż w nich zamknięto szkodników! Ile wymagało to pracy, jakiego ogromnego wysiłku, jakie potężne siły mieliśmy przeciwko sobie i ile trzeba było cierpliwości, aby unieszkodliwić te najstraszniejsze!

Westchnąłem ciężko, przypomniały mi się bowiem kłopoty z doktorem, gdy się pokłóciliśmy o nazwy. Ani Soplidy, ani Gerwazego, ani Rózczyki!... Okropne! Pozostał prawie wyłącznie Słowacki...

Trochę ze złością zarzuciłem wieko, lecz w miarę jak je przybijałem gwoździami, zacząłem się coraz bardziej rozczulać. Czy warto mu to pamiętać? Ostatecznie - niech będzie Słowacki! Przecież on też nie jest najgorszy. Może nawet lepiej pasuje do Jawy, zupełnie jak te mgły błędzące nad ziemią w chwili, gdy słońce rozbłyśnie zza gór... Jest w nich tęsknota i żal, miękkość i słodycz uczucia, ale czujesz też w nich bunt i maskowaną słabością potęgę. Łamią się, płyną łagodnie, przygniatają szarżyzną, ale niespodziewanie opadają w dół i ukazują zniecała ogniste szczyty wulkanów!...

Westchnąłem znowu, ale tym razem tylko tak, dla porządku, aby nie było wątpliwości, że niegdyś mieliśmy z tuanem w tej sprawie różne opinie. Potem już było dobrze. Zakończyliśmy

pakowanie w najlepszej zgodzie, następnie wysłaliśmy rzeczy bagażem do Europy, sami zaś wyskoczyliśmy na kilka dni do Wedi Koto, aby pożegnać nasze pola tytoniu. Tuan był wzruszony, gdy je oglądał. Gdzie stosowaliśmy nowe sposoby uprawy, zieleniło się pięknie.

Gdzie natomiast nie zastosowano środków zaradczych, marniało wszystko. Nie martwiliśmy się jednak. W nowym sezonie w całej Indonezji miała być zastosowana „metoda Raciborskiego”, a wtedy przypadną ostatecznie co najmniej dwa najbardziej złośliwe Demony Zniszczenia.

Gdy znaleźliśmy się znowu w Bogorze, w przeddzień wyjazdu do Europy tuan zabrał mnie do swego pokoju w pięknym domu dyrektora Treuba nad stawem.

- Coś dla ciebie - wskazał ręką kolekcję grzybów, rozłożoną na stole. - To będzie nasza ostatnia robota.

Zdziwiłem się trochę, bo zdawało mi się, że nic nie zostało do wykończenia. Nie mogłem zrozumieć, skąd one się tutaj wzięły. Znałem je wszystkie, sam je zbierałem, lecz sądziłem, że ich opisy znalazły się w uzupełnieniach do poprzednich rodzajów, które doktor dosyłał do swych tomików, gdy znajdowały się jeszcze w drukarni. No, ale jeśli coś tam jeszcze pozostało, należy wykonać! Wiadomo - do pracy nie potrzeba mnie było nigdy naganiać. Oczyszcziłem natychmiast biurko, przysunąłem atrament i papier, a potem zająłem stanowisko przy stole. Znieruchomiałem nagle. Doktor stał pośrodku i śmiał się. Zmarszczyłem brwi nieco speszony. Co się stało? Czy zrobiłem coś niewłaściwie? Może palnąłem jakieś głupstwo, może tu czegoś brakuje?...

Rozejrzałem się czujnie.

Wszystko było w porządku. Wprawdzie grzyby nie były ułożone przeze mnie, ale miały etykiety, notatki znajdowały się obok, temu, co układał, nic nie można było zarzucić. A więc o co mu idzie? Czyżby się krył za tym żart?

Podniosłem głowę. Tuan stał w tym samym miejscu, lecz przestał się śmiać.

- Nie to miałem na myśli - wyjaśnił. - Wszystko jest opracowane i przygotowane do druku... Coraz mniej rozumiałem. Po co więc mnie wzywał i mówił o ostatniej robocie?

Natomiast - ciągnął dalej, a na jego twarzy rozbłysła powaga - brak najważniejszego, brak nazwy. Byłeś mi właśnie do tego potrzebny.

Zmieszałem się. Po co on o tym wspomina? Dlaczego psuje nastrój w chwili rozstania? Przecież to jest jego sprawa, nie moja. Niech robi, co chce.

- Panie - bąknąłem - nazwy nie należą do mnie...

- Przeciwnie - zaprzeczył doktor stanowczo - tylko do ciebie! Tam, w Wedi Koto, przyrzekłem sobie, że jeśli znajdę nowy rodzaj, nie nadam mu nazwy, dopóki nie spytam ciebie o zdanie. I znalazłem. Wybór należy do ciebie.

Popatrzył na mnie tak serdecznie, że naraz zawirowało wszystko przed moimi oczyma. Coś zdusiło mi gardło, poruszyły się szybko powieki. A więc nie tylko uznał wtedy swój błąd, lecz myślał jeszcze przez wiele miesięcy, w jaki sposób naprawić krzywdę, którą mi wówczas wyrządził! Co za człowiek! Przecież dziś nie miałbym do niego pretensji, gdyby nawet mi o tym rodzaju nie wspomniał...

Uczułem wdzięczność, ale i żal. Jakże on mógł pomyśleć choćby przez chwilę, że zdecyduje się wykorzystać jego skrucę dla zaspokojenia własnej ambicji? Czy mnie nie znał dotychczas?...

- Nie, panie - rzekłem, gdy zdołałem wreszcie opanować swoje roztargane uczucia - wybór nazwy należy do ciebie. Nigdy bym nie mógł sobie darować, że pozbawiłem cię tej przyjemności, i to w chwili wyjazdu.

- Nong_nong - przemówił doktor prosząco - nie rób mi przykrości. Dlaczego nie chcesz wyrzucić z serca zastarzałej urazy?

Przygarbiłem się pod tym niezasłużonym zarzutem. Czyżby nie rozumiał, o co mi idzie?

- Panie - odezwałem się uroczyście - ja nigdy nie kryłem w sercu urazy. A dlaczego - dodałem swobodniej - nie możemy wykorzystać Słowackiego? Pan go przecież tak lubi! Ja również doszedłem do wniosku, że on nadaje się do naszych terenów...

Powtórzyłem wszystko, co na ten temat myślałem. Doktorowi spodobało się porównanie z mgłą poranną, lecz gdy skończyłem, pokręcił głową.

- Nie, Nong_nong - przeciwstawił się twardo. - Nie próbuj mnie przekonywać, bo nic z tego nie wyjdzie. Słowacki nie wchodzi w rachubę. Chociaż go lubisz, to jednak jest smutny i temu nie możesz zaprzeczyć.

Nie mogłem. Tuan też to teraz przyznawał. Był sprawiedliwym człowiekiem, więc ruszyło go w końcu sumienie. Tym bardziej nie wolno mi było wykorzystać jego słabości.

- Panie - przemówiłem z głęboką powagą - jeśli nie Słowacki, to może Krasiński. Potraktowaliśmy go stanowczo za skromnie. Tylko jeden rodzaj dla takiego wielkiego poety! Stanowczo za mało.

Tuan zawahał się, argument bowiem był mocny. Już sądziłem, że dał się namówić, gdy niespodziewanie roześmiał się głośno i poklepał mnie po ramieniu.

- Wykluczone! - wykrzyknął. - Ani Słowacki, ani Krasiński. Ty musisz nadać nazwę, a więc wchodzi w rachubę tylko Mickiewicz. Mówże więc, kogo wybrałeś? Sopolicę?

Rozbroił mnie ostatecznie. Nie zapomniał więc o tym dzielnym księdzu, który tak samo dobrze potrafił używać szabli, jak Biblii! Poczułem się mały wobec jego wielkości. Cóż - w tej sytuacji nie było wyboru, należało ustąpić. Nie wolno odrzucać daru, który płynie z serca i odsłania głębię uczucia. Zrobił wspaniały gest, umiałem go należycie ocenić. Oczywiście o Sopolicy nie mogło być mowy. Raz go odrzucił, mógłby więc gdzieś tam na dnie pozostać jakiś osad przykrości. Również odpadł Wojski, Rózciczka i wielu innych, ludzi naprawdę dzielnych, bo ich nazwiska sprawiłyby zbyt wiele kłopotów, gdyby przyszło nadać im brzmienie łacińskie. Ha, trzeba więc będzie zatrzymać się na bardziej skromnym imieniu. Człowiek prosty wprawdzie, ale porządny i dzielny...

- Panie - odezwałem się skromnie, pochylając się równocześnie z szacunkiem - jeśli mnie przypada ten zaszczyt, niech będzie... Gerwazy!

Tuan się rozpromienił.

- Świetnie! - wykrzyknął. - A więc Gervasia! Szkoda tylko - zafrasował się nagle - że nie mamy jeszcze jednego rodzaju. Jakże będzie się tu czuł biedny Gerwazy bez Protazego?

Byli to dwaj oddani sobie przyjaciele, nie zdziwiło mnie więc jego zmartwienie. Miał dobre serce. Niełatwo mu było pogodzić się z takim rozdziałem.

- Panie, nie szkodzi - pocieszyłem go zaraz. - Jest tu pani Telimena, a to zawsze znajomi. Zresztą taka rozłąka daje często doskonałe wyniki. Gerwazy pohula sobie z demonami, a to wyjdzie na dobre i jemu, i Protazemu, gdy się kiedyś zobaczą. Staną się jeszcze dzielniejsi.

Uspokoilem go ostatecznie, słowa bowiem były rzeczywiście rozsądne. Wyciągnął manuskrypt i już bez najmniejszego wahania wypisał u góry nazwę.

- Więc i tę pracę zakończyliśmy - przemówił z werwą. - Gervasię zamieścimy w dodatku, który drukarnia dobije. A teraz, Nong_nong, przygotuj wajang. Wieczorem opowiesz raz jeszcze tę historię o bitwie.

Nareszcie zrozumiałem, dlaczego nie pozwolił mi spakować tego kompletu. Tam w skrzyniach pojechali do Europy inni aktorzy, którzy nie byli mi potrzebni do przedstawienia. Tu był mój ulubiony zespół z Kagoku. Na nim miałem dzisiaj zagrać ostatni akt...

XXXIX

Znacie dobrze ten dom. Murowany, obszerny, pomalowany na biało, posiada piękną werandę. Wspiera się ona na kilku kolumnach połączonych między sobą balustradami. Jedyne środek jest wolny. Jest to główne wejście, do którego prowadzą niziutkie schody.

Naprzeciw rośnie wielka palma, rozrzucająca na boki pierzaste gałęzie na kształt cudownego wachlarza. Naokoło niej zielenią się przycięte równo gazony. Po bokach wzbijają się w górę kępy krzewów i drzew, tworząc tu i ówdzie nieprzebyte zarośla. W głębi iskrzy się gładka powierzchnia stawu.

Dziś mieszka tu obecny dyrektor - Kusnoto. Niegdyś przebywał tam człowiek, któremu nasz Ogród zawdzięcza sławę światową - profesor Treub. On zbudował ten dom i dbał o niego może nawet więcej aniżeli o inne budynki. Nie dlatego, że był mu potrzebny, bo ten człowiek nie miał przecież żadnej rodziny. Przyjmował w nim gości, liczne pokoje oddawał największym uczonym świata. I tutaj w ostatnich dniach umieścił mojego tuana.

Gdy zapadł zmrok, wszystko było przygotowane do przedstawienia. Doktor zajął miejsce przed głównym wejściem, obok niego zasiadł nasz dyrektor i generalny gubernator ówczesnych Indii. Za nim stłoczyli się naukowcy i urzędnicy. Mój wajang ustawiłem przed nimi, tuż za mną usadowił się przepiękny gamelan. Zająłem miejsce dalonga i spojrzałem przed siebie. Na gazonach, pod palmą, pod drzewami, zupełnie blisko i hen, daleko, aż po granice stawu, czerniło się morze głów. Przybyli wszyscy pracownicy naszego Ogrodu z rodzinami, zjawili się też licznie zaproszeni mieszkańcy Bogoru. Siedzieli teraz milczący i nieruchomi. Na przedzie dzieci, a za nimi dorośli. Domyślali się wszyscy, że opowieść będzie niezwykła, czekali więc na nią w napięciu.

Pamiętam jak dziś: noc była wilgotna i ciepła. Po niebie snuły się chmury, przysłaniając co chwila blask księżyca i gwiazd. Wiał lekki wiatr. Gwarzyły cicho drzewa, snując odwieczną pieśń. Głośniejsz niż zwykle zawodziły piewiki, gdzieś z dali dochodziły potężne wezwania żab. Przez pewien czas wsłuchiwałem się uważnie w te głosy, wsłuchiwali się również muzycy. Wreszcie pochyliłem się naprzód. Przed ekranem rozblęskło światło. Zadźwięczał gong.

Gamelan zanucił łagodnie, jakby próbował ostrożnie swych sił. Grali na nim wielcy mistrzowie. Zestroili szybko swe instrumenty z poszumem drzew, przebiegli pałeczkami po dzwoneczkach, włączyli skrzypce, saron powiodł tęskną, pełną słodczy melodyj. Potem zaczął wzbijać się w niebo ton coraz bardziej donośny, zahuczały dzwony, bęben uderzył na alarm. I naraz wszystko przysichło.

Otworzyłem usta, potoczyły się słowa. Padły najpierw powoli, spokojnie:

- Hen, na północy, gdzie zimą spowija ziemię śnieg, jest kraj, który nazywa się: Polska...

Czułem, jak setki oczu spoglądają na mnie uważnie, jak obserwują mnie bacznie zaciekawione spojrzenia. Nawet za sobą usłyszałem krótkie, przyśpieszone oddechy, bo takich słów nikt tu nigdy nie słyszał. Na ekranie zaczęły przesuwać się cienie. Ukazał się lud energiczny i dzielny, domagający się wielkim głosem wolności. Naprzeciw wyszedł nieprzyjaciół, uzbrojony świetnie, nieprzeliczony, potężny. Był bity często, ale w końcu zwyciężył. Pola zasłały trupy, urosły cmentarze, tysiące najlepszych synów umęczonego narodu zostało zesłanych w mroźne, podbiegunowe krainy...

Wtedy stało się ze mną coś, z czego do dzisiejszego dnia nie potrafię zdać sobie sprawy. Serce uderzyło mi nagle silniejszym rytmem, zapłonęły policzki i skronie, straciłem prawie przytomność. To już nie ja mówiłem, lecz przez moje usta przemawiała ojczyzna tuana. Wspartł mnie Mickiewicz swoją wspaniałą poezją. Słowacki dodał siły potęgą swego uczucia. Opowiadania, których słuchałem tak chętnie w Kagoku i w Wedi Koto, złączyłem w całość, przedstawiałem teraz tragiczną historię walczącego po bohatersku narodu. Pokolenie za pokoleniem rzucało się w bój, rosły krwawe ofiary. Nie zrażały następnych. Był to bowiem lud śmiały i wielki. Wolał śmierć aniżeli udrękę niewoli.

Rozsunęły się chmury. Księżyc i gwiazdy rozjaśniły zasłuchane twarze łagodną, migotliwą poświatą. Gamelan złagodził ton, uspokajał się wajak, zniknęły z ekranu ostatnie demony. Teraz pojawił się na nim samotny wędrowiec. Był ubogi, ale szedł odważnie przez świat. Szukał mądrości i serca i wreszcie trafił na Jawę. Znalazł tu wszystko. Odbierał więc demonom ich moc, bo nie znosił podłości. Ratował przed zgubą rośliny, budził życie tam, gdzie, zdawałoby się, ono już dawno zamarło. Był zręczny i niedościgniony w robocie. Uciekały przed nim złe siły czające się w naszych lasach, w górach, na polach, wśród krzaków, gałęzi i pni.

Słuchacze zastygli w milczeniu; Europejczycy tej nocy wcale nie poszli spać. Gamelan zanucił głośniejsze. Rozległy się tony dźwięczne, radosne, moje słowa nabrały większej tkliwości. Ludzie rozumieli to doskonale, poznali wreszcie tego wspaniałego wędrowca. Oczywiście, to on: Wielki Dutur, Dutur z Rajskiego Ogrodu! Przemierza teraz Jawę w różnych kierunkach, ratuje plony, ludziom ociera łzy. Słychać naokoło ciche, tłumione siłą westchnienia. Uczy nas walczyć z okrutnymi Demonami Zniszczenia, wydobywa je z tajemnych kryjówek, zamyka w książkach, robi wszystko, aby stąd zniknęły na zawsze. Swoją działalnością przysparza naokoło radości. Sercem odpłaca za serce.

Błogosławi go lud...

Uderzyłem ponownie w gong. Skrzypce zawiodły płacząco, w tłumie rozległ się jęk. Niestety, nadszedł już czas - Dutur musiał odjechać. Płynął tam, gdzie znajdowała się jego ojczyzna. Ginał właśnie we mgle, gdy naraz skotłowało się wszystko, jakaś potężna siła kazała mi zakończyć inaczej.

Niespodziewanie rozległ się straszny huk. Jego naród zrywał się raz jeszcze do walki. Znowu polała się krew, na ośnieżonych polach północy wyrastały szybko mogiły. Grały karabiny, armaty huczały posępnie, płonęły miasta i wsie. Nad tym wszystkim jednak zaczął zarysowywać się coraz mocniejszy blask. Wolność rozjaśniała powoli mroki...

Za moimi plecami ktoś łkał. Ludzie unieśli głowy. Bo oto pośród wojennego zamętu pojawił się szlachetny Ardżuna, cały w srebrzystej zbroi, promienny i uroczysty. Wziął za rękę Dutura z Rajskiego Ogrodu i odprowadził go w dal...

„Co, chcecie dowiedzieć się więcej?... Przecież już świt. Zbladły zupełnie cienie, pierwszy promień słońca dotknął wierzchołków Salaku... O co pytacie? Co się z nim później stało?... No

dobrze, moi mili, opowiem. Ale nie zobaczycie moich aktorów. Nie szkodzi? Dobrze, dobrze! Oczywiście dopowiem wam resztę. Zatem słuchajcie. Uderzam w gong!...

Wajang, na którym grałem tej nocy, stał się moją własnością. Tuan nie chciał go zabrać. Twierdził, że to jest wajang zczarowany, którego nie wolno wywozić z Jawy. Dał mi go na pamiątkę i polecił użyć dopiero wówczas, gdy na naszej wyspie zrodzi się wielki, powszechny bunt.

Ukryłem go, więc starannie, a potem odprowadziłem mojego doktora na dworzec. Stało się to nazajutrz, 11 sierpnia 1900 roku, jeśli mnie pamięć nie myli... Gdy pociąg ruszał, rzuciłem na niego ostatnie spojrzenie. Był blady, wzruszony, z oczu bił smutek i żal. Wiedział, że patrzy na mnie po raz ostatni. I ja czułem to samo...

W kraju powitano go z honorami, był, bowiem sławnym człowiekiem. Niestety, jego nowe miejsce pracy nie odpowiadało temu gorącemu przyjęciu. Jak przewidywałem, była to skromna placówka, brakowało wszystkiego.

Mój tuan umiał jednak pracować, nie załamały go nigdy trudności. Szybko stworzył tam pulsujący życiem ośrodek. I zrobił jeszcze coś niezwykłego: miejscowy park przemienił w piękny ogród botaniczny, przypominający mu nasz wspaniały Ogród w Bogorze. Cóż - nie mógł bez niego żyć...

Miał teraz swoich studentów, miał asystenta, ale mimo to było mu w Dublanach za ciasno. Nic dziwnego - lubił rozmach i ruch, rozsadzała go żywiołowa energia. Nawiązał kontakt ze Lwowem. Brał czynny udział w pracach towarzystw naukowych, rzucił śmiało, jak na owe czasy, hasło ochrony przyrody, rozwijał plany pełnego wydania atlasu flory ziem polskich, krzewił, gdzie się dało, myśl patriotyczną. Równocześnie pogłębiał swój dorobek naukowy i naukową karierę. W roku 1903 został profesorem nadzwyczajnym na uniwersytecie lwowskim, w roku 1909 - zwyczajnym, w trzy lata zaś później objął katedrę po profesorze Rostafińskim w Krakowie.

Kiedyś - było to chyba w roku 1908 - przybył do Bogoru jego rodak, profesor Michał Siedlecki. Pracowałem u niego kilka miesięcy. Wspominaliśmy nieraz mojego tuana. Profesor był też bardzo miłym człowiekiem, ale, niestety, mimo wzajemnej życzliwości nie wytworzyła się między nami ta więź serdeczna, która łączyła nas z doktorem. Być może dlatego, że byliśmy z sobą zbyt krótko... W każdym razie wyczułem z tych rozmów, że coś tam nie jest w porządku.

Potem przyszły do mnie inne wieści, tuan wpadł w ciężką chorobę. Było mi bardzo przykro, ale się nie dziwiłem. Znałem go przecież dobrze. Tam też pewnie pracował nad siły, nie dbał o zdrowie, nie uznawał lekarzy, a co najgorsze - niewątpliwie osaczyły go zewsząd złe moce.

Wyobrażałem sobie, jak musiał drażnić tego człowieka Demon Głupoty. I Demon Złości chyba nie siedział bezczynnie, w chwilach samotności pojawiał się ohydny Demon Gorczy. Straszne to musiały dla niego być czasy!... Tam, w Europie, nikt nie znał się na tych niewidzialnych potworach, więc też nikt ich nie potrafił odegnać. Ja także nie mogłem mu pomóc. Z Jawy do Polski jest przecież bardzo daleko...

A potem wybuchła pierwsza wojna światowa. U nas panował wtedy spokój, lecz w Polsce był to okres wielkich bitew i spustoszenia. Najlepsi uczniowie tuana poszli na front i padli w walce o wolność swojej ojczyzny. On, zmorzony chorobą, nie przerywał swych prac, a równocześnie słowem i czynem krzepił uczucia i twierdził głośno, że to walka ostatnia.

Wtedy to, o przyjaciele, tam, na polskiej ziemi, przemówił po raz pierwszy nasz teatr cieni. Któregoś wieczoru ożył wajang_kulit, przywieziony z naszej słonecznej wyspy, mój doktor zajął miejsce dalonga. W legendzie zamknął to, czego wrogowie nie pozwalali mu wygłaszać

publicznie. Przy pomocy naszych aktorów przekazał słuchaczom prawdę i wpoił wiarę, że niepodległość jest bliska.

A potem... No, a potem nadszedł rok 1917. W mroźny, lutowy dzień, gdy polską ziemię spowijał śnieg, tuan opuścił świat. Zmarł ze swym ukochanym „Panem Tadeuszem” w rękę i z nim został złożony do trumny...

Tak, przyjaciele, kiedy przemawiałem wówczas w Bogorze, musiałem mieć chwile natchnienia. Ujrzałem, co się stanie w przyszłości. Rycerz w srebrzystej zbroi, jasny Ardżuna, stał przy nim, gdy rodził się wśród szczyku oręża. Czuwał nad nim od kolebki do śmierci. Teraz zjawiał się znowu w huku karabinów i armat, zabrał go z sobą i razem z nim odsunął się od strasznego zamętu. W swej szlachetności postanowił oszczędzić bólu temu biednemu sercu. Nacierpiało się ono wiele, bo je przecież od młodu przeżerał bunt...

Dawniej, gdy wspominałem to wszystko, żal rozdzierał mi serce. Dziś myślę o tym spokojnie, sam, bowiem również zakończą wkrótce swoją ziemską wędrówkę.

Mój wajang będzie jednak przemawiał, dopóki starczy mi sił. Widział on wiele i przetrwał wiele, gdyż jest w nim zaklęty bunt i twarde hasła wolności. Był czas, że nawoływał do boju, kiedy opuścili nas starsi bracia, Holendrzy, a na ich miejsce przyszli japońscy najeźdźcy. Nie uląkł się huku dział w okresie późniejszych walk. Teraz mówi o tym, który mi przekazał go w darze. Śławi zwycięzcę naszych Demonów Zniszczenia. Na Jawie bowiem i na Sumatrze, na Borneo, Molukach i Celebesie rośnie nadal trzcina cukrowa i ryż, kukurydza i tytoń, drzewa waniliowe i palmy, a jeśli udają się dobrze i pozwalają nam patrzeć spokojnie w przyszłość, to jest w tym również jego wielka zasługa.

A gdyby ktoś z was, o bracia, zajrzał kiedyś do Polski - a to w obecnych czasach jest zupełnie możliwe - niech nie zapomni odwiedzić Zakopanego. W starej części tamtejszego cmentarza, między dwoma krzakami kosodrzewiny natrafi na granitowy postument z napisem:

„Marian Raciborski - przyrodnik”. Niechaj złoży na nim wiązanek polnych kwiatów, bo to jest miejsce wiecznego spoczynku mojego tuana, a on kwiaty ukochał nad wszystko.

Stamtąd zaś udajcie się do Krakowa. Wiem, że tam znajduje się nasz drugi wajang, przechowywany pieczołowicie w muzeum. Zajrzyjcie również do Ogrodu Botanicznego. W głębi, naprzeciw stawu, nad którym mój tuan rozwieszał latem kwitnące storczyki, aby mu ten zakątek przypominał naszą odległą ojczyznę, znajdziecie posąg z marmuru. Ufundowali go polscy uczeni. Złóżcie tam także hołd.

W drodze zaś powrotnej wstąpcie do głównego budynku przy bramie. Zobaczycie olbrzymie zbiory, które gromadziliśmy tutaj z moim doktorem przez lata. Była to praca wielka i trudna. Wykonaliśmy ją jednak, ponieważ miał to być dar ziemi jawajskiej dla kraju, który znajdował się wówczas w niewoli.

I jeszcze jedno, o moi mili... Gdyby ktoś z was znalazł się tak rzeczywiście, niech wspomni o mnie tak ciepło, jak ja tu wspominał Dutura z Rajskiego Ogrodu. To dla mnie ważne... Ja, bowiem, Nong_nong, człowiek ubogi, który miał tylko to szczęście, że urodził się synem mądrego Paidana, chowam ciągle w głębi duszy słodką i cichą nadzieję. Być może są w Polsce ludzie, którzy oceniają także moją skromną zasługę. Przecież i w tym wajangu, który się znajduje w muzeum krakowskim, i w książkach mojego doktora, a przede wszystkim w szafach, w których mieszczą się nasze jawajskie zbiory, jest bardzo dużo mej pracy...

I jest tam jeszcze coś więcej, o moi mili: obok gorącego serca tuana - troskliwe, oddane i wierne serce dobrego człowieka z Jawy. Koniecznie o tym powiedzcie...”

KONIEC

Słowniczek

Ardżuna - legendarna postać, posiadająca najpiękniejsze zalety charakteru i serca. Prawa ręka

Broma - Jest zazwyczaj pośrednikiem między nim a ludźmi.

Bromo - postać z legend jawańskich, władca świata.

Dalong - bard, człowiek opowiadający legendę. Główna postać w teatrze jawańskim. Aktorzy stanowią tylko dekorację do jego opowieści.

Dutur - lekarz_czarodziej.

Elmu - siła tajemna, której zdobycie pozwala człowiekowi osiągać lepsze wyniki w pracy i w życiu niż innym.

Gamelan - orkiestra jawańska, złożona z wielu instrumentów, z których najbardziej charakterystyczne są komplety dzwonów i dzwoneczków.

Golok - długi nóż służący do wycinania ścieżyny w lesie tropikalnym.

Hadzi - wierny, który odbył pielgrzymkę do Mekki, do grobu Mahometa. Błogosławiony, święty.

Kampogn - wieś.

Krys - nóż o głowicy niejednokrotnie zdobionej artystycznie. Przedmiot, który każdy Jawańczyk nosił dawniej przy sobie. Po śmierci właściciela często przechowywany w rodzinie jako relikwia.

Sado - lekki wózek na dwóch kołach, zaprzężony w małego, jawańskiego konika. Często ma daszek dla ochrony przed deszczem i promieniami słońca.

Saron - rodzaj cymbałów. Zasadniczy instrument w gamelanie, często prowadzący melodię.

Telaga - jezioro. Telaga Bodas - Jezioro Białe.

Tji - rzeka. Między Tjidani a Tjiwongiem leży Ogród Botaniczny w Bogorze (dawniej Buitenzorg).

Tong_tong - bęben drewniany, służący do porozumiewania się na odległość. Rodzaj afrykańskiego tam_tamu.

Tuan - tytuł nadawany Europejczykom i osobom wysoko postawionym. Tuan Arab - duchowny mahometański, którym był zawsze Arab.

Wajang - teatr. Wajang_kulit - teatr cieni.